ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NAKŁAD 12 400

NR 1 (168) STYCZEŃ 2013

CENA 13,65 ZŁ (w tym VAT 5%)

Urzeczenie w cieniu swastyki.

Historia

Adolf Hitler Kanal

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104

01

9 771505 610056

www.odkrywca.pl

VIKING - NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE

PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ I RATALNĄ

ul. Radna 6 • 00-341 Warszawa • tel./fax 022 829 84 80
viking@viking.waw.pl • www.viking.waw.pl

STYCZEŃ 2013

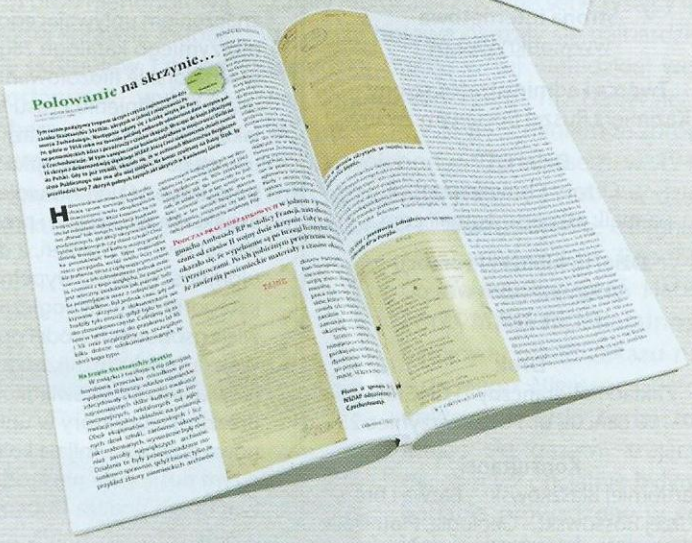

POSZUKIWANIA

3 Sarin zabija cicho
Zapadła decyzja: „Anorganę" należy natychmiast odbić z rąk Rosjan, uwolnić profesorów i zniszczyć zapasy tabunu poprzez wypompowanie go do Odry, gdzie ulegnie on rozłożeniu, i tym samym Rosjanie nie będą mogli określić składu chemicznego tego gazu. W czasie wojny Niemcy wyprodukowali ok. 12 tys. ton tabunu, wykorzystując do tego celu niewolniczą siłę roboczą – więźniów miejscowej filii obozu koncentracyjnego Gross-Rosen.
Leszek Adamczewski

7 Polowanie na skrzynie...
Pod koniec października 1950 r. Delegat Rządu RP dla Spraw Rewindykacji w Czechosłowacji powiadomił Biuro Rewindykacji Ministerstwa Handlu Zagranicznego, że: *„strona czechosłowacka stwierdziła istnienie na tutejszym terytorium pewnej ilości dokumentów NSDAP pochodzących z Górnego Śląska"...*
Piotr Maszkowski

11 Kilka refleksji na temat roli świadka w odkrywaniu wojennych tajemnic
Marcin Brzeziński

13 Świadek – istota niewiarygodna
Wojtek Stojak

18 Sekrety Leopoldsbaude
Robert Primke, Maciej Szczerepa

21 Dzieje pałacu adiutanta Blüchera
Militarne epizody dolnośląskich rezydencji cz.1
Szymon Wrzesiński

KULISY HISTORII

25 Propaganda pod okupacją
Superbohaterowie na froncie, cz.2
Michał Cetnarowski

AKTUALNOŚCI/ WYDARZENIA

29 Jak to się robi w Ameryce
Z wizytą w National Archives and Records Administration w College Park, Stany Zjednoczone
Sebastian Różycki

34 „Kamienne piekło" Gross-Rosen ciąg dalszy...
Piotr Maszkowski

TAJEMNICE HISTORII

36 Kto był „ojcem" biało-czerwonej szachownicy? Czyli spór o ojcostwo po latach...
Andrzej Olejko

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

42 Dzieje udostępnienia sztolni walimskich (cz. 2)
Tomasz Rzeczycki

46 Adolf Hitler Kanal, czyli śląska wycieczka statkiem od Gliwic do Koźla
Dariusz Pietrucha

BATALIE I POTYCZKI

53 Ostatnia insurekcja dawnej Rzeczypospolitej – pierwsza wojna nowoczesnej Polski
Powstanie Styczniowe 1863-1864
Piotr Galik

KOLEKCJONERSTWO

57 Wojskowe znaki tożsamości – po raz drugi...
Dariusz Kaszuba, Marek Sadzikowski

60 Rodzinne pamiątki
Marcin Brzeziński

62 „Łapy, łapy cztery łapy..."
Piotr Galik

FORTYFIKACJE

66 Moje spotkanie z Twierdzą Osowiec, czyli o Forcie I słów kilka
Krzysztof Leja

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

70 Nowości stycznia w Księgarni Odkrywcy

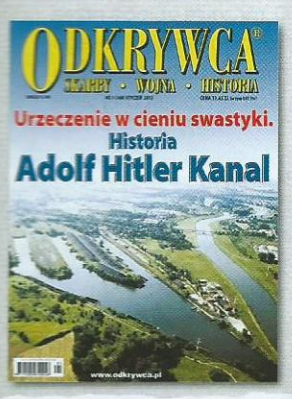

Okładka:
Port Koźle – stan obecny,
www.zjura.sownet.pl

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel.: 71 329 71 85, 329 71 86,
fax: 71 328 83 71

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com

Zespół Redakcyjny
Piotr Maszkowski, Michał Cetnarowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Fortyfikacje opracowuje i przygotowuje
Jerzy Sadowski

Współpracownicy:
Leszek Adamczewski, Damian Czerniewicz, Marek Dudziak, Proteus, Janusz Skowroński, Wojtek Stojak, Lech Zwirełło

Strona internetowa
www.odkrywca.pl

Twórca i administrator strony
Kazimierz Ruszel Bocianem zwany

Dział DTP
Cezary Chmielewski
e-mail: essperto@gmail.com

Dział Reklamy i Promocji
reklama@odkrywca.pl
tel. 71 329 71 71

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
37-100 Łańcut, ul. Podzwierzyniec 25

Konsultanci
Bartłomiej Błaszkowski – Barwa i broń, Andrzej Bossowski – Geologia, Piotr Galik – Historia wojskowości, Maciej Kęszycki – Militaria, Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska, Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki, Marek Sokołowski – Numizmatyka, Wojtek Stojak – Eksploracja, Piotr Szyngiera, Artur Troncik – Sprzęt poszukiwawczy

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca"
Koordynator – Łukasz Orlicki

Proteus, Paweł Piątkiewicz, dr Wiesław Nawrocki, GNJ przy PZA, GRALmarine

gemo@odkrywca.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Drodzy Czytelnicy

Pokrzepiona pewnie już tysięcznym zapewnieniem producenta japońskich samochodów z telewizyjnej reklamówki o odwołaniu końca świata, piszę tych kilka słów witając się z Wami na progu nowego 2013 roku. Komunikat reklamowy wygłaszany przez tańczących Majów z pewnością okaże się prawdziwszy od innych obietnic jakimi usiłują nas do siebie przekonać natrętnie wszechobecne reklamy. Trzymając w rękach najnowsze – noworoczne wydanie „Odkrywcy" szczęśliwie macie już za sobą rozwiązanie zagadki kresu czasu, rzekomo wyznaczonego przez kalendarz indiańskiego ludu – redakcji w połowie grudnia wystarczyć musi nadzieja oraz dziennikarska solidność wsparta wolą Wydawcy – „choćby się waliło i paliło gazeta być musi". Tak więc gdyby nawet kiedyś… to w tzw. zestawie przetrwania nowy numer „Odkrywcy" się znajdzie.

Porzucam już lekki ton, usprawiedliwiony świąteczno-noworoczną atmosferą i składam Wam – zagorzałym miłośnikom przeszłości najlepsze życzenia zdrowej i pomyślnej przyszłości, w której – o czym jestem przekonana – znajdzie się miejsce dla wspólnych pasji, intrygujących tematów, eksploracji oraz rozwiązań zagadek i tajemnic jakich ciągle wiele skrywa historia.

Przełom roku to okres, który w sposób najzupełniej oczywisty skłania do refleksji nad znaczeniem upływającego czasu i licznych tego konsekwencji. Jest ich tak wiele i dotyczą tak olbrzymiego katalogu zagadnień, że w zupełnie niepożądany sposób łatwo można popaść w amatorskie filozofowanie i nieuprawnione rozważania. Tego nie chcę i pospiesznie zostawiam zagadnienie czasu współczesnej fizyce. My skupimy się na niektórych jego cechach jakie podnoszą przy okazji rozważań w najnowszym „Odkrywcy" nasi Autorzy. Zwracam więc uwagę na felietony Wojtka Stojaka oraz Marcina Brzezińskiego na temat roli świadka w procesie poszukiwań tajemnic wojennych. Z jednej strony wiele tam uwag o czysto psychologicznych aspektach świadectw i przekazów formułowanych przez osoby, które stanowią źródło poznania faktów i wydarzeń, z drugiej jednak pojawia się funkcja upływu czasu i związana z nim ułomność pamięci wypełniana domysłem, a często nawet fantazją. Do tego dochodzi jeszcze kategoria czasu biologicznego – czasu ludzkiej egzystencji, która wkrótce pozbawi nas całkowicie osobowych źródeł przekazu o wielu wartych poznania wydarzeniach. Nawiasem mówiąc, Wojtka Stojaka to może nawet nie przerazi, bo po swojemu prowokuje stwierdzeniem o ogólnej niewiarygodności świadków – tak zaszli mu za skórę. Może więc zainteresuje się uwagą Marcina Brzezińskiego, który w upływającym czasie dostrzega nowe możliwości – otwierać się będą nowe archiwa – mijają kolejne lata, a wraz z nimi wygasają klauzule niedostępności akt. Wie o tym doskonale niestrudzony redakcyjny specjalista od archiwów Piotr Maszkowski, który tym razem podąża tropem skrzyń z częścią zaginionego do dziś zasobu Staatsarchiv Stettin – Państwowego Archiwum niemieckiego Szczecina. To nie koniec – Piotr następnie wiedzie nas po kolejne archiwalia do Paryża i czeskiego Děčina, by zakończyć szlak w Kamiennej Górze, śledząc losy 7 skrzyń pełnych tajnych akt. Rzeczywiście – w przypadku archiwów upływ czasu jest naszym rzadkim sprzymierzeńcem. Ciekawe jakie nowe tropy zagadek przeszłości będzie można podjąć korzystając z otwierających się coraz szerzej zasobów.

Z pojęciem czasu wiąże się też fundamentalna kategoria daty historycznej oraz potrzeba określania kolejnych etapów historii i ustanawiania jej cezur. Nie tylko porządkuje to samą historię, staje się też okolicznością, czasem pretekstem, do obchodzenia, bądź uwypuklania kolejnych jubileuszy i rocznic, będących świadomym działaniem zwracającym uwagę na wymiar i znaczenie samych wydarzeń. Formuła magazynu historycznego pozwala na zamknięcie w jednym wydaniu materiałów o różnych wydarzeniach historycznych i tematyk ze sobą bezpośrednio niezwiązanych, dlatego też w tym numerze naszego czasopisma z okazji 150. rocznicy Powstania Styczniowego publikujemy znakomity artykuł Piotra Galika o naszym polskim zrywie niepodległościowym z 1863 roku, ale też pamiętamy o fatalnym w skutkach urzeczeniu narodu niemieckiego postacią Adolfa Hitlera w związku z 80. rocznicą objęcia przez niego urzędu kanclerskiego i budową III Rzeszy. Artykuł Dariusza Pietruchy o kanale, którego patron pogrążył świat i same Niemcy w koszmarze II wojny światowej można postrzegać jako metaforę losu społeczeństw uwiedzionych narzędziami inżynierii technicznej i społecznej jakie serwowano społeczeństwom kryzysowych lat 30. minionego wieku.

Serdecznie zapraszam do lektury noworocznego „Odkrywcy"!

Izabela Kwiecińska

Sarin zabija cicho

TEKST: LESZEK ADAMCZEWSKI, WSPÓŁPRACA: DARIUSZ GARBA
ZDJĘCIA: LESZEK ADAMCZEWSKI, ARCHIWUM AUTORA, INTERNET

Brukowana droga z ułożonym w niej torem kolejowym wiedzie w głąb podfrankfurckiego lasu, który kryje jedną z wielu mrocznych tajemnic hitlerowskich Niemiec. Ten las miały bowiem opuszczać bomby i pociski artyleryjskie z potworną bronią masowej zagłady – niewidoczną i bezwonną trucizną. Gaz, który zamierzano tu produkować, miał zabijać cicho, bez ostrzeżenia…

Gdy 26 stycznia 1945 roku jednostki Armii Czerwonej zdobyły nadodrzańskie miasto Dyhrenfurth, w miejscowych zakładach chemicznych „Anorgana" koncernu IG Farben, w dwóch potężnych kadziach podziemnych przechowywano bezbarwną ciecz o lekko słodkim zapachu. Rosjanie, zajęci okrążaniem pobliskiego Breslau (Wrocławia), wokół zakładów wystawili tylko posterunki i poszli walczyć dalej. Nie wiedzieli, że w zakładach „Anorgana" pozostało dwóch profesorów, oficer wojsk chemicznych i osiemdziesięciu robotników, którzy nie zdążyli uciec za Odrę. Nie wiedzieli też, że zakłady te produkowały osłonięty największą tajemnicą Trzeciej Rzeszy tabun – śmiertelny gaz bojowy, który do organizmu człowieka dostawał się nie tylko przez usta i nos, co można było zasłonić maską przeciwgazową, ale również przez skórę.

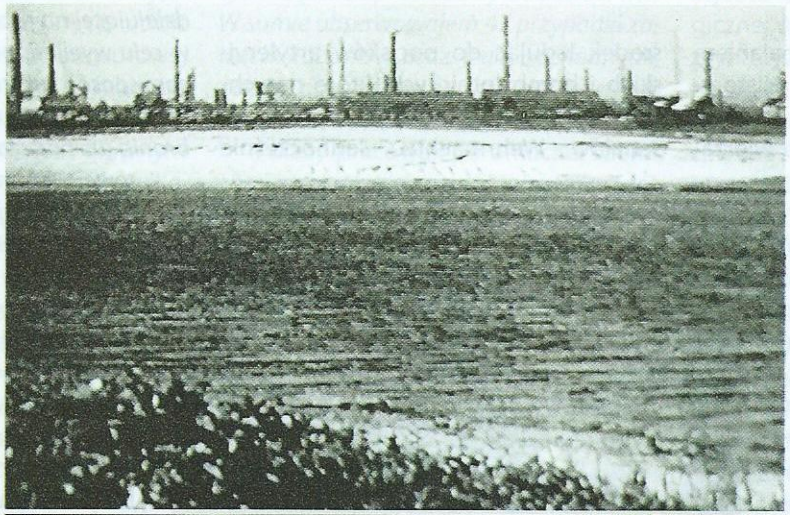

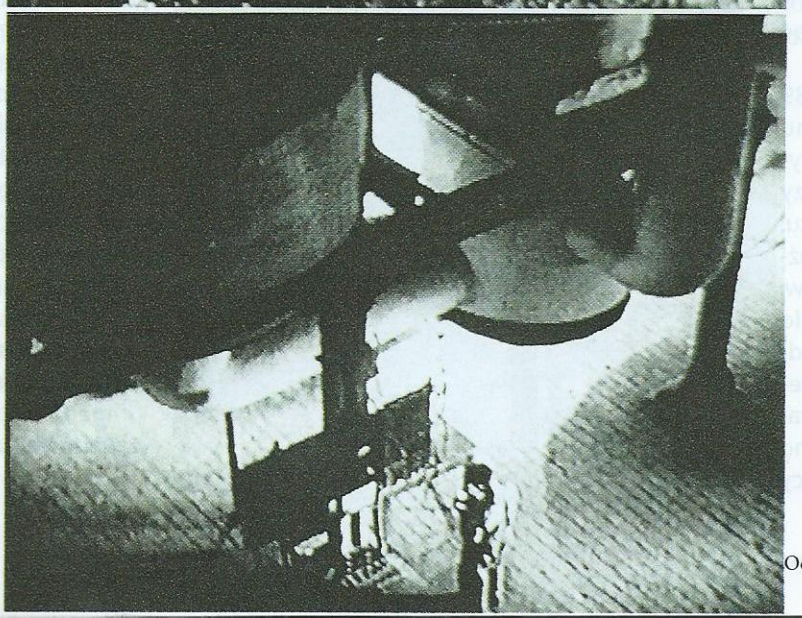

W męczarniach

Współczesna broń chemiczna narodziła się podczas I wojny światowej z inicjatywy prof. Fritza Habera. Ten niemiecki uczony o międzynarodowej sławie uważał gaz za środek bojowy, który przełamie impas wojny pozycyjnej i doprowadzi jego ojczyznę, czyli Niemcy, do szybkiego zwycięstwa. Tym samym on, Haber, przysłuży się swej ojczyźnie. Swoim wynalazkiem zainteresował wojsko, ale generałowie niemieccy początkowo niechętni byli broni chemicznej. Uważali ją za broń niehonorową. Przeciągająca się wojna sprawiła jednak, że rychło wyzbyli się skrupułów, i na początku 1915 r. postanowili wykorzystać wynalazek Habera, a jego powołać do wojska na stanowisko szefa nowo utworzonej służby gazowej. Do pierwszego próbnego ataku gazowego doszło 22 kwietnia 1915 roku pod Ypres, gdzie na sześciokilometrowym odcinku frontu Niemcy ustawili 6 tys. butli wypełnionych chlorem. W ciągu 5 min. 180 ton gazu popłynęło w stronę pozycji wojsk francuskich i algierskich. 15 tys. ludzi zostało porażonych, z których około 5 tys. zmarło natychmiast, a drugie tyle wkrótce, w niewyobrażalnych wręcz męczarniach. W tamten kwietniowy czwartek po raz pierwszy w dziejach ludzkości użyto broni masowego rażenia. Skutki pierwszego ataku gazowego przeraziły nie tylko dowództwo francuskie, ale także Niemców, którzy w ogóle nie byli przygotowani na tak niespodziewany… sukces. Strony walczące w Wielkiej Wojnie używały chloru, fosgenu i gazu musztardowego zwanego też iperytem. Zabiły lub okaleczyły one setki tysięcy ludzi. Gazy bojowe okazały się najbardziej nieludzką bronią w tej nieludzkiej wojnie. Po jej zakończeniu Fritz Haber liczył się z aresztowaniem i uznaniem za zbrodniarza wojennego. Tymczasem w 1919 roku otrzymał… Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii za przedwojenne osiągnięcia naukowe. W Republice Weimarskiej prof. Haber kontynuował działalność naukową, mimo zakazu narzuconego Niemcom przez traktat wersalski nadal zajmując się gazami trującymi, chociaż oficjalnie były to badania prowadzone w celach pokojowych. Jak wątła była granica między wojną a pokojem pokazuje kolejne osiągnięcie Fritza Habera. Na początku lat 20. wynalazł on skuteczny środek owadobójczy – cyklon B, który wiele lat później, użyty przez nazistów, doprowadził do zagłady milionów europejskich Żydów.

Tajna broń Hitlera

W Trzeciej Rzeszy Adolfa Hitlera ograniczeniami zbrojeniowymi traktatu wersalskiego nikt już się nie

Dwa kadry z tajnego filmu niemieckiego przedstawiającego zakłady „Anorgana" w Dyhrenfurth, czyli w dzisiejszym Brzegu Dolnym.

Zdjęcie z września 2005 roku. Wstęp do pohitlerowskiej fabryki gazów trujących koło Falkenhagen był zakazany.

przejmował. I nikt nie zabraniał kontynuowania badań nad gazami bojowymi, chociaż wszelkie tego typu prace osłonięte były ścisłą tajemnicą. W połowie lat 30. dr Gerhard Schrader z IG Farben wynalazł tabun, środek paraliżująco-drgawkowy rujnujący cały układ nerwowy. Zgodnie z obowiązującym w Niemczech prawem, swoje odkrycie Schrader musiał przekazać wojsku, a nawet zgodzić się pracować nad udoskonalaniem tabunu już pod egidą armii. Historycy nie są zgodni co do intencji doktora. Jedni twierdzą, że ten głęboko wierzący i praktykujący chrześcijanin czynił to przynajmniej pod przymusem, inni, że Schrader zgadzał się ze sztabowcami Wehrmachtu bez oporów moralnych, że łączył ich wspólny cel. W każdym razie tabun, około dwudziestokrotnie bardziej toksyczny od gazów używanych w I wojnie światowej, miał stać się tajną bronią Hitlera. I to na jego polecenie koncern IG Farben miał wybudować zakłady produkcji tabunu.

W przedostatni dzień 1939 roku kierownictwo koncernu wybrało ich lokalizację – Dyhernfurth nad Odrą (dzisiejszy Brzeg Dolny) na Dolnym Śląsku. Od tego dnia budowa, a później uruchomienie zakładów, okryte głęboką tajemnicą, było jednym z ważniejszych przedsięwzięć zbrojeniowych Trzeciej Rzeszy. Od 1942 r. w zakładach „Anorgana" produkowano tabun, na miejscu ten trujący środek ładując do pocisków artyleryjskich i bomb lotniczych, które natychmiast wywożono stąd do tajnych arsenałów Wehrmachtu. Jednocześnie w zakładach nad Odrą pracowali niemieccy naukowcy, nadal udoskonalając technologię produkcji i śmiercionośne parametry tabunu, a w jednostkach Wehrmachtu oswajano żołnierzy z bronią chemiczną, oprócz ćwiczeń wyświetlając im instruktażowy film. *„Pod pojęciem gazu* – słychać z głośnika słowa komentarza – *rozumiemy wszelkie wytwory przemysłu chemicznego, które mogą zostać użyte w charakterze broni chemicznej oddziałującej na przeciwnika podczas bitwy w celu wyeliminowania go z akcji. W ten sam sposób substancje chemiczne, rozwijane pracą setek umysłów, były skuteczną bronią już podczas pierwszej wojny światowej. Musimy zatem spodziewać się, że wróg użyje ich i powinniśmy być na to przygotowani w każdej chwili".*

ZAPADŁA WIĘC DECYZJA: „Anorganę" należy natychmiast odbić z rąk Rosjan, uwolnić profesorów i zniszczyć zapasy tabunu poprzez wypompowanie go do Odry, gdzie ulegnie on rozłożeniu, i tym samym Rosjanie nie będą mogli określić składu chemicznego tego gazu.
W czasie wojny Niemcy wyprodukowali ok. 12 tys. ton tabunu, wykorzystując do tego celu niewolniczą siłę roboczą – więźniów miejscowej filii obozu koncentracyjnego Gross-Rosen.

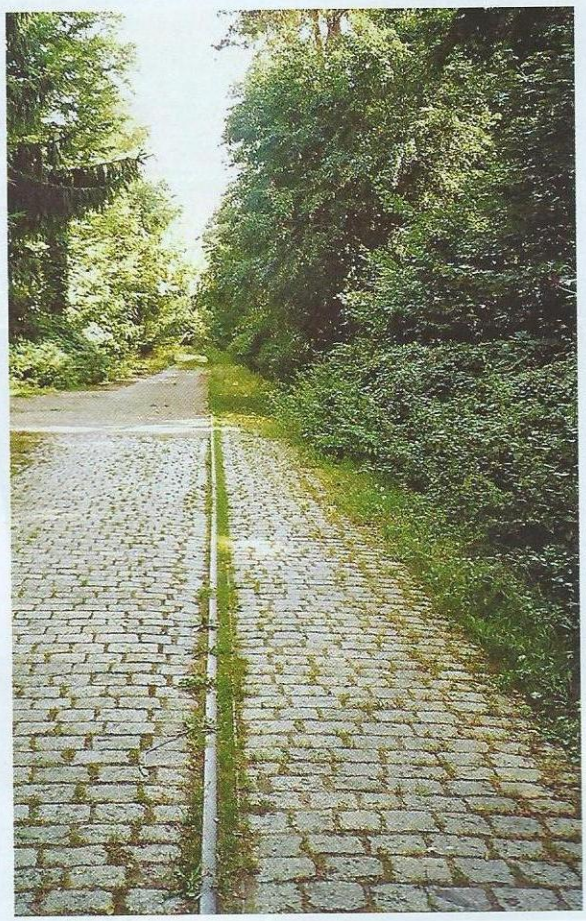

Brawurowa akcja żołnierzy Sachsenheimera

Szybkie zajęcie Dyhrenfurthu przez Armię Czerwoną wśród Niemców wywołało panikę. Obawiali się zarówno tego, że w ręce Rosjan wpadnie owa bezbarwna ciecz – nieznany im gaz bojowy, jak i tego, że mogą go wykorzystać przeciwko oddziałom Wehrmachtu i ludności cywilnej Dolnego Śląska. W sztabie 4. Armii Pancernej zapadła więc decyzja: „Anorganę" należy natychmiast odbić z rąk Rosjan, uwolnić profesorów i zniszczyć zapasy tabunu poprzez wypompo-

Po tym torze kolejowym, wiodącym w głąb fabryki koło Falkenhagen, od zakończenia II wojny światowej nie przejechał żaden pociąg.

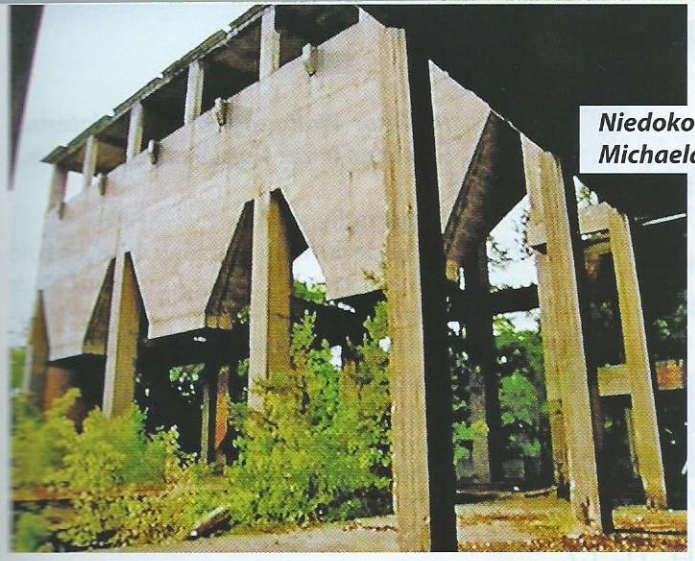

Niedokończone obiekty fabryki gazów trujących na kadrach z filmu Michaela Klofta „Podziemia Trzeciej Rzeszy".

wanie go do Odry, gdzie ulegnie on rozłożeniu, i tym samym Rosjanie nie będą mogli określić składu chemicznego tego gazu. Przy okazji należy też zniszczyć zapasy surowców potrzebnych do produkcji gazu i przynajmniej część instalacji produkcyjnych. To zadanie otrzymał do wykonania 35-letni Max von Sachsenheimer. Ten najmłodszy (od grudnia 1944 roku) generał Wehrmachtu natychmiast odrzucił plan przygotowany w sztabie armii, przewidujący frontalny atak na Dyhrenfurth z udziałem artylerii. Sachsenheimer chciał skrycie odbić zakłady. I to mu się udało w brawurowej akcji rozpoczętej w nocy z 3 na 4 lutego 1945 roku i trwającej do wieczora 5 tegoż miesiąca, ale ona nie jest głównym tematem tego artykułu. Dodam tylko, że szczegółowy opis tej akcji znajdziemy w książce Hansa von Ahlfena „Walka o Śląsk 1944-1945", która w 2009 roku ukazała się nakładem Wydawnictwa Dolnośląskiego.

Podczas II wojny światowej Niemcy wyprodukowali w „Anorganie" około 12 tys. ton tabunu, wykorzystując do tego celu niewolniczą siłę roboczą – więźniów miejscowej filii obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, z których ponad 3 tys. zmarło z głodu i chorób, zostało zamordowanych lub zatruło się tabunem. Były to jedyne ofiary gazu, którego Niemcy nie użyli w działaniach bojowych. Ofiary były również po wojnie, gdy w polskim już Brzegu Dolnym dawne zakłady „Anorganie" przystosowywano do nowych zadań. Doszło wówczas do zatruć związkami fosforoorganicznymi. Doktor Zbigniew Wroniewicz, w drugiej połowie lat 40. minionego wieku kierownik fabrycznego ambulatorium, wspominał: *„Demontaż polegał na przedmuchiwaniu parą i oczyszczaniu szlamem i mułem aparatury, przewodów, zbiorników i pomieszczeń. Był on wykonywany przez drużyny pracujące w maskach (czasem w aparatach tlenowych) i ubraniach przeciwiperytowych. Nieszczelność ubrań i aparatów oraz nieuwaga pracujących często doprowadzały do zatruć. (...) W sumie obserwowałem 42 przypadki zatrucia tabunem oraz jego pochodnymi, z czego poza ośmioma zatruciami ostrymi większość miała charakter podostry".*

Polacy pracowali po omacku. Niemcom udało się wywieźć nie tylko dokumentację technologiczną produkcji tabunu, ale i plany zakładów pełne podziemnych labiryntów i skomplikowanych instalacji. Wprawdzie za pośrednictwem Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie podjęto próbę uzyskania dostępu do tych materiałów, które wpadły w ręce wojsk amerykańskich, ale starania te okazały się daremne. Technologię produkcji tabunu alianci zachodni również otoczyli ścisłą tajemnicą.

W roku poprzedzającym wybuch II wojny światowej doszło do dwóch ważnych dla naszych dalszych rozważań zdarzeń, które pozornie nic nie łączy. Oto w 1938 roku, a więc wkrótce po odkryciu przez Schradera tabunu, dr Wolfgang Wirth z Uniwersytetu w Berlinie, późniejszy profesor oraz kierownik instytutu farmakologii i obrony toksykologicznej Wojskowej Akademii Medycznej, zsyntetyzował jeszcze bardziej toksyczny od tabunu środek chemiczny, który nazwano sarinem ($C_4H_{10}FO_2P$). I w tymże 1938 roku Naczelne Dowództwo Wehrmachtu zleciło koncernowi Deutsche Sprengchemie GmbH zbudowanie częściowo podziemnego obiektu, gdzie niemieccy naukowcy mieli pracować nad substancjami zapalającymi. Obiektowi temu, który zlokalizowano w lesie między wioskami Falkenhagen i Döbberin, kilkanaście kilometrów na zachód od Frankfurtu nad Odrą, nadano kryptonim „Seewerk" (zakłady morskie).

Minęło kilka lat. W 1943 roku mający już spore wpływy w wojsku i przemyśle chemicznym prof. Wirth upomniał się o swój wynalazek, a koncern IG Farben za cenę przekazania mu obiektu koło Falkenhagen zgodził się zbudować tam nowoczesną fabrykę gazów trujących. Naczelne Dowództwo Wehr-

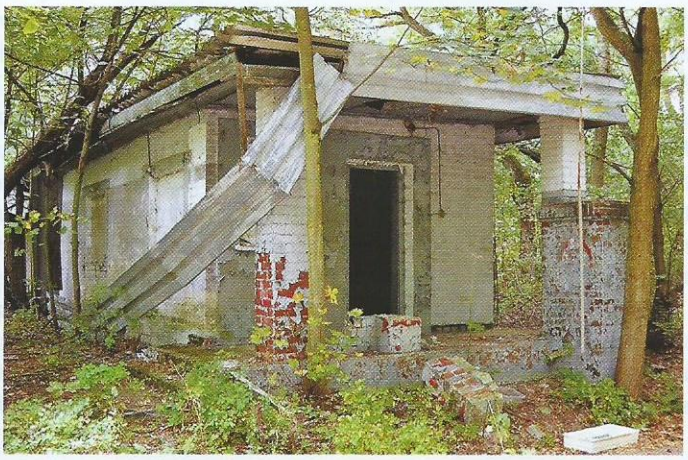

Dawna wartownia fabryki gazów trujących koło Falkenhagen, przebudowana przez Rosjan w czasach NRD, na zdjęciu z 2009 r.

machtu udostępniło ów obiekt koncernowi, który za ogromną sumę 44 milionów marek rozpoczął prace budowlane. Korzystając z doświadczeń zdobytych podczas budowy zakładów w Dyhrenfurcie, część urządzeń i instalacji produkcyjnych koło Falkenhagen zamierzano ukryć pod ziemią, głównie w otrzymanym od wojska obiekcie. Tymczasem co rozsądniejsi oficerowie Wehrmachtu, odpowiedzialni za uzbrojenie, i pragmatyczni urzędnicy Ministerstwa Uzbrojenia i Amunicji Rzeszy dobrze zdawali sobie sprawę, że budowa kolejnych zakładów gazów bojowych jest marnotrawstwem przede wszystkim deficytowych materiałów, choćby stali zbrojeniowej, którą z powodzeniem można byłoby wykorzystać gdzie indziej. Führer – mówili we własnym gronie – najprawdopodobniej nie zdecyduje się na użycie broni chemicznej. Nie tylko obawia się zwielokrotnionej odpowiedzi aliantów, ale także z tego powodu, że sam podczas I wojny światowej w ataku gazowym o mały włos nie stracił wzroku. A ponadto – dodawali – mamy ogromne zapasy pocisków artyleryjskich i bomb wypełnionych gazami bojowymi. Po co więc – pytali samych siebie – kolejne zakłady w Falkenhagen?

Silniki zamiast gazu?

Nic zatem dziwnego, że na przełomie zimy i wiosny 1944 roku miejscowość Falkenhagen zaczęła pojawiać się w niemieckich dokumentach, dotyczących dyslokacji zakładów silników lotniczych koncernu Daimler-Benz. Te, 25 marca 1944 roku w Genshagen zostały po raz pierwszy zbombardowane przez aliantów, co tylko przyspieszyło prowadzone już od jakiegoś czasu przez Jägerstab (specjalny sztab zajmujący się produkcją myśliwców) rozmowy na temat ich dyslokacji. W pracy Dietricha Eichholza „Geschichte der deutschen Kriegswirtschaft 1939-1945", w trzecim tomie poświęconym latom 1943-1945 czytamy, że rozpatrywano przede wszystkim podziemia w Hochwalde koło Meseritz (w Wysokiej koło Międzyrzecza) oznaczone kryptonimem „Schachtelhalm". Owe podziemia to po prostu umocnienia Ufortyfikowanego Frontu Łuku Odry-Warty, zwanego dzisiaj Międzyrzeckim Rejonem Umocnionym. Tę kosztowną budowę Hitler polecił przerwać w maju 1938 roku. Po wybuchu wojny

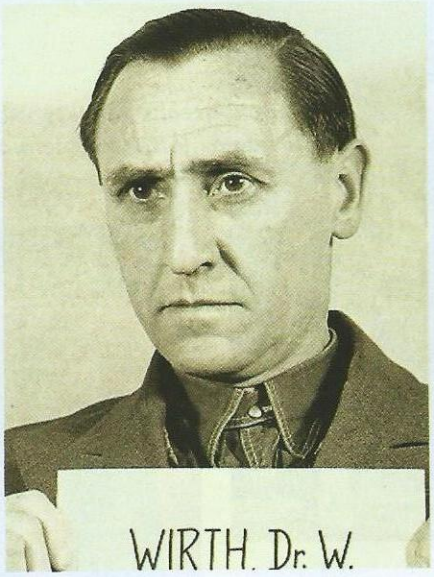

były one niewykorzystywane, aż do końca lata 1942 roku. Wówczas to, do podziemnych komór nieukończonej baterii pancernej numer 5. (obecnej Pętli Boryszyńskiej), rozpoczęto zwozić z okupowanego Poznania najcenniejsze zabytki ze zbiorów Kaiser-Friedrich Museum i unikatowe archiwalia z Reichsarchiv Posen – dwóch najważniejszych instytucji kulturalnych Kraju Warty. Gdy w sierpniu 1943 roku zdecydowano, że niemiecki przemysł zbrojeniowy zacznie stopniowo schodzić pod ziemię, w Berlinie zwrócono uwagę na ciągnące się kilometrami podziemia fortyfikacji międzyrzeckich. Po zbombardowaniu zakładów w Genshagen część produkcji zamierzano przenieść właśnie w okolice Międzyrzecza, jednocześnie planując przenieść, do podziemi koło Hochwalde, również produkcję silników do czołgów z zakładu Daimler-Benz w Berlinie-Marienfeldzie. Jak wynika z niemieckich dokumentów, alternatywą były podziemne i naziemne obiekty fabryki gazów trujących w Falkenhagen koło Frankfurtu nad Odrą. Przedstawiając tę kandydaturę na posiedzeniu Jägerstabu płk Wolf ze sztabu uzbrojenia w Poczdamie powiedział, że w Falkenhagen można ustawić 650 dużych maszyn z wyposażeniem. Do dyspozycji jest tam 7500 m kw. podziemi i 1500 m kw. powierzchni naziemnej. 12 kwietnia 1944 roku na kolejnej naradzie Jägerstabu zaakceptowano cztery lokalizacje zakładów silników lotniczych Daimler-Benz, w tym tunel „Schachtelhalm" w fortyfikacjach międzyrzeckich i właśnie obiekt w Falkenhagen, jednocześnie tę ostatnią lokalizację opatrując zastrzeżeniem *„o ile to będzie możliwe"*. Nie było. Przemysłowo-wojskowe lobby gazowe wygrało.

Profesor Wolfgang Wirth po internowaniu go przez wojska amerykańskie.

Supertajny schron

Budowy fabryki gazów trujących koło Falkenhagen nie ukończono, chociaż dr Heini Hoffmann, historyk i członek byłej Akademii Nauk NRD, w wypowiedzi dla kultowego już dzisiaj niemiecko-kanadyjskiego telewizyjnego filmu dokumentalnego Michaela Klofta z 2004 roku, znanego w Polsce pod tytułem „Podziemia Trzeciej Rzeszy", twierdził, że w gotowych już obiektach rozpoczęli prace naukowcy, udoskonalając technologię produkcji sarinu. *„Sarin – mówił Hoffmann – działa na układ oddechowy. Jedna kropla wystarczy, by skazić jeden metr sześcienny powietrza. Gdy dochodzi do kontaktu z gazem, w ciągu 6 minut następuje śmierć w wyniku niewydolności układu oddechowego"*. A w Falkenhagen zamierzano produkować ponad 500 ton tej silnej trucizny miesięcznie. Niewidocznej, bezwonnej, bez smaku. Wraz z sarinem śmierć miała nadejść bez ostrzeżenia…

W drugiej połowie kwietnia 1945 roku okolice Falkenhagen zajęli czerwonoarmiści. W ich ręce wpadła też ukryta w lesie fabryka. W niektórych jej obiektach ponoć hodowano świnie… W 1958 r. w sztabie stacjonującej w NRD Zachodniej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej podjęto strategiczną decyzję o przebudowie obiektu z 1938 roku na podziemny schron Układu Warszawskiego, zabezpieczający przebywających w nim wojskowych przed bronią atomową, biologiczną i chemiczną. Schron ten, wraz z towarzyszącymi mu obiektami, był tak tajny, że jeszcze długo po zjednoczeniu Niemiec, pisząc lub mówiąc o pohitlerowskiej fabryce gazów trujących w Falkenhagen pomijano go. Tak też w 2004 roku uczynił Michael Kloft we wspomnianym filmie o podziemiach hitlerowskich Niemiec. Operator zauważył tam tylko 80-metrowej długości podziemny korytarz…

Leszek Adamczewski
Dziennikarz, pisarz, wnikliwy badacz przeszłości. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor wielu niezwykle popularnych książek o tematyce eksploracyjnej i historycznej.
Dariusz Garba
Badacz „Riese", autor i współautor licznych publikacji dotyczących tajemnic II wojny światowej. Od 20 lat mieszka w Niemczech, pozyskuje z tamtejszych archiwów dokumenty, dociera do świadków mrocznej przeszłości nazistowskich Niemiec.

Polowanie na skrzynie…

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
DOKUMENTY: IPN

Tym razem podążymy tropem skrzyń z częścią zaginionego do dziś zasobu Staatsarchiv Stettin, ukrytych w jednej z miejscowości Pomorza Zachodniego. Następnie udamy się z krótką wizytą do Paryża, gdzie w 1950 roku na terenie polskiej ambasady odnaleziono dwie skrzynie pełne poniemieckich klisz i przeźroczy z czasów okupacji. Wracając do kraju zahaczymy o Czechosłowację. W tym samym czasie bowiem natrafiono w miejscowości Děčin na 16 skrzyń z dokumentacją śląskiego NSDAP, którą Czesi niekoniecznie chcieli zwrócić do Polski. Gdy to już zrobili, okazało się, że w archiwach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego nie ma dla niej miejsca. Na koniec zawitamy na Dolny Śląsk, by prześledzić losy 7 skrzyń pełnych tajnych akt ukrytych w Kamiennej Górze…

Hitlerowskie archiwa do dziś wzbudzają spore emocje, bywają też marzeniem wielu eksploratorów i tropicieli tajemnic. Któż bowiem by nie chciał odnaleźć dokumentacji budowlanej „Riese" lub innych tajnych obiektów podziemnych, akt akcji ukrywania depozytów bankowych czy dzieł sztuki? Choć dzisiaj, trwająca od końca wojny gorączka poszukiwań tego typu materiałów nieco przygasła, wciąż wielu liczy na takie trafienia. Wraz z upływającym czasem szanse na ich odnalezienie jednak maleją, również z tego względu, że papier nie jest wieczny, podobnie jak pamięć ludzka przemijająca wraz z odejściem ostatnich świadków. Był jednak czas, gdy odkrywane skrzynie z dokumentami nie budziły tylu emocji, gdyż było to zjawisko stosunkowo częste. Cofnijmy się zatem w tamte czasy, do przełomu lat 40. i 50. oraz przyjrzyjmy się szczegółom kilku dobrze udokumentowanych historii tego typu.

Na tropie Staatsarchiv Stettin

W związku z nasilającą się ofensywą bombową przeciwko ośrodkom przemysłowym III Rzeszy, władze niemieckie zdecydowały o konieczności ewakuacji najcenniejszych dóbr kultury, do bezpieczniejszych, oddalonych od aglomeracji miejskich składnic na prowincji. Obok eksponatów muzealnych i licznych dzieł sztuki, zarówno własnych, jak i zrabowanych, wywożone były również zasoby największych archiwów. Działania te były przeprowadzane stosunkowo sprawnie, gdyż biorąc tylko za przykład zbiory niemieckich archiwów państwowych funkcjonujących we Wrocławiu czy Szczecinie, udało się od 1942 roku dyslokować ok. 80% przechowywanych tam akt. Nie oznaczało to jednak, że udało się je w ten sposób w całości ochronić – spora część zbiorów uległa w ten sposób bezpowrotnemu rozproszeniu, zniszczeniu czy też zaginęła podczas zawieruchy wojennej. Późniejszy proces scalania wymienionych archiwów praktycznie nigdy się nie zakończył, mimo intensywnych starań podejmowanych po wojnie przez polskich już dyrektorów Archiwów Państwowych na Dolnym Śląsku czy Pomorzu Zachodnim. Szczecin, jako jeden z największych ośrodków stoczniowych III Rzeszy zagrożony był bombardowaniami w szczególnym stopniu, zresztą w przeciwieństwie do Wrocławia stał się jednym z priorytetowych celów alianckiego lotnictwa. Dyrekcja tamtejszego Staatsarchiv Stettin, zdając sobie sprawę z potencjalnego zagrożenia swych zasobów, dość szybko postanowiła je zabezpieczyć.

Począwszy od 1942 roku nastąpił proces systematycznej ewakuacji zbiorów do wytypowanych składnic znajdujących się w kilku miejscowościach Pomorza Zachodniego, gdzie do końca wojny wywieziono ok. 80% przechowywanych akt. Jedną z nich był majątek Bonin w powiecie łobeskim oddalony od aglomeracji szczecińskiej o ok 100 km. Kiedy 1 sierpnia 1945 roku funkcję dyrektora szczecińskiego Archiwum Państwowego objął przedwojenny opiekun zbiorów Radziwiłłów Bolesław Tuhan-Taurogiński, priorytetem stało się scalenie rozproszonego w czasie wojny zbioru. Rozpoczęła się więc mozolna, iście detektywistyczna praca nielicznego zespołu archiwistów, których determinacja zaowocowała odzyskaniem sporej części zasobów Staatsarchiv Stettin. Nie zawsze jednak podejmowane tropy okazywały się właściwe…

PODCZAS PRAC PORZĄDKOWYCH w jednym z pomieszczeń gmachu Ambasady RP w stolicy Francji, natrafiono na nieruszane od czasów II wojny dwie skrzynie. Gdy je otworzono, okazało się, że wypełnione są po brzegi licznymi kliszami i przeźroczami. Po ich pobieżnym przejrzeniu stwierdzono, że zawierają poniemieckie materiały z czasów okupacji.

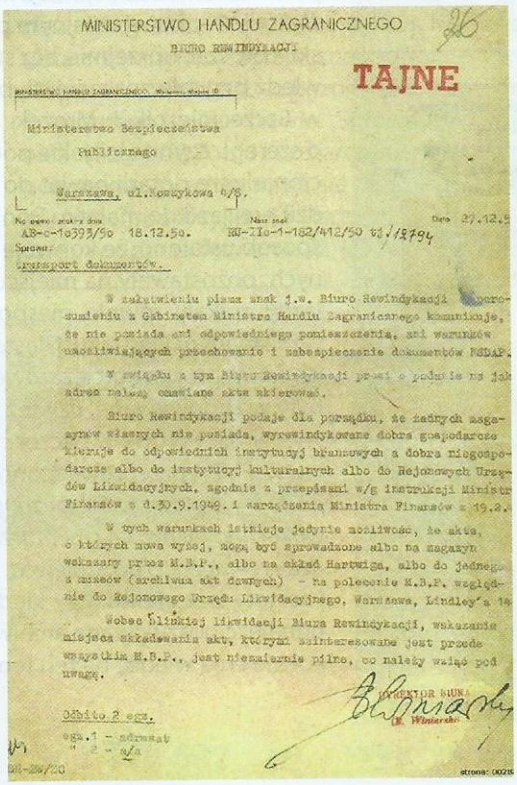
MINISTERSTWO HANDLU ZAGRANICZNEGO
BIURO REWINDYKACJI

TAJNE

Ministerstwo Bezpieczeństwa
Publicznego

Warszawa, ul. Koszykowa 6/8.

AB-c-1e393/50 18.12.50. RW-IIe-1-182/412/50 tj./2794

Sprawa:
transport dokumentów.

Szczecin, czerwiec 1946 roku. Nie minął jeszcze rok od funkcjonowania polskiej administracji, gdy udało się dyrektorowi Archiwum Państwowego pozyskać niezwykle cenną informację. 14 lipca oraz 13 i 15 sierpnia

Pismo w sprawie akt śląskiego NSDAP odnalezionych na terenie Czechosłowacji.

„Geheim"

W marca 1950 roku Dyrektor Departamentu II MBP skierował polecenie do Szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego we Wrocławiu, aby: *„w przeciągu 2 miesięcy sporządzić pełne spisy akt archiwalnych znajdujących się we wszystkich podległych wam jednostkach (również i więzienia). W spisach należy podać akta okresu międzywojennego i okupacji, uwzględniając rodzaj akt, z jakiego urzędu pochodzą, za jakie lata oraz ich ilość"*. Dyspozycja miała związek z porządkowaniem akt resortu i uzupełnieniem archiwów MBP o wszystkie materiały archiwalne znajdujące się w dyspozycji poszczególnych powiatowych i wojewódzkich Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego. Okazało się bowiem, że w prowincjonalnych jednostkach terenowych MBP przechowywane są potencjalnie wartościowe materiały poniemieckie, o których zawartości warszawska centrala wiedziała niewiele, jeżeli cokolwiek. Tym bardziej, że „urobiona po pachy" w terenie lokalna bezpieka, niespecjalnie interesowała się przechowywanymi w ich siedzibach dokumentami z prozaicznej przyczyny. Znajomość jęz. niemieckiego wśród funkcjonariuszy była znikoma, poziom wykształcenia niski, a „ogrom" zadań przed nimi stojących, zbyt absorbujący, by studiować dokumenty – choćby w celach operacyjnych. Szef WUBP we Wrocławiu rozesłał więc do podległych jednostek stosowne wytyczne, określił dwumiesięczny termin realizacji i cierpliwie czekał na odpowiedzi. Te schodziły jednak niezwykle opornie. Dopiero 14 maja 1950 roku wysłał do warszawskiej centrali pierwsze raporty z przebiegu powierzonego zadania (pisownia oryginalna): *„W załączeniu przesyłamy spisy akt archiwalnych z okresu międzywojennego i okupacji, znajdujące się w podległych nam jednostkach BP i MO:*

1. PUBP Żagań (...).
2. PUBP Żary (...).
3. Więzienie Świdnica.
4. Post. MO Solice Zdrój pow. Wałbrzych (...).
5. Post. MO Kuźnice Świdnickie (...).
6. Więzienie Kładzko (...).
7. Pow. Komenda MO Trzebnica (...).
8. Pow. Komenda Kożuchów (...). Jednocześnie zawiadamiamy, że w PUBP Kamienna Góra znajduje się 7 skrzyń dokumentów poniemieckich – tajnych – dotyczących poszukiwań za agentami GPU oraz osobami innych narodowości, oraz różne tajne i ściśle tajne instrukcje przedstawiające tajemnicę państwową / Zarządz. Regeirungsprasidenta Luftgaukomando VIII, Geheim Stadt Polizei, Kryminalpolizei i inne/, których wykaz nie został sporządzony ponieważ nie ma tam funkcjonariusza znającego jęz. niemiecki. Nadto w PUBP Lubin znajdują się legitymacje członków SA za rok 1932 i 1933, zaś w PUBP Syców znajdują się akta niemieckie z różnych urzędów za lata 1700-1900, pisane przeważnie w jęz. gotyckim, gdzie również z braku tłumacza spisów nie sporządzono. Nadmieniamy, że nie wszystkie jednostki nadesłały nam już pełne spisy akt archiwalnych – np. więzienie w Brzegu n/d Odrą zwróciło się z prośbą o przedłużenie terminu nadesłania wykazu akt archiw. ponieważ z powodu dużej ilości znajdujących się tam akt – nie mogli wykazu nadesłać w oznaczonym terminie. Dlatego też dodatkowe wykazy prześlemy w późniejszym terminie po nadesłaniu przez poszczególne jednostki".

W powyższym dokumencie natrafiamy na niezwykle ciekawą informację dotyczącą interesującego nas wątku „skrzyniowego". Dzięki pozyskanej dokumentacji możemy go nieco uszczegółowić i częściowo prześledzić. W tym celu musimy się cofnąć o kilka miesięcy, do stycznia 1950 roku. Wówczas szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Namysłowie zawiadomił Naczelnika Wydziału Ogólnego WUBP we Wrocławiu, *„że na terenie Miasta Kamienna Góra w mleczarni mają się znajdować siedem skrzyń dokumentów poniemieckich dotyczących naszego powiatu, a między nimi jedna skrzynia dokumentów ściśle tajnych"*. Informacja pochodziła z zaufanego źródła, jakim było miejscowe starostwo powiatowe, które jednocześnie prosiło bezpiekę o jej zweryfikowanie i ewentualne przejęcie materiałów. Niedługo później, WUBP we Wrocławiu zwrócił się z prośbą do szefa PUBP w Kamiennej Górze: *„o natychmiastowe ustalenie w/wspomnianego faktu, celem zabezpieczenia w/w dokumentów dla org. BP"*. Trudno powiedzieć kiedy, i w jakich okolicznościach, odnalezione zostały ww. skrzynie, jednak w tym przypadku owe „natychmiastowe ustalenie" trwało co najmniej 4 miesiące. Prawdopodobnie też do końca się to miejscowej bezpiece nie udało, gdyż dopiero wiosną wstępną inwentaryzację zawartości skrzyń przeprowadził przybyły ze stolicy Dolnego Śląska starszy referent sekcji II wydziału II WUBP we Wrocławiu Beliński, który tak oto opisał efekt przeprowadzonych czynności (pis. oryg.): *„Na podstawie pobieżnego przeglądu dokumentów niemieckich dotyczących terenu namysłowskiego, zorientowałem się, że są to akta tajne niemieckiej administracji w Namysłowie za okres od 1936 roku do chwili wyzwolenia. M.in. widziałem tajne dokumenty Gestapo, różne poszukiwania osób i instrukcje Gestapo. Są tam karty meldunkowe biura ewidencji i ruchu ludności. Kronika pisana ręcznie, a pochodząca z XVI wieku. Kartoteki z przechwyconą prasą polską pisaną w jęz. polskim. Przechwycone listy. Najwięcej jest pism oznaczonych «Geheim» pochodzących z Gestapo, jak poszukiwania i instrukcje. Są również dokumenty traktujące sprawy gospodarcze i opiekę zdrowotną. Ponadto odnaleziono większą ilość pieczątek kauczukowych z Namysłowa. W załączeniu przedkładam przy niniejszym kilka poszukiwań dot. GPU, PPR i KPD oraz inne, jak również dwie karty z odciśniętemi przeze mnie pieczątkami, które znajdują się w II Ref PUBP w Kamiennej Górze"*. Trudno dzisiaj prześledzić dalszy los wzmiankowanej dokumentacji, można jednak przypuszczać, iż trafiła do archiwów MBP lub częściowo do chcącego je pozyskać Starostwa Powiatowego w Namysłowie. Być może powyższe akta przetrwały, i są obecnie przechowywane w Instytucie Pamięci Narodowej, bądź w którymś z Archiwów Państwowych.

Powyższe przykłady ukazują niezwykłą różnorodność losów archiwaliów poniemieckich, masowo wówczas pozyskiwanych przez resort bezpieczeństwa i instytucje państwowe. Oczywiście jest to zaledwie ułamek tego typu spraw, które ówcześnie miały miejsce. Jak się jednak przekonaliśmy, historie te są dalekie od jakiejkolwiek spektakularności. W późniejszych bowiem dekadach takowa została im nadana, gdy stały się kanwą licznych powieści i filmów sensacyjnych, czy artykułów prasowych pełnych spiskowych teorii z nazistowskimi aktami w tle. Ich motyw jest wdzięcznym tematem dla fikcji literackiej opartej na prawdziwych wydarzeniach. Te pozostaną na zawsze w cieniu, jako mniej atrakcyjne. Chociaż, jak wiemy, życie płata różne niespodzianki, a rzeczywistość często może przerosnąć wytwory wyobraźni najzdolniejszych autorów gatunku.

Kilka refleksji

na temat roli świadka w odkrywaniu wojennych tajemnic

TEKST: MARCIN BRZEZIŃSKI

Do napisania tych refleksji zainspirował mnie zaprzyjaźniony, a znany i ceniony wrocławski historyk sztuki, a właściwie jego opinie. Po przeczytaniu artykułu o poszukiwaniach w Twierdzy Kłodzkiej, opublikowanego w „Odkrywcy" w grudniu 2011 r., przekazał mi swe uwagi o relacji Józefa Rosiaka. W szczególności o skrzyniach, które Rosiak znosił do podziemi, napisał tak: *„...muzealnicy niemieccy nigdy by razem nie zapakowali obrazu i przedmiotów z dziedziny rzemiosła artystycznego, zwiększałoby to możliwość uszkodzenia obiektów. (...) Luzem, bez owinięcia w ligninę, papier czy tkaninę nigdy się szkieł czy porcelany nie pakuje w trociny. Niemcy byli systematyczni i drobiazgowi, nawet w pośpiechu nie popełniliby takiego błędu. W jednej skrzyni nie mogły być zapakowane przedmioty różnych gatunków (a już razem szkło, porcelanę i metal!), więc już w tym momencie jego zeznanie było niewiarygodne"*. Streszczając dalej tok myślenia mojego przyjaciela, uważa on za całkowicie nieprawdopodobne, by Rosiak z kolegą mogli coś ze skrzyni ukraść, a także za niewykonalną możliwość powrotu Rosiaka do podziemi, w dniu następnym, ze względu na rygory w twierdzy.

Opinia interesująca, argumenty – szczególnie dotyczące zawartości skrzyni – poważne, ale muszę zarzucić takiemu rozumowaniu ahistoryczność, i to mimo poczynionego zastrzeżenia uwzględniającego niby czas wojny: „nawet w pośpiechu". Mój przyjaciel prezentuje tu wnioskowanie przez analogię. Taki schemat myślenia bywa zawodny, bo daje tylko pewne prawdopodobieństwo. Jednym z warunków tego wnioskowania jest dostatecznie duża ilość danych porównawczych. Tymczasem w określonej sytuacji nic nie wiemy o takich czynnikach, jak: miejsce pochodzenia ukrywanych obiektów, okoliczności pakowania, możliwości selekcji, poziom kompetencji pakujących itp. Mimo nasycenia niemieckich grup dokonujących rabunku dóbr kultury muzealnikami i historykami sztuki oraz wobec wielości aktów grabieży i ukrywania, trzeba stwierdzić, że nie wszyst-

> ***„Ci, co nie byli w obozie (...) niech powstrzymają się od wydawania swego sądu o ludziach i wypadkach".***

ko w czasie wojny odbywało się w warunkach – powiedzmy umownie i najdelikatniej – odpowiadających sterylnym wzorcom. Mówiąc o typie wnioskowania, blisko jesteśmy kryminalistycznej teorii wykrywania, i o krok od określenia roli i miejsca świadka. W sferze prawa karnego – generalnie rzecz biorąc – świadkowi grożą sankcje za zatajanie prawdy lub mówienie nieprawdy. Świadek w każdego typu procesie dochodzenia do prawdy – formalno-prawnym, dziennikarsko-śledczym, czy publicystyczno-historycznym – pełni niezwykle ważną, chwilami kluczową rolę. Jedną z instytucji prawa jest instytucja przedaw-

REKLAMA

MOTO WETERAN BAZAR

stroje motocyklowe
części
pojazdy zabytkowe
renowacja pojazdów
motocykle współczesne
militaria
motorowery
skutery
starocie
pojazdy wojskowe
akcesoria
gadżety
literatura
kaski

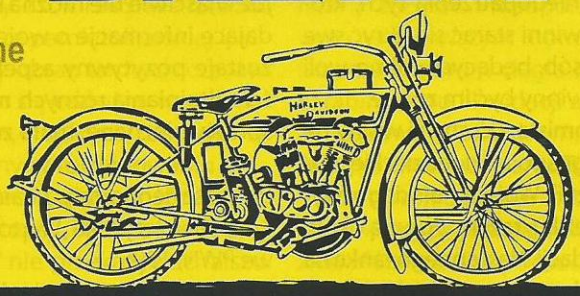

ŁÓDŹ 19.01.2013
CENTRUM WYSTAWOWE MTŁ / HALA SPORTOWA MOSIR
AL.POLITECHNIKI 3 / UL.KS.SKORUPKI 21

IMPREZY TOWARZYSZĄCE:
WYSTAWA GRUP REKONSTRUKCJI HISTORYCZNEJ I ZABYTKOWYCH POJAZDÓW MILITARNYCH

GIEŁDA MILITARIÓW
PONAD 60 STOISK

NAJWIĘKSZA IMPREZA KOLEKCJONERSKA
www.motoweteranbazar.com

nienia (z wyjątkiem zbrodni przeciwko pokojowi, ludzkości i wojennych), biorąca się m.in. z ograniczonych możliwości ścigania – z powodu nieodwracalnych procesów związanych z upływem czasu, przemian zachodzących w całym obszarze dowodów materialnych i osobowych. Masowość hitlerowskich zbrodni ludobójstwa i ich „publiczny" charakter powodowały, że nie dało się tego ukryć i po wojnie pozostali świadkowie. Z czasem jednak naturalne zjawiska demograficzne powodują, że późne procesy zbrodniarzy borykają się z brakiem świadków i procesy kończą się np. wyrokiem za pojedyncze, a nie masowe zbrodnie. Socjolog kultury prof. Anna Pawełczyńska (była więźniarka KL Auschwitz), w swej fundamentalnej pracy o wartościach wobec przemocy w Auschwitz pisała, że *„działanie przemysłowego ludobójstwa było znane więźniom przebywającym w obozie. Zachowano wobec nich tylko pozory tajemnicy"*, a także: *„Jednym z dowodów na to, iż SS-mani w Auschwitz i ich mocodawcy uświadamiali sobie w pełni przestępczy charakter działań wymierzonych przeciw więźniom obozu koncentracyjnego było to, iż ślady popełnianych zbrodni były skrupulatnie zacierane, a wszelkie dokumenty niszczone i ukrywane. Mimo to przeżyła część świadków tej zbrodni"*. Nie ma, lub prawie nie ma, świadków zdarzeń o mniej masowym charakterze, które zbrodniczy reżim (hitlerowski, stalinowski, może być inny) starał się za wszelką cenę ukryć. Los takich widzów był przesądzony, a ci co widzieli, słyszeli, dotknęli i przeżyli byli wyjątkami, dzięki jakimś losowym zawirowaniom i splotom szczęśliwych okoliczności, innymi słowy dzięki przypadkowi. Publikacje o dolnośląskich wojennych tajemnicach zawsze były pełne przekazów o ciężarowych transportach, które wjechały w głąb góry, twierdzy lub podobnie i już stamtąd nie wyjechały, a potem słychać było czasami detonacje. Nawet nie pytam się: a gdzie są (byli) bezpośredni świadkowie?

Na gruncie rozważań o roli świadków w ujawnianiu wojennych tajemnic możemy skonstatować, że zdarzenia, w których swój udział, na ogół bierny, mieli zewnętrzni obserwatorzy-świadkowie (jako tacy nieprzewidywani i niepożądani) były niezwykle rzadkie, a wręcz mało prawdopodobne. Wszelako zdarzenia takie mają jednak miejsce. W znanych nam zdarzeniach sprzyjały im okoliczności stwarzane przez ludzi, którzy byli ich autorami. Okoliczności te to błędy i niedopatrzenia tych, którzy – wydaje się – za wszelką cenę powinni starać się ukryć swe działania. Przełóżmy to na sytuację osób, będących mimo woli obserwatorami zdarzeń, które nie powinny być im znane.

Prof. Stanisław Swianiewicz, ekonomista, do chwili wojny na Uniwersytecie Wileńskim, ekspert od gospodarki radzieckiej Rosji, internowany w 1939 r. jako porucznik Wojska Polskiego, wywieziony 29 IV 1940 r. z obozu w Kozielsku, razem z grupą około 300 oficerów przeznaczonych do likwidacji. Następnego ranka na stacji Gniezdowo, gdzie jeńców wyładowywano i skąd przewożono ich do pobliskiego lasu katyńskiego, na nagły rozkaz z Moskwy wyłączony z tej grupy, przewieziony do więzienia w Smoleńsku, a następnie na Łubiankę w Moskwie. Tam zmieniono mu status z jeńca wojennego na więźnia politycznego. Przeszedł przez łagry i stał się jedynym świadkiem wskazującym na właściwy – a zamazywany przez stalinowskich siepaczy – ślad dokonanej przez NKWD zbrodni. Jak sam pisał: *„Pomimo że uchodziłem za jednego ze znawców Rosji, nie umiałem wówczas przeniknąć, jakie były zasady dialektycznych decyzji NKWD"*, a także: *„(...) moje losy stanowiły wypadek równający się oberwaniu się stryczka pod skazańcem"*. Funkcjonowanie różnych machin terroru i zbrodni jest podobne, ale okazuje się, że w działaniu machiny – nawet tak „doskonałej" jak enkawudowska – była to fuszerka. Dla niedoszłej ofiary był to cud, a ocalony świadek stał się bezcenny, jako żywy dowód prawdy, i historia zyskała kronikarza.

Suma przypadków ratowała życie w hitlerowskim piekle – obozach koncentracyjnych, gdzie wola przeżycia – jak to spuentował swe wspomnienia bard warszawskiego Czerniakowa Stanisław Grzesiuk – musiała paradoksalnie przejawiać się w strategii lekceważenia śmierci. Każdy bowiem, kto bał się śmierci skłonny był wykonywać ściśle zarządzenia, a te skierowane były na jak najszybsze wykończenie więźniów. Wybitny psychiatra prof. Antoni Kępiński przytaczał pogląd byłego więźnia kacetu Adolfa Gawalewicza, *„że z »poczekalni do gazu« (...) udało się wyjść żywo tylko nielicznej garstce z tych, którzy wierzyli w »rzeczy niemożliwe, nieprawdopodobne«*, tj. w to, że *„im właśnie uda się mimo wszystko wyjść cało"*. Prof. Kępiński cytował także byłego więźnia Sachsenhausen, lekarza prof. Jana Miodońskiego, który powiedział o sobie, że *„obóz koncentracyjny nauczył mnie jednego: nienawidzić dyscypliny i porządku"*. Mówimy więc o innym porządku, porządku w czasach i sytuacjach ekstremalnych, innym od tego, który jest podstawą istnienia bytów osobowych i społecznych i stanowi – jak definiuje fizyka – przeciwstawianie się entropii. Tę mozaikę cytatów uzupełnić można o jeszcze jeden ze Stanisława Grzesiuka: *„Ci, co nie byli w obozie (...) niech powstrzymają się od wydawania swego sądu o ludziach i wypadkach..."*. Na koniec „sekwencji" obozowej przypomnę – jest taka kategoria jak „kłamstwo oświęcimskie", czyli nawet świadectwo świadków nie wystarcza...

Konkluzji w tych rozważaniach nie będzie. Zwracam jedynie uwagę na konieczność zrozumienia odmienności czasów wojny, okupacji, zagłady, niewoli oraz na niezwyczajność sytuacji, w jakiej znaleźli się i funkcjonowali uczestnicy zdarzeń w tych czasach.

W latach 1990-91 artykuły na temat tajemnic Lubiąża publikowała wrocławska „Gazeta Robotnicza", apelując o zgłaszanie się świadków. I co? I nic. Otrzymaliśmy jakieś opowieści z pogranicza problemu Lubiąża, dobre może jako tworzywo do okołotematowego reportażu. Przytaczam ten przykład sprzed lat, gdyż dzisiaj byłoby jeszcze gorzej w tym sensie, że już właściwie nie można liczyć na nowe osobowe źródła posiadające informacje o wojennych tajemnicach. Na szczęście pozostaje pozytywny aspekt upływu czasu w postaci możliwości odtajniania różnych materiałów, co rzuca snopy światła na sprawy nieznane, mało znane lub obrosłe mitami.

Przytoczyłem cytaty z następujących źródeł:
1. A. Pawełczyńska „Wartości a przemoc", Wydawnictwo Naukowe PWN, 1995
2. St. Swianiewicz „W cieniu Katynia", LTW 2010
3. A. Kępiński „Oświęcimskie refleksje", Wydawnictwo Literackie 2005
4. „Psychopatologia władzy" w zbiorze „Rytm życia" A. Kępińskiego, Wydawnictwo Literackie 2001
5. St. Grzesiuk „Pięć lat kacetu" (posłowie), Książka i Wiedza 1989

Marcin Brzeziński
Inspektor Policji i b. szef dolnośląskich struktur do walki z przestępczością zorganizowaną i Centralnego Biura Śledczego. W 1981 r. odzyskał dla zbiorów państwowych archiwalia z dawnej biblioteki Magnisów w Bożkowie. Kolekcjoner sztuki, głównie polskiej grafiki artystycznej. Autor publikacji na temat poniemieckich „skarbów" na łamach prasy wrocławskiej.

Świadek – istota niewiarygodna

TEKST: WOJTEK STOJAK
ZDJĘCIA: ARCH. WOJTKA STOJAKA

Nawiązując do artykułu Marcina Brzezińskiego chciałbym rozszerzyć, cytowane w nim, a głęboko prawdziwe słowa Grzesiuka: *„Ci, co nie byli w obozie (...) niech powstrzymają się od wydawania swego sądu o ludziach i wypadkach..."*, rozszerzyć je, przenosząc do teraźniejszości po to, by móc zrozumieć. Bo ta prawda dotyczy nie tylko sytuacji ekstremalnych – wojna, obóz, katastrofa. Stykamy się z nią codziennie, gdy zdarza się coś, czego nie przeżyli (lub jeszcze nie) inni, gdy np. po tragicznej śmierci dziecka obejmując skamieniałą w odrętwieniu matkę, której świat zwalił się na głowę, mówimy współczująco: – *Wiem co czujesz.* Przecież nie wiesz. Więc prawdziwiej będzie objąć, ale milczeć, choć do niej, zamkniętej w swym bólu i tak nie dotarłby fałsz tych słów. Teraz ja piszę jakbym wiedział, a przecież nie wiem, bo Opatrzność oszczędziła mi takiego koszmaru. Ale *per analogiam* coś wiem. A dlaczego się wymądrzam? Bo przyglądam się młodym drapieżnym dziennikarzom, pisarzom, historykom i politykom, jak łatwo ferują wyroki, jak trzydziestolatek w czambuł potępia głęboką komunę, jak dwudziestoletni „pacyfista" o długich włosach mówi o wojnie i sądzi czyny żołnierzy, jak żądny sukcesu historyk z mściwą satysfakcją wywleka na światło dzienne niegodne czyny ludzi z czasów okupacji, stalinizmu i Solidarności, i wymierza sprawiedliwość nie wiedząc o czym mówi. Bo przez swoich trzydzieści lat życia oni wszyscy syci i w dżinsach, które były marzeniem ich rówieśników z lat 60., krążąc pomiędzy domem, uczelnią i PUBem nigdy nie stanęli przed koniecznością wyboru, wyboru czasem takiego, gdy możliwość wyboru własnej śmierci jest ulgą. Żyjąc w letniej temperaturze, słodkawej nieco od Coca Coli, szukają prawdziwszego życia skacząc na bungee, na spadochronie lub uciekając w narkotyki. A to przecież tylko namiastki. Ja też do nich należę, moja namiastka to „skarby" i rok 1945. Ale lata 50. pamiętam, obczytałem się w literaturze pamiętnikarskiej i widząc, jak nieprawdziwy i uproszczony obraz tamtych czasów wyniosła ze szkoły moja córka, stałem się ostrożny w sądach. Myślę, że kto nie żył w realiach czasów, o których zdecydował się mówić, winien być bardzo ostrożny w formułowaniu opinii, a najlepiej to ich unikać. Nie wystarczy znajomość realiów. Trzeba **„tam"** być, żyć, znać realia z autopsji. Po to, by w dobrej wierze zamiast „historycznej prawdy" nie przekazywać fałszu o **„tamtym"**. Po to, by w imię „historycznej prawdy" nie przekazywać fałszywego obrazu. Dość już tych złotych myśli, pora przejść do treści artykułu.

Różni są świadkowie. Są świadkowie naoczni, są wiarygodni, niewiarygodni, żyjący, ostatni, bezpośredni itd. Mówię tu o świadkach, którzy świadczą w dobrej wierze, bo są i tacy, którzy łżą jak psy z pełną świadomością – to świadkowie fałszywi, i ci nas nie interesują. Ale ci, którzy nie kłamią świadomie, czyli ci naoczni i wiarygodni mylą się, konfabulują, ubarwiają, przesadzają, czyli też łżą jak psy. I z takim nastawieniem „rasowy" policjant i poszukiwacz skarbów powinien podchodzić do każdego świadka. Łże jak pies! I cała sztuka w tym, jak go podejść, żeby odrzucić ziarno od plewy, jak wyłuskać element prawdy, który przecież może tkwić w jego bełkocie. Są dobre, skuteczne metody. Na przykład odgryźć ucho, posadzić gołą dupą w mrowisku żółtych mrówek, kopnąć w... najczulsze miejsce, ale zarzucono ostatnio te skuteczne metody, jako niehumanitarne czy jakoś tak. No to jak wydusić prawdę? U nas to nawet w sądzie każą świadkowi tylko obiecać, że powie prawdę. W Ameryce jest trochę mądrzej, bo piekła się boją krzywoprzysiegając na Biblię, ale niezależnie od tego mają Amerykanie Guantanamo, tajne więzienia CIA, skopolaminę i Rambo. Skoro porzuciliśmy skuteczne narzędzia wyduszania prawdy, skazani jesteśmy na totalne łgarstwo i wystarczy poczytać artykuły mego redakcyjnego kolegi P. Maszkowskiego, by zobaczyć, jak niestworzone historie wymyślają ludzie mieniący się świadkami. Same kłamczuchy i sk...syny . Jest jeszcze jeden rodzaj świadków – chorzy! I to wcale nie jest łatwo rozpoznawalna kategoria świadków. Tacy właśnie nabrali mnie parę razy i o nich chciałbym opowiedzieć.

Świadek I. Lata 90. Klub Poszukiwaczy Skarbów leci już parę lat, więc osiadł w świadomości telewidzów. Podobnie jak teraz w „Odkrywcy", na końcu programu był mój domowy telefon umożliwiający bezpośredni kontakt z oglądającymi. Stąd wiem, że jedną z grup zawodowych oglądających „Klub..." oprócz uczniów, żołnierzy zawodowych i ochroniarzy są milicjanci. Dlaczego milicjanci? Jak się zastanowić to normalne. Milicjanta (policjanta, wsio ryba) i poszukiwacza skarbów łączy podobieństwo charakterów, takie same ciągoty, takie same zainteresowania, takie samo pragnienie życia innego, nie musi być „spokojne". Moglibyśmy się nawet polubić gdyby nie to, że oni muszą nas łapać, a my nasze krzywe karabiny chować. Przedpołudnie. Telefon. Dzwoni milicja z Jawora. W pierwszym momencie chciałem się zerwać i uciekać, bo pod drzewem ciągle leżało z półtorej tony zardzewiałych karabinów po likwidacji zrzutowiska na Maślicach (co z tego, że legalnym i oficjalnym, zawsze można troszkę „pościgać"). Ale nie. Głos przyjazny. Ton gawędziarski. Nastawiam uszu... – *Panie Wojtku, może znalazłby pan czas żeby do nas przyjechać. Mamy tu kobietę, świadka wydarzeń, których nie mamy jak zweryfikować. To z pochodzenia Niemka, która w czterdziestym piątym była dziewczynką, na którą nikt nie zwracał uwagi i, jak twierdzi, mieszkając cały czas w niemieckim Jauer widziała różne zdarzenia, a konkretniej chowanie czegoś. Sprawdziliśmy co się dało, wszystko się zgadza, była tu pod koniec wojny ale nie ma jak sprawdzić jej informacji i już nie wiemy, co o tym myśleć. Nie wiemy, czy mówi prawdę, czy zmyśla? Może panu coś się uda wykoncypować.* Jasne, że pojadę! Jak milicja to sprawa wiarygodna, a że nie chodziło o Józka, który ukradł osiem kur pani Zientarowej tylko o niemieckie ukrycia... sami rozumiecie.

Sympatyczna pani w wieku około siedemdziesięciu lat od dawna już zaprzyjaźniona z jaworskimi milicjantami, przyjęła nas herbatką i zaczęła swoją opowieść o ostatnich miesiącach

wojny, które spędziła tutaj, w mieście Jauer, jako dziesięcio-, czy dwunastoletnia dziewczynka, i o tym co widziała podczas samotnych wędrówek po ogarniętym wojennym chaosem miasteczku, w którym potem została już na zawsze. Że była Niemką, ile miała lat, i że przebywała tu pod koniec wojny – milicja sprawdziła. Wszystko się zgadzało. Została jedna niewiadoma. Co widziała? Co widziała naprawdę? – *Rosjanie byli już niedaleko, słychać było wybuchy i artylerię. Atmosfera w mieście była nerwowa. Dorośli ciągle biegali, coś pakowali, mówili przez cały czas o ewakuacji, wojsko jeździło we wszystkie strony. Dorośli w ogóle się mną nie zajmowali, nie przeszkadzaj – mówili. Robiłam co chciałam. A że nie miałam co robić bo szkoły nie było, to po prostu łaziłam po mieście i patrzyłam co się dzieje. To właśnie podczas takiego wędrowania widziałam jak tam coś zakopywali. Żołnierze kopali wielki dół na dziedzińcu szpitala, a parę dni później też kopali na placyku koło szkoły. I potem jeszcze w...* wymieniała jeszcze jakieś trzecie miejsce ale zapomniałem ja-

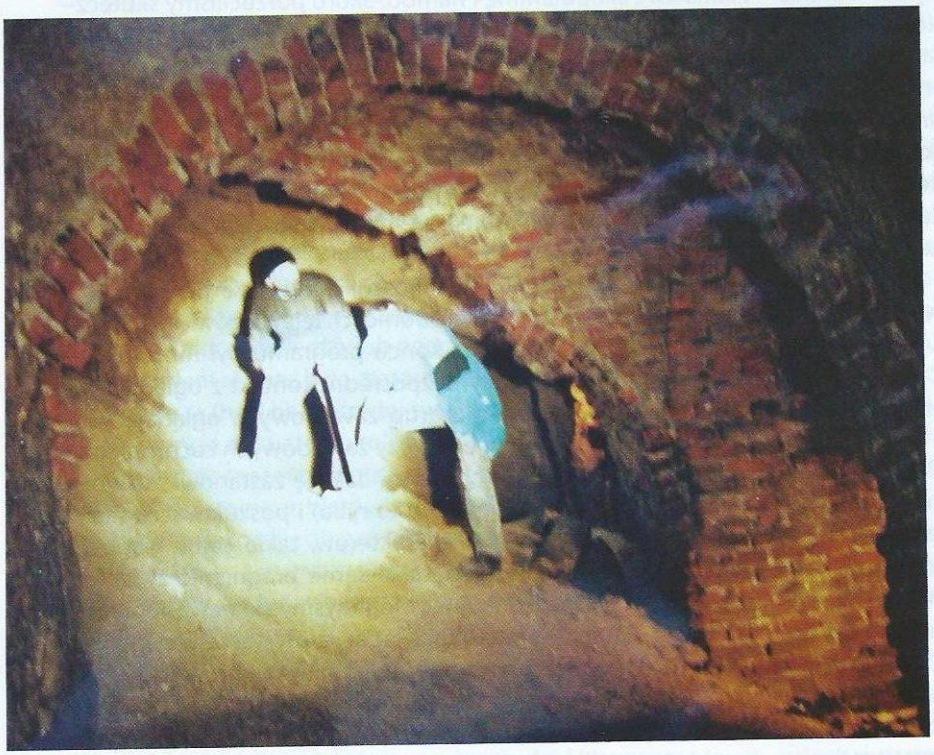

kie. Pierwszy dół – w porządku. Drugi dół – trochę nie tego, ale możliwe. Ale trzeci dół to już przesada, małe prawdopodobieństwo, żeby tak ciągle trafiać na ukrywanie czegoś. Zapaliła mi się w głowie mała, czerwona lampka ostrzegawcza.

– *To był duży dół? Dużo ludzi kopało?*

– *Może dziesięciu ich było. A oficer stał na brzegu i nic nie robił, tylko patrzył. Dół duży, taki na parę metrów.*

– *A jak wykopali, to co? Chowali coś?*

– *Nie wiem, bo ja sobie poszłam, nudziło mi się. Oni tylko kopali i nic się nie działo. Wtedy wszędzie kopali. Rowy, okopy, barykady różne.*

– *Przy tych innych wykopach tak samo?*

– *No tak, przecież to długo trwało. Nie było na co patrzeć.*

– *To Pani nie widziała, żeby coś tam zakopywali?*

– *No nie. Ale potem tam znowu poszłam, zobaczyć z ciekawości czy dalej kopią i wszystko było wyrównane. W ogóle nie było widać, że było kopane. No to musieli coś schować. Niemcy wtedy przecież wszystko chowali. Kosztowności, dokumenty... może broń?*

– *A głęboko kopali?*

– *Głęboko, nawet czubka głowy nie było widać, tylko ziemia z dziury wylatywała. Zwykły wykrywacz nic nie pokaże, georadar byłby potrzebny żeby sprawdzić, albo koparka, ale gdzie kopać, to ja tak dokładnie nie pamiętam.* I tu ją miałem! Siedemdziesięcioletnie kobiety z małych miasteczek plewią grządki, opiekują się wnukami, plotkują z przyjaciółkami, ale z reguły nie interesują się specjalistycznymi urządzeniami do bezinwazyjnych badań podłoża gruntowego. Po drugie wszystkie wykopy (ukrycia) wymagające kopania zlokalizowane były na terenach obiektów użyteczności publicznej gdzie i tak nikt nie pozwoli kopać szczególnie na podstawie tak enigmatycznych informacji. No i czynnik prawdopodobieństwa, o którym już wspominałem. Można zobaczyć przypadkiem jedną scenę ukrywania, ale trzy, i wszystkie jedna dziewczynka. Oczywista fabulacja! Dlaczego? Może z nudów, a może któryś z milicjantów jej się spodobał. Psychologa spytajcie.

Świadek II. Znowu kobieta i, sądząc po głosie, znowu w zaawansowanym wieku. Nigdy jej nie widziałem, to były trzy rozmowy telefoniczne w odstępie tygodnia, dwóch (nie muszę chyba przypominać, że wyświetlanie numerów to była wtedy daleka przyszłość). Dopiero teraz zwróciłem na to uwagę, choć nie jestem pewien czy można na tej podstawie wyciągać wnioski o kobietach, co zawsze jest ryzykowne (vide casus Celestyny). To było jakiś czas po emisji programu o browarze w Sobótce Górce (D. Śląsk). Dryń, dryń! Rzucam się do telefonu, bo wtedy sporo było telefonów i byłem na nie strasznie łasy, jako że, letnie dzisiaj pragnienie sukcesu, wtedy było silne i gorące. Ten świadek był trudniejszy niż poprzedni. Trudniejszy z dwóch powodów. Relacja ze względu na okoliczności towarzyszące, była bardziej prawdopodobna i precyzyjniejsza. A czynnik drugi to ja sam. Moja własna psychika. Jeszcze przed telefonem Świadka II szukałem w browarze Górka ukrytych majętności rodu Kulmitzów. Wszak zamek Górka jest położony może sto metrów od zejścia w podziemia browaru. I jedno i drugie było ich własnością. W zamku nie ma gdzie chować, a dwustuletni, rozbudowany labirynt browaru jest marzeniem ukrywacza i koszmarem poszukiwacza. Gdybym był von Kulmitzem i chciał coś ukryć, zrobiłbym to w browarze, nie w zamku. Ja po prostu chciałem żeby ten telefon był prawdziwy, żeby uzasadniał dalsze poszukiwania. Lekceważyłem lub odrzucałem wątpliwości nadając argumentom „na tak" dużo wyższą rangę prawdopodobieństwa, niż na to zasługiwały. Sam siebie oszukiwałem. W skrócie to było tak. Ta pani dzwoniła trzykrotnie, prawdopodobnie gdy była sama w domu, bo dwukrotnie w pośpiechu przerywając rozmowę szepnęła: – *Muszę kończyć*, a ja słyszałem trzaśnięcie drzwiami i to była pierwsza wyraźna wskazówka na „**nie**". Widocznie rodzina znała jej „idee fix" i próbowała ją przykrócić zabraniając dzwonić. Sama opowieść była jak z kiepskiego kryminału, no, ale prze-

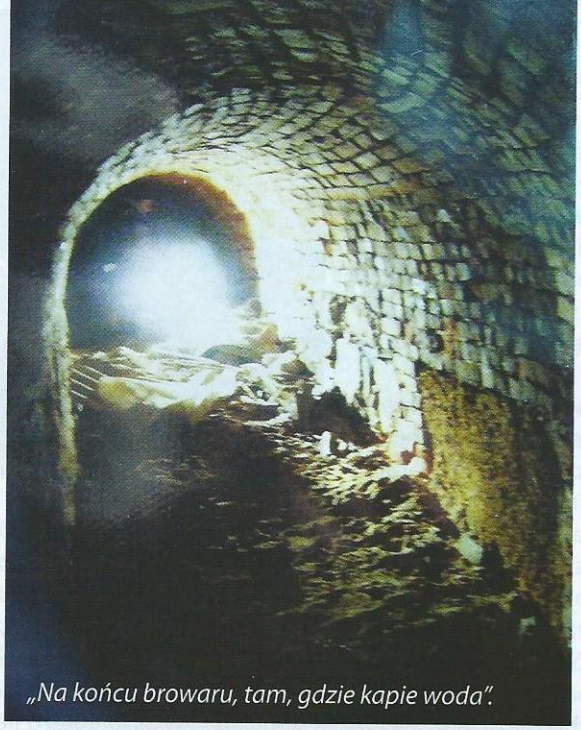

„Na końcu browaru, tam, gdzie kapie woda".

cież dotyczyła Browaru Górka, więc powinna, powinna, powinna być prawdziwa. Mąż mojej informatorki pracował w browarze jako robotnik przymusowy, jeszcze za Niemca, potem, po wojnie, dalej pracował w browarze. Swoją tajemnicę wyznał jej ponoć dopiero umierając na raka. Powiedział, że von Kulmitzowie schowali część dóbr – *na końcu browaru, tam gdzie kapie woda*. Podczas naszych rozmów wspomniała mimochodem, że zawiadamiała wojewodę, bo zna jeszcze inne, dużo bogatsze ukrycia, ale za nie będzie coś chciała, bo musi sobie zrobić operację jaskry (i to była druga wskazówka na **„nie"**), powiedziała też, że wykrywacz nic nie da, bo w tym schowku są same obrazy i futra baronowej, a to już nie wskazówka, ale jednoznaczny sygnał: **„daj sobie spokój, przecież widzisz, że to bzdura"**. A gdzie tam. Żadna mi się czerwona ostrzegawcza lampka nie zapaliła, bo dalej rozpaczliwie chciałem, żeby to była prawda. Nie tylko tej pani potrzebny był psychiatra, mnie też. Potem mi przeszło, co nie zmieniło mego przekonania, że Kulmitz, jeśli chował, to tylko w browarze. Ale ja nie wiem, czy Kulmitz chował. Po wojnie w zamku został jego zarządca, którego później zastrzelił jakiś Ruski (grób jest niedaleko zamku, przy drodze). Po co został? Czy czegoś pilnował? Nie wiem. Wiem, że w zamku nie bardzo jest gdzie chować, choć można by przyjąć tezę, że brakuje całej jednej piwnicy.

Świadek III. Ten to nabrał mnie równo. Szesnastoletni chłopak z Oleśnicy – miasta na Dolnym Śląsku gdzie było potężne lotnisko, szkoła i koszary Luftwaffe. Zadzwonił: – *Nazywam się tak. Chodzę do szkoły. Niedaleko nas mieszkał stary, samotny człowiek – autochton. Chorował i nie zawsze mógł zrobić sobie zakupy. Kiedyś mnie poprosił, raz, potem drugi i tak już zostało. Było mi go żal, to mu pomagałem. Zresztą, po pewnym czasie nie miałem się już jak wycofać. Głupio jakoś. Jak przyniosłem zakupy to czasem rozmawialiśmy. On był Niemcem. Pracował jako mechanik na lotnisku i opowiadał jak wtedy było. A mnie takie rzeczy interesują. I kiedyś opowiedział mi niesamowitą historię. Powiedział, że teraz już można, że już wszystko jedno. W rejonie dawnego kasyna, niedaleko strzelnicy jest podziemna hala, gdzie zostawili i zamaskowali kilka samolotów, w których zamontowano całkiem nowy rodzaj karabinów maszynowych, czy działek, już nie pamiętam. Dlatego je właśnie schowali, a jak pan pamięta zapewne, na płycie lotniska Oels zostało około dwustu samolotów, do których zabrakło benzyny*. Sam nie fantazjuję to uwierzyłem. Jak to mówią „Każdy sądzi sam po sobie". Jak ja nie bujam to inni też nie, bo i po co? Pojechałem. Podczas bezpośredniej rozmowy nic mnie nie tknęło. Nastolatek był grzeczny, ładnie mówił, wykazując znajomość tematu, widać było, że rzeczywiście interesuje się tymi sprawami. Poszliśmy w teren. To było po lewej stronie drogi na… Krawędź lasu i infrastruktury lotniska. Mój informator zatoczył ręką dwa hektary łąki. – *To gdzieś tutaj!* – powiedział, a mnie opadły ręce, bo to nie były jeszcze czasy georadarów. Jeździłem na spotkania z nim trzykrotnie omawiając różne możliwości lokalizacji i sposoby ewentualnej eksploracji. Ale na gadaniu się skończyło. Dzwoni jeszcze raz. – *Panie Wojtku, Panie Wojtku znalazłem coś, taka dziura w ziemi, a w niej pełno amunicji do samolotów*. Pojechałem ze znajomym. Takie jakieś kopane miejsce, gdzie wychodzi żółty piasek, a w piasku tkwi parę pocisków 2 cm. Wyjąłem, oglądamy. Za chwilę mój znajomek odciąga mnie na bok i mówi: – *Słuchaj, on to powtykał w ten piasek. Zobacz, one są pokryte zaschniętą gliną, a tu jest piasek*. Miał rację. Tak było. – *Siadaj!* – mówię do naszego informatora i palnąłem przemowę: – *Tak się nie robi, jeśli chciałeś…* i tak dalej, i tak dalej! On się rozpłakał i przyznał, że wszystko było wymyślone, bo on chciał… i tak dalej i tak dalej. Pojechaliśmy do domu ubożsi o jeden ciekawy temat. Dwa lata później dzwoni do mnie Joasia Lamparska i pyta: – *Słuchaj, znasz takiego chłopaka z Oleśnicy, on mówi, że tam…* i usłyszałem tę samą opowieść. Trzy lata później dzwonił do Marka Dudziaka do Konina. Wytrwały był, ale pewnie nie wiedział, że my wszyscy się znamy i gdy trzeba jesteśmy w kontakcie.

◆ ◆ ◆

Szkoda nazwiska Panie Bogusławie.

Tera będę się czepiał! Albo lepiej „wyrażę zaniepokojenie". Moje zaniepokojenie wzbudziły plany pana Bogusława Wołoszańskiego, które przedstawił w artykule P. Maszkowskiego pt. „Dolnośląskie skarby III Rzeszy Bogusława Wołoszańskiego" („Odkrywca" nr 10/2012). Swą wieloletnią działalnością (do czasu komercyjno-fantastycznej „Twierdzy szyfrów") Bogusław Wołoszański rzetelnie zapracował na miano popularyzatora historii i tak też jest postrzegany przez telewidzów w całym kraju. Rzesze młodych wychowało się na jego audycjach i historię II wojny poznało dzięki jego audycjom, bo przecież nie w szkole. Pozwolę sobie na dygresję potwierdzającą tę, przedstawioną wyżej, opinię. Moja córka i w podstawówce, i w gimnazjum, i w liceum zaczynała program historii od zarania dziejów, a gdy się program kończył, byli gdzieś koło Napoleona, a w najlepszym razie rewolucji 1905 r. nie dochodząc nigdy do II wojny. Toteż historii II wojny, która wywarła na nas i dalej wywiera dużo większy wpływ niż wojny punickie, właściwie nie zna. Tę lukę w szkolnym nauczaniu wypełniały przez lata programy B. Wołoszańskiego. Tym bardziej, że robił to naprawdę ciekawie. Mnóstwo nastolatków czekało, by, opierając się w malowniczej wiatrówce raz o jedną, raz o inną armatę, streścił kolejną trzystustronicową książkę w pół godziny. Książkę, której młody Polak ani nie kupi, ani nie przeczyta, ale telewizję obejrzy. A czego się obawiam? Ano tego, że „historia" przedstawiona na kanwie „Złota Wrocławia", którego nie było,

„Złotego pociągu", którego nie było, czy „Szczeliny Jeleniogórskiej", która nie wiadomo czy była, będzie historią, której nie było. A gdy przedstawia ją ktoś o renomie B. Wołoszańskiego, zmanipulowana wersja historii przyjmowana jest jako prawdziwa: *„Przecież Wołoszański tak mówił!"*. I dużo szkód wyrządzi zanim do świadomości odbiorców dotrze fakt przemiany popularyzatora historii w popularyzatora sensacji. Szkoda nazwiska Panie Bogusławie. Swoje uwagi będę „wyrywał z kontekstu". A więc:

– Administracja *„chylącej się ku upadkowi Rzeszy"* nie *„wygenerowała"* akcji ukrywania kruszców i dzieł sztuki, tylko akcje ich zabezpieczenia, przynajmniej jeśli chodzi o to co Niemcy umieścili, a Amerykanie znaleźli w kopalni w Merkers i później w Mittelwald i to, co prof. G. Grundmann zabezpieczał na Dolnym Śląsku. To były działania administracji. Były też oczywiście przypadki ukrywania nagromadzonego majątku przez hitlerowskich bonzów, były przypadki kradzieży mienia Rzeszy, zarówno przez Niemców, jak i aliantów. Różnie się działo, ale nie można z tego czynić reguły, bo będzie to obraz zafałszowany, a obawiam się, że taki właśnie chce lansować, wedle słów własnych już nie popularyzator, a twórca historii.

– Byłoby lepiej, gdyby pan B. Wołoszański szukał „Złota Wrocławia", „Złotego Pociągu" i „Szczeliny Jeleniogórskiej", bo tym nie wyrządził by nikomu żadnej szkody. Ot, jeszcze jeden nawiedzony. Natomiast jeśli, jak pisze, ma zamiar w oparciu o wyimaginowane afery przedstawiać mechanizmy działania administracji III Rzeszy, to szkodę wyrządzi. Komu? Historii i swoim fanom, którzy na jego słownym przekazie budowali swoją, epizodyczną co prawda, ale jednak historii znajomość, i dla których pozostaje osobą wiarygodną.

– Przenoszenie przemysłu na Dolny Śląsk nie było *„koncepcją"* tylko historycznym faktem. Polecam pracę prof. Alfreda Koniecznego „Śląsk a wojna powietrzna lat 1940-1944".

– Na Dolnym Śląsku nie *„wydrążono"*, poza obiektem „Lehm" w Bolkowie, ani jednej *„podziemnej fabryki"* na potrzeby *„przemysłu zbrojeniowego"*. Polecam pracę Wicherta.

– o już skrystalizowanych, głoszonych ex catedra poglądach na temat przeznaczenia „Riese" nie będę się wypowiadał. Jeśli efekt końcowy będzie realizacją przedstawionych w „Odkrywcy" koncepcji, nie polecam Wam oglądania „Wołoszańskiej historii" w nowym serialu, lepiej powtórnie obejrzeć rzetelną historię przedstawioną przez tego samego człowieka przed dwudziestu laty. Jak pisze P. Maszkowski: *„ten sam ton, charakterystyczny tembr i modulacja głosu sprawiają, że nawet znane opowieści brzmią w jego ustach zupełnie na nowo"*.

PS I. Ten „pees" to komentarz do. Zabieram głos, ponieważ dotyczy lasów, a las jest naturalnym środowiskiem życia jeleni, borsuków i poszukiwaczy skarbów. Otóż zabrał głos p. prof. Tomasz Borecki zatrudniony na posadzie dyrektora **Instytutu Problemów Współczesnej Cywilizacji**. Jednocześnie Pan Profesor jest doradcą prezydenta (nie napisano w jakiej materii) i jest prezesem Towarzystwa Przyjaciół Lasu, a więc jest kimś, kogo należy słuchać z nabożeństwem, a nie komentować jego wypowiedzi, czy nie daj Boże polemizować. Ustosunkowuje się Pan Profesor w „Rzeczpospolitej" z 23 XI 2012 w artykule „Opodatkować, nie drenować" do projektowanej nowelizacji ustawy o Lasach Państwowych. Cytuję: *„... bo są (lasy) takim samym dobrem jak woda i powietrze"*. Od siebie

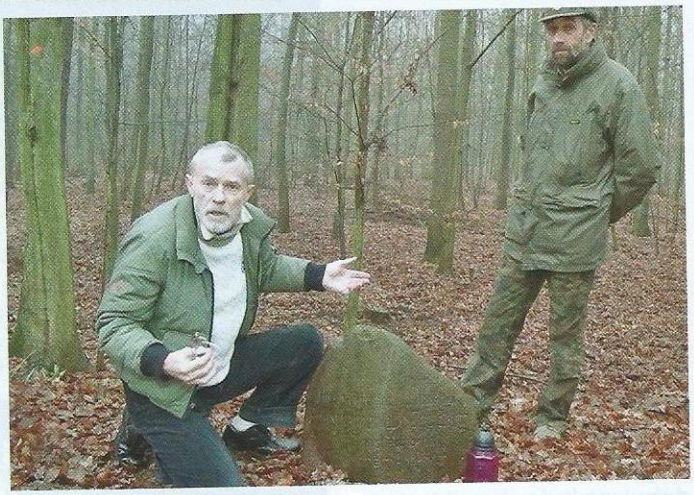

dodam, że są także moją – Obywatela – własnością, co koresponduje z cytatem profesora. I byłoby wszystko w porządku gdyby nie teza przedstawiona przez Pana Profesora dwadzieścia zdań wcześniej. Cytuję: *„... bo Lasy Państwowe sponsorują społeczeństwu wszystkie pozaprodukcyjne funkcje, m.in. rekreację..."*. Odważę się, jak w szkolnej ławce, podnieść palce i poprosić o wyjaśnienie, o ile Pan Profesor pozwoli. Ja chciałbym zapytać, jak mam rozumieć wyartykułowaną przez Pana w powyższym cytacie opinię? Jak Lasy Państwowe, desygnowane przez reprezentującego mnie Ministra Leśnictwa do zarządzania lasami stanowiącymi moją własność w moim imieniu, mogą mi cokolwiek sponsorować bez mojej – właściciela lasu i płynących z racji jego posiadania pożytków zgody. Nie rozumiem też, jak rozumieć „rekreację". Czy chodzi o umożliwienie mi zbierania grzybów w moim lesie? Coś tu nie gra z logiką i rozumieniem pojęcia „społeczna własność". To, że wybrane cytaty są „wyrwane z kontekstu", czym się na ogół bronią atakowani, nie zmienia absolutnie ich znaczenia. Zaniepokoił mnie też, nie tylko zresztą mnie, inny pomysł doradcy Pana Prezydenta. Cytuję: *„Lasy jako dobro publiczne powinny podlegać kontroli społeczeństwa, dlatego też uważam, że powinna być powołana rada leśnictwa, która by opiniowała plany roczne i ich wykonanie"*. Słusznie, tylko czy nie można by zatrudnić w planowaniu kogoś, kto umie planować, a wykonanie planu sprawdzić w ramach obowiązków służbowych? Zabrakło posad w Instytucie, czy jak? Następny trzeba powołać dla dobra polskich lasów?

PS II. Ruszyło się coś w sprawie kamieni („Odkrywca" nr 8/2012). Nie tyle może za sprawą Lasów Państwowych, ile dwóch ludzi z tychże Lasów. Nadleśniczego Nadleśnictwa Miękinia na Dolnym Śląsku pana Waldemara Zaremby, który zaakceptował nasz punkt widzenia i czynnie włączył się w zainicjowane przez nas ratowanie śląskich śladów i pana Ryszarda Bały leśniczego Leśnictwa Kobylniki, który odwalił za nas całą robotę i ustawił głaz upamiętniający tragiczną śmierć niemieckiego listonosza na jego dawnym miejscu przy leśnej drodze. Mamy cichą nadzieję, że Nadleśnictwo wspomoże nas także w Jakubkowicach, bo tam sprawa i pomnik ciągle leżą, w sensie dosłownym i przenośnym, rozbijając się o brak maszyny. Załatwioną już dzięki „leśnym ludziom" sprawę kamienia pamiątkowego w Kobylnikach, wciągnął na swoją stronę internetową miesięcznik „Roland" ze Środy Śląskiej. Było tak: stanąłem przed kamerą, przygładziłem przerzedzone piórka, przybrałem minę wszystkowiedzącego mentora. Wiktor Kalita wydawca „Rolanda" kiwnął głową i zapaliło się czerwone światełko kamery. Poszła! Zrobiłem w półobrocie szeroki zamach ręką pokazując chwasty

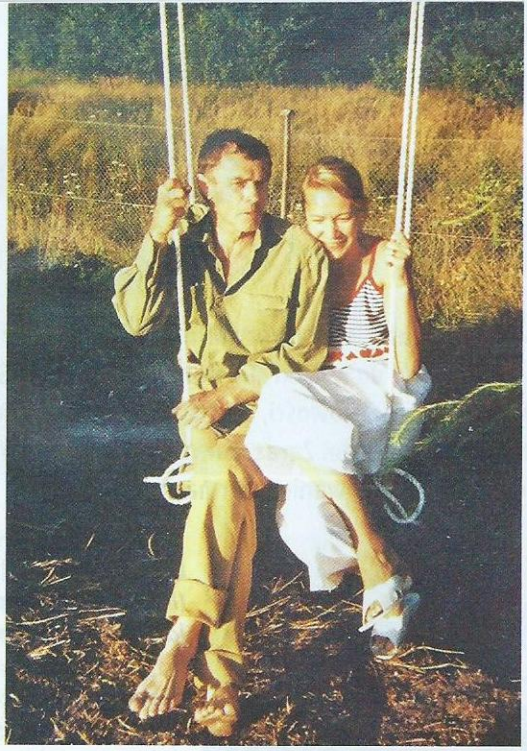

na ugorze za moimi plecami i zamglony las w oddali. *„To Śląsk! To ta ziemia jest wieczna i niezmienna. My – ludzie, jedynie po niej przebiegamy. Kiedyś Łużyczanie, potem Piastowie, potem Czesi, Niemcy i znowu my. Wszyscy jesteśmy tylko gośćmi tej ziemi. I wszyscy zostawiamy na niej swoje ślady. Więc niezależnie czy będą to urny kultury łużyckiej, czy pierwszowojenne pomniki żołnierzy niemieckich – szanujmy je. Przez stulecia podrzynaliśmy sobie nawzajem gardła, ale jedno przecież nas łączy. Wszyscy, i Niemcy, i Czesi, i Polacy sami siebie nazywaliśmy* ***Ślązakami****. Więc szanujmy nasze wspólne śląskie ślady".* Mocna rzecz, no nie? Sam wymyśliłem! A poza tym wiemy o dwóch następnych leśnych kamieniach pamiątkowych. Skończyły się peesy, teraz komunikaty.

Komunikat I. Apel do kogoś z naszych, kto mieszka w tym rejonie. Miejscowość Paruszka na trasie Piła-Złotów, albo gdzieś obok. Dzwoniła pani Beata Połyńska-Rebelska (tel. 606 663 942), że od dawna, pewnie od wojny, na strychu czynnego dziś sporadycznie, dawnego ewangelickiego kościoła, leży kamienna płyta z nazwiskami poległych w Wielkiej Wojnie niemieckich żołnierzy z tej wioski. Kościół należy do parafii Głubczyn, ksiądz dziekan Grzegorz Fabiszak ma siedzibę w Krajence, a pani Beata mieszka w Paruszce vis a vis tego kościoła. Załatwcie proszę tę sprawę. Ponieważ to płyta, pewnie była gdzieś na ścianie kościoła. Znajdziecie.

Komunikat II. Może chcecie wiedzieć co dalej z Celestyną? Proszę bardzo. Od trzech tygodni wpier.... „ruskie" w pobliskim barze, bo mi jeść nie daje. Podjąłem negocjacje! Chyba będę musiał kupić futro. A zaczęło się tak pięknie...

Mój telefon 71 354 54 40

Wojtek Stojak

Przyjaciel i wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Niegdysiejszy geolog, dzisiaj poszukiwacz-emeryt. Nestor polskich eksploratorów. Twórca cieszącego się ogromną popularnością, emitowanego w latach 90., cyklicznego programu telewizyjnego „Klub Poszukiwaczy Skarbów".

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS Optima

Wykrywacz projektowany
bez kompromisów.
Ściśle specjalizowany
do biżuterii, monet
i innych drobnych obiektów.
Wyjątkowo szybki, głęboki,
bardzo skuteczny.

* Częstotliwość pracy 16 kHz regulowana w 5 skokach
* Automatyczne strojenie do gruntu
* Możliwość ręcznej korekty automatu
* Identyfikacja cyfrowa
* Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza
* Możliwość konfiguracji ilości tonów: 1 ton, 3 tony, 2 programy użytkownika
* Praca dynamiczna i jednoczesna
* Regulacja sygnału wiodącego
* Filtr kamieni magnetycznych

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

Sekrety Leopoldsbaude

TEKST: ROBERT PRIMKE, MACIEJ SZCZEREPA
ZDJĘCIA I REPRODUKCJE: ZB. AUTORÓW

Wszystko zaczęło się od lektury interesującego artykułu „Warta Werwolfu" („Odkrywca" nr 5/2009), autorstwa Piotra Maszkowskiego. Czytaliśmy go w trakcie zbierania materiałów do książki „Tajemnice Kamiennej Góry". Wprawdzie wówczas zajmowała nas przede wszystkim działalność Werwolfu w tej miejscowości, ale pojawiły się tam znajomo brzmiące nazwy: Ludwigsdorf i Leopoldsbaude, i to w niezwykle tajemniczym kontekście. Zaraz, zaraz – pomyśleliśmy. Przecież to Chromiec i Gaik... Trop okazał się ciekawy oraz obiecujący. Rozpoczęło się poszukiwanie informacji.

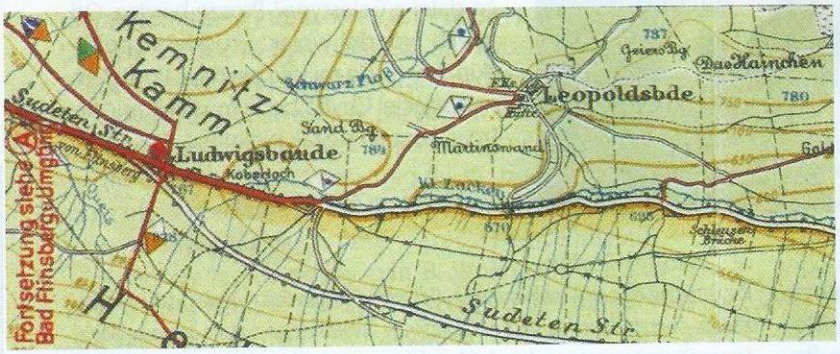

Leopoldsbaude i okolice na starej turystycznej mapie (Meinholds Wanderkarte Riesengebirge, Druck u. Verlag von C.C. Meinhold & Söhne GmbH Dresden 1940).

Dokładnie nie wiadomo kiedy na przełęczy w Grzbiecie Kamienickim, na wysokości 718 m n.p.m. powstało schronisko zaliczane do najstarszych w Górach Izerskich. W każdym razie już w 1822 roku zostało przebudowane po pożarze, który całkowicie strawił budynek. Do podobnego wydarzenia doszło 1898 roku. Rejon ten był odwiedzany już w średniowieczu, gdyż leżał na szlaku Walonów, gwarków i innych poszukiwaczy chcących wydobyć izerskie skarby. Tuż przy drodze z Rozdroża Izerskiego do Leopoldsbaude można natknąć się na kamienne tablice wskazujące na miejsce płukania złota w średniowieczu. W XIX wieku nieco zintensyfikowany ruch turystyczny zapewniał schronisku i jego właścicielom skromne utrzymanie. Zbudowano tam leśniczówkę oraz osadę dla leśnych robotników nazywaną Barakami. Schronisko dysponowało maksymalnie piętnastoma miejscami noclegowymi. Podobno przed II wojną światową Gaik, administracyjnie przyłączony do Górzyńca, liczył dwóch stałych mieszkańców (stan na 1938 rok).

Przejęcie władzy w Niemczech przez Hitlera i wdrażanie hitlerowskich programów edukacyjnych oraz szkoleniowych, oznaczało ogromne zmiany dla tego obszaru. Wiosną 1939 roku w pobliżu Leopoldsbaude pojawili się junacy RAD (Reichsarbeitsdienst) – Służby Pracy Rzeszy z Jeleniej Góry (Gruppenbereich 103. Stab in Hirschberg Cunnersdorf /RGB). Rozpoczęli oni budowę niewielkiego obozu, który otrzymał oznaczenie RAD Abt. 1/103 Leopoldsbaude[1]. W dość szybkim tempie wznieśli oni baraki mieszkalne i służbowe (5 obiektów) oraz plac apelowy z dwoma masztami na flagi, który w wielu współczesnych publikacjach bywa nazywany „Leśnym Teatrem". Najprawdopodobniej w obozie RAD Abt. 1/103 Leopoldsbaude było zakwaterowanych od 60 do 180 junaków. Udało się ustalić nazwisko jednego z junaków, który pełnił tam służbę – był nim Werner van der Bourg. Uzyskane dane wskazują na to, że być może już po 1940 roku w sezonie junaków RAD wspierało zakwaterowane w pobliżu komando robocze jeńców wojennych lub więźniów. Wspomina o tym internauta o nicku Andrzej S. na forum Sudety Zachodnie: *„Dokładnie sprawę tę opisywał z detalami i datami jeden z byłych więźniów, Francuz, aresztowany w związku z przynależnością do ruchu oporu. Odwiedził kilka lat temu UM w Świeradowie i wraz z żoną oraz urzędnikiem od-*

Schronisko na starej pocztówce.

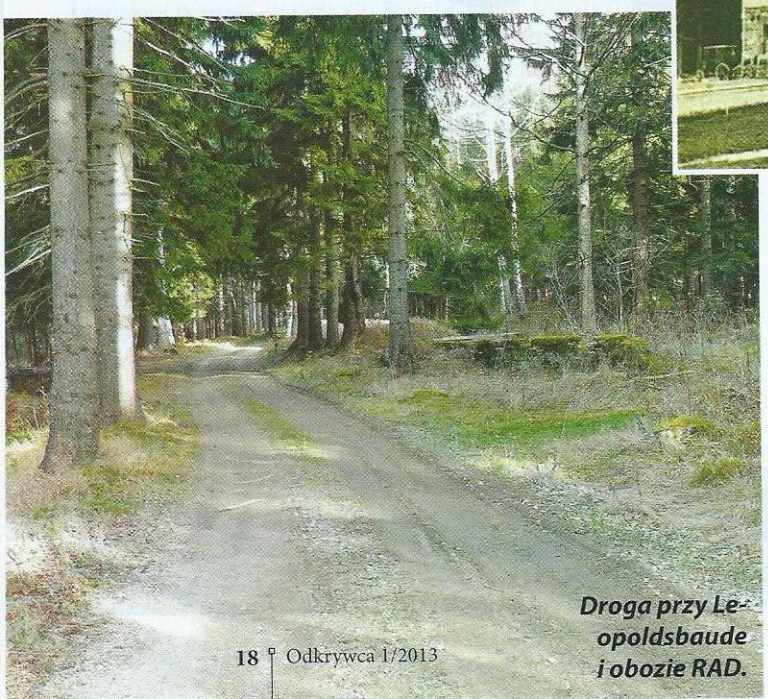

Droga przy Leopoldsbaude i obozie RAD.

Obóz RAD – wygląd ogólny.

Jeden z baraków.

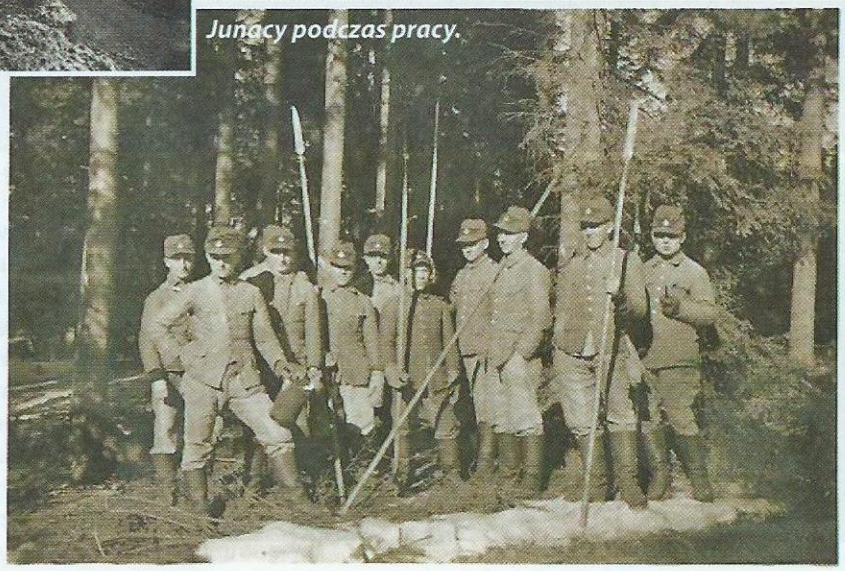

Junacy podczas pracy.

wiedził miejsca swojej katorgi w Izerach[2]". Jak podaje internauta – więzień ten – niejaki Tscheiller przebywał w pobliżu Leopoldsbaude w 1944 roku. Według innej relacji, miał tam m.in. kłaść kabel telekomunikacyjny wiodący do Ludwigsbaude na Rozdrożu Izerskim. Jakie prace wykonywali? Czy były to tylko roboty leśne, budowa dróg i mostów? Tego niestety obecnie nie da się w pełni wyjaśnić. W każdym razie prace trwały przez kilka sezonów roboczych. Jednak, jak podał wspominany internauta, na przełomie 1944 i 1945 roku w schronisku pojawiło się około trzydziestu młodych cywilów, którzy tam się zakwaterowali i za wszelką cenę unikali kontaktu z miejscowymi. Sprawiali wrażenie osób wyszkolonych wojskowo, którym cywilne ubrania nieco zawadzały. Brzmiało to tajemniczo, tym bardziej, że w maju 1945 roku schronisko spłonęło w niewyjaśnionych okolicznościach.

Sytuacja ta została jednak potwierdzona w relacji Hansa Sonderhausa. Hans Sonderhaus był typowym przedstawicielem młodego pokolenia Niemców, którzy przeszli gruntowną indoktrynację w organizacjach młodzieżowych i jednocześnie zostali doskonale wyszkoleni. Ten sudecki Niemiec należał do 607. Bannu Hitlerjugend z Broumova (Branau) w Sudetach. Jako wyróżniający się, trzynastoletni członek HJ, we wrześniu 1942 roku został skierowany do śląskiej Adolf Hitler Schule nr 11 w Bardzie. Była to szkoła stopnia gimnazjalnego dla uczniów od 12 do 16 roku życia. Poza typowym, ogólnym wykształceniem i wprowadzeniem odpowiedniej dawki nacjonalizmu, przygotowywała uczniów do walki za III Rzeszę. Uczono w niej taktyki oraz posługiwania się bronią. W 1944 roku Hans Sonderhaus został przydzielony do grupy szkoleniowej przyszłych instruktorów i dowódców Volkssturmu. Po ukończeniu kursu, na przełomie stycznia i lutego 1945 roku został wysłany najpierw do Jeleniej Góry, a później do Chromca w Górach Izerskich. Zajmował się tam szkoleniem mężczyzn i kobiet powołanych do Volkssturmu. Później został skierowany, wraz ze stworzonym oddziałem, do nadzorowania drogi prowadzącej na pobliskie wzgórza, na których wznoszono jakieś schrony. W trakcie pobytu w Chromcu zetknął się z tajemnicami Leopoldsbaude. Oto co wynikało z jego zeznań, złożonych po wojnie: *„Po kilkumiesięcznym pobycie na wyznaczonych pozycjach zauważył, że w pobliskiej wiosce o nazwie Leopoldsbaude stacjonował oddział dywersyjny, podobny do tych, jakie były formowane w Bardzie. Potwierdzały to również relacje miejscowych, jak i co jakiś czas słyszane od strony gór eksplozje. Nie wiadomo czy były to ćwiczenia, czy też realizacja konkretnych zadań. Kiedy w maju 1945 roku zbliżyły się wojska radzieckie, Sonderhaus został odesłany z powrotem do Jeleniej Góry[3]".* Przytoczone fakty świadczą o tym, że w Leopoldsbaude najprawdopodobniej szkolono przyszłych członków grup dywersyjnych Werwolfu. Takie szkolenia organizowano także i w innych schroniskach górskich. W największym karkonoskim górskim hotelu – Lučni boudzie młodzież z Hitlerjugend przygotowywała się do działań dywersyjnych, a w ośrodku na Czarnej Górze (Černej hoře) szkolono specjalistów do walki na głębokich tyłach wroga. W kwietniu 1945 roku w Pecu pod Sněžkou, Velkiej Upie i innych karkonoskich miejscowościach odbyły się intensywne kursy obsługi broni strzeleckiej dla starannie wyselekcjonowanych młodych Niemek, najczęściej aktywistek Bund Deutscher Mädel (Niemieckiego Związku Dziewcząt) i Bund Deutscher Mädel-Werk. Program kursów w szkołach Werwolfu, które trwały na ogół kilka tygodni, obejmował wprawdzie szkolenie ideologiczne, ale przede wszystkim był nastawiony na

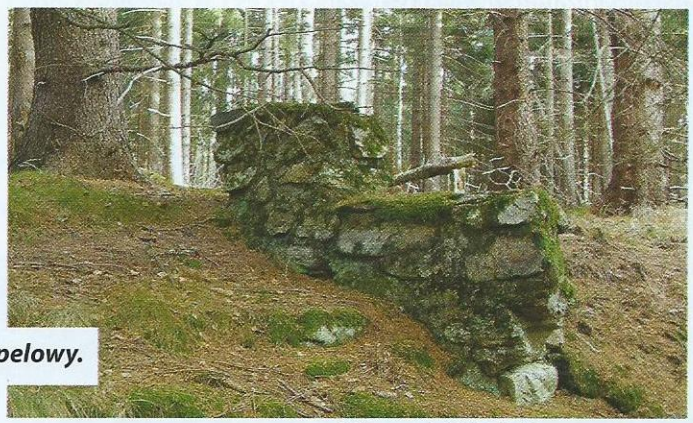

Pozostałości kamiennych murów otaczających niegdyś plac apelowy.

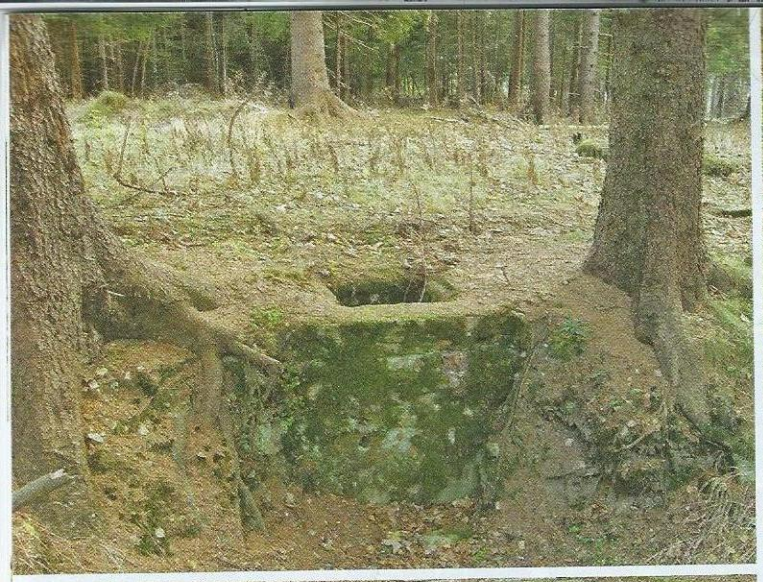

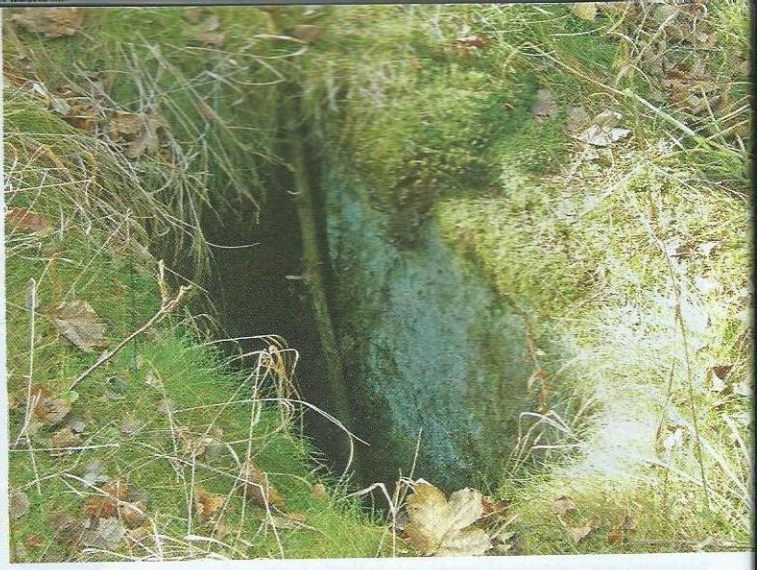

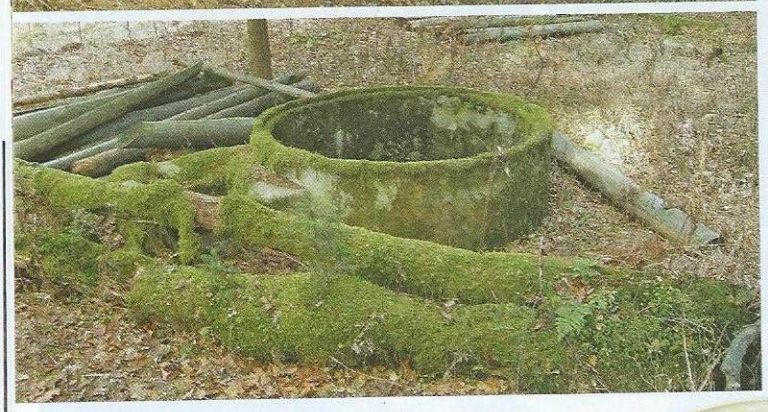

Resztki obozowej lub schroniskowej infrastruktury.

wykształcenie podstawowych umiejętności przydatnych dywersantom. Uczono zatem obsługi różnego rodzaju broni strzeleckiej, w tym zdobycznej, walki wręcz, terenoznawstwa, sposobów maskowania i zacierania śladów. Werwolfowcy stawali się specjalistami nie tylko od „małego sabotażu", ale także, po wszechstronnym przeszkoleniu saperskim, potrafili wysadzać różnorodne obiekty. Uczono ich również produkować materiały wybuchowe z powszechnie dostępnych składników, takich jak cukier, chloran potasu, azotan amonu i inne. Opracowano specjalny podręcznik oraz rysunkowe instrukcje ułatwiające działania sabotażowe. Perry Biddiscombe twierdzi, że jego autorem był Sturmbannführer Erhard. Podręcznik ten miał 80 stron i nosił tytuł: *„Werwolf. Wskazówki dla jednostek specjalnych"*. Z czasem stał się on podstawową lekturą każdego szkolonego Werwolfowca. Podobno w czasie szkolenia korzystano również z tłumaczeń radzieckich instrukcji dla organizatorów walki partyzanckiej.

Fragment porcelany z Wałbrzycha z resztką napisu: Reichsarbeitsdienst.

Zastanawiające są również wspomniane tajemnicze „bunkry", do których dostępu bronili ludzie Hansa Sonderhausa. Przecież rejon ten nie miał zupełnie znaczenia militarnego. Być może chodziło raczej o podziemne skrytki z żywnością, sprzętem i bronią dla Werwolfu. Warto wspomnieć, że jedną z takich skrytek znaleziono w latach 60. w pobliskich, czeskich Karkonoszach – na stokach Czarnej Góry (1299 m n.p.m.). Zlokalizowano ją wysoko nad Pražskou boudą, 3 km na północ od Sokolskiej boudy, w dziewiczym lesie porastającym okolice nieprzebytego bagna. W tajnym magazynie wydobytym przez patrol saperów, znaleziono cztery – doskonale zabezpieczone przed wilgocią morskie kontenery. Po analizie oznakowań saperzy uznali, że zostały one przygotowane pod koniec 1944 roku w Halberstadt (miasto w środkowych Niemczech). Dwie skrzynie zawierały nipolitowe miny magnetyczne oraz miny przeciwpiechotne typu S.Mi.35 – 120 sztuk. W trzeciej były typowe miny przeciwpancerne, natomiast w ostatniej zapalniki, detonatory, zwoje lontu i tym podobne elementy. Skrzynie o wymiarach 50×100 cm były umieszczone jedna na drugiej. W każdym razie podobno w latach 80. w pobliżu schroniska znaleziono sporo broni. Niestety, tajemnicy Leopoldsbaude nie da się w pełni wyjaśnić, gdyż zapewne jej ślady spłonęły wraz ze schroniskiem w maju 1945 r.

Teren obozu i dawnego schroniska jest dość intensywnie penetrowany przez poszukiwaczy, którzy pozostawiają szereg śladów. Bez problemu można tam znaleźć resztki zastawy z obozowej kantyny, czy inne drobiazgi poniewierające się w lesie. W trakcie badań terenowych przeprowadzonych w listopadzie 2012 roku udało się stwierdzić, że poszukiwacze zbadali jedynie niewielki fragment obozu położony tuż przy skrzyżowaniu leśnych dróg. A choćby dokumentacja fotograficzna wskazuje, że zajmował on o wiele większy obszar. Tak więc w tym rejonie istnieje duża szansa na ciekawe znaleziska. Do miejsca gdzie niegdyś stało schronisko Leopoldsbaude możemy dotrzeć europejskim, długodystansowym, niebieskim szlakiem ze Świeradowa Zdroju (E3) lub Kopańca i Rybnicy. Natomiast zmotoryzowani powinni zatrzymać się na parkingu na Rozdrożu Izerskim i po półgodzinnym spacerku niebieskim szlakiem dotrą do Leopoldsbaude.

Przypisy:

[1] Tej kwestii, ze względu na brak źródeł, nie udało się do końca wyjaśnić, ale prawdopodobnie 16 VIII 1939 r. do Leopoldsbaude został przeniesiony cały RAD Abt. 1/103, którego elementy były do tej pory zakwaterowane na terenie Jeleniej Góry Garbarów (Hirschberg-Hartau).

[2] www.sudety.tu.info.pl/ forum/printview.php? Odsłona 2012-08-30

[3] P. Maszkowski, „Warta Werwolfu", cz.1, [w:] „Odkrywca" 5/2009

Robert Primke, Maciej Szczerepa

Regionaliści i historycy, współautorzy kilkunastu książek dotyczących szeroko pojętych dziejów Dolnego Śląska. Prezentowany artykuł jest fragmentem książki „Tajemnice, skarby i osobliwości. Góry i Pogórze Izerskie", która ukaże się w połowie 2013 roku.

Militarne epizody dolnośląskich rezydencji cz.1

Dzieje pałacu adiutanta Blüchera

TEKST: SZYMON WRZESIŃSKI, WSPÓŁPRACA: EUGENIUSZ BRANIEWSKI, MAŁGORZATA STANKIEWICZ

Mieszkańcy Soboty, niewielkiej miejscowości położonej na prawym brzegu Bobru, wielokrotnie odczuwali tragiczne konsekwencje prowadzonych tu rozmaitych batalii oraz przemarszów wojsk wielu narodów i armii. Spośród wszystkich, najbardziej dała znać o sobie kampania napoleońska z 1813 roku oraz powojenna grabież majątku rodu von Nostitz.

Najstarsze wiadomości o wsi położonej między Lwówkiem Śląskim a Wleniem pochodzą z końca XII stulecia. Zabudowania Soboty już wówczas zajmowały szeroką dolinę pomiędzy Wzniesieniami Płakowickimi, a zachodnim krańcem Wysoczyzny Ostrzycy. W pierwszej połowie XIII wieku lokalny książę podarował osadę w formie lenna jednemu z przybyłych na Śląsk niemieckich rodów rycerskich. Niewykluczone, że była nią rodzina von Ryme, która poświadczona jest w źródłach od lat 60. XIII stulecia.

Pierwsza wiadomość o niewielkich działaniach militarnych w okolicy pochodzi z maja 1427 roku. Wówczas to doszło do kilkugodzinnego najazdu husytów, którzy dokonali grabieży cenniejszego wyposażenia katolickiego kościoła. Początkowo proboszcz mógł liczyć na finansowe wsparcie dziedzica, jednak późniejsze, nieszczęśliwe wypadki spowodowały wycofanie się fundatora z płatniczych zobowiązań. Przyczyną był pożar, który kilka dekad później (1483 r.) strawił gotycki dwór należący do rodu von Ryme. Wszystkie dochody rodzina przeznaczyła więc na wzniesienie nowej rezydencji. Początkowo właściciele wsi byli przekonani, że winnymi podpalenia byli mieszczanie lwóweccy, czego dowodzi skarga złożona w kancelarii królewskiej. Ostatecznie Johann von Ryme zawarł porozumienie z miastem odnośnie pożaru swojego dworu w Sobocie. Następny wiek również przyniósł ze sobą serię tragicznych wydarzeń. W 1567 roku we wsi pojawiła się straszna zaraza. Jej pokłosiem był śmierć niemal wszystkich mieszkańców Soboty. Do tego trzy lata później, wskutek uderzenia pioruna, wybuchł kolejny pożar, który zniszczył zachodnią część kościoła. Ratunek przyszedł z zupełnie nieoczekiwanej strony. W 1570 roku wygasła męska linia von Ryme, zaś okoliczne dobra przeszły w ręce Zygmunta von Czettritza, w formie posagu jego żony Sabiny. Pierwszą istotną decyzją nowego właściciela wsi było pokrycie kosztów remontu oraz ufundowanie przy kościele kaplicy grobowej. Siły natury ponownie dały znać o sobie latem 1611 roku, gdy w wyniku uderzenia pioruna uszkodzony został fragment świątyni. Na szczęście w odbudowie pomógł nowy dziedzic Soboty – baron Hans von Braun. Zapewne zrezygnowałby z tej inwestycji, gdyby mógł przewidzieć, jakie zniszczenia i grabieże nastąpią w okolicy w okresie wojny 30-letniej. W latach 30. XVII w. ciągnąca tędy armia Wallensteina dokonała wielkiej grabieży mienia tutejszych mieszkańców. Natomiast na początku lat 40. stacjonujące w okolicy wojska szwedzkie wielokrotnie rekwirowały rozmaite dobra i żywność.

Kilkadziesiąt lat później wieś ponownie zmieniła właściciela. 6 XII 1718 roku Christoph Friedrich von Braun sprzedał trzy swoje majątki wraz z wszelkimi prawami i „siedzibą rycerską" w Sobocie, Ottonowi Conradowi von Hochberg. Co ciekawe, ponieważ mieszkańcy byli ewangelikami, a we wsi nie było zboru, do 20 II 1744 roku pastor Heydrich odprawiał nabożeństwa w... sali balowej tutejszego pałacu: *„Kiedy Jego Majestat Król Friedrich, dzięki zwycięskiej armii wziął Śląsk w posiadanie, otoczył opieką osierocone dotąd gminy ewangelickie ze zborami i pastorami (...). Wówczas dziedziczny właściciel majątku na Sobocie, Carl Otto Christian baron von Hochberg (...), sprowadził dla swych poddanych ewangelickiego kaznodzieję. (...) 19 marca 1742 roku w niedzielę, w pańskim pałacu, pod gołym niebem, wygłosił swe wprowadzające kazanie, a mostek prowadzący do rezydencji posłużył mu za ambonę. Wkrótce po tym baron Hochberg udostępnił jedną z sal swego pałacu, gdzie organizowane*

Pałac w Sobocie na pocz. XX w. Ryc. ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

Pałac w Sobocie w 1941 r. Zb. Sz. Wrzesińskiego.

były nabożeństwa ewangelickie. Trwało to do 1744 roku, [a dokładniej do czasu] *zbudowania domu modlitw"* – pisał w swej XVIII-wiecznej publikacji Benjamin Gottlieb Sutorius.

Po kilku dekadach względnego spokoju, gorsze czasy nastały za Carla Nicola von Hochberga, który nie potrafił sprawnie zarządzać swym majątkiem nad Bobrem. Zadłużony dziedzic 8 III 1764 roku pożyczył od królewskiego radcy Johannesa Conrada Balde z Wrocławia 22 tys. reichstalarów dając mu w zastaw Sobotę oraz sąsiedni Dłużec. Oświadczył jedynie, że pieniądze są mu potrzebne „na spłatę innych prywatnych długów", a ponadto dla zabezpieczenia stabilności gospodarstwa i obstalowania swego najstarszego syna. Zastawiony majątek wykupił Georg Ferdinand von Zedlitz z Grobli pod Bolkowem, który służył w regimencie księcia saskiego Albrechta, a od roku 1762 pełnił funkcję adiutanta pierwszego ministra, hrabiego Heinricha von Bruehla. 47-letni kapitan otrzymał zwolnienie z armii w 1773 roku z przyrzeczeniem, że nadal będzie mógł nosić mundur wojskowy. Kilkanaście lat później pruskiego oficera zmogła choroba płuc. Po ośmiu dniach męki opuścił ziemski padół (1786), zaś jego majątki w Sobocie, Pogwizdowie i Grobli przeszły na własność hrabiego Georga Augusta von Nostitz, który był synem jego siostry Eleonory Elisabeth z domu von Zedlitz i Georga Ludwiga von Nostitz (zm. 1757 r.), generała-adiutanta Augusta III. Wojskowe tradycje miały znacznie mniejszy wpływ na życie i śmierć Georga Augusta von Nostitz. Po trzech latach nauki prawa na uniwersytecie w Halle, w 1772 roku zaciągnął się do wojska. W 1782 roku zrezygnował jednak ze służby, przedkładając nad karierę wojskową szczęście swojej rodziny. Mimo, iż otrzymał Sobotę w testamencie po wuju, większość czasu przebywał w rodzinnym majątku w Cieślach koło Oleśnicy. Tam też przychodziły na świat kolejne jego dzieci. W sumie doczekał się dziesiątki potomstwa, z których największą sławą wojenną w rodzinie okryje się August Ludwig Ferdinand (ur. 1777 r.). Ten ostatni po ukończeniu studiów w 1799 roku objął w gospodarzenie majątek w Sobocie. W 1806 roku 29-letni porucznik von Nostitz wyruszył naprzeciw wojsk Napoleona, biorąc czynny udział w bitwie pod Jeną. Pod Prenzlau dostał się do niewoli: *„Wypuszczony za słowem honoru wrócił na Śląsk i wystąpił całkowicie ze służby 24 stycznia 1810 roku"* – zanotował biograf hrabiego. Po rozpoczęciu nowej kampanii August von Nostitz podjął decyzję o opuszczeniu rodzinnego majątku w Sobocie i ponownym wstąpieniu do służby wojskowej. 5 III 1813 roku został mianowany kapitanem przy Śląskim Regimencie Ułanów, a kilka tygodni później otrzymał zaszczytną funkcję adiutanta feldmarszałka von Blüchera.

Pozostałości po pałacu i zaniedbana XIX-wieczna wozownia w Sobocie. Fot. Sz. Wrzesiński.

Stara wozownia hrabiego von Nostitz z Soboty, dziś sklep i prywatne mieszkanie. Zb. Sz. Wrzesińskiego.

Tymczasem w Sobocie zaczęły pojawiać się kolejne wojska. Wspominając o tym okresie warto powołać się na dziennik proboszcza z Soboty, niejakiego Scharfenberga, który zanotował: *„Dnia 23 maja przybyli* [tu] *w wielkim bezładzie Prusacy i Rosjanie, którzy opowiadali o pobiciu ich pod Budziszynem oraz o ich odwrocie. Zakwaterowali się tutaj, a mój dom i podwórze pełne były rosyjskiej kawalerii. Kiedy tamci karmili swoje konie i popijali wódkę, przybyli konno dwaj oficerowie pruskich strzelców, którzy* [dotąd] *byli przy tutejszym hrabim von Nostitzu, rotmistrzu i adiutancie głównodowodzącego generała von Blüchera. Wysłani z Görlitz, by nas chronić przed ekscesami przeciągających tędy Rosjan. Rzeczą naturalną było tych obu oficerów przyjąć u mnie, dzięki czemu ci niesforni Rosjanie musieli opuścić mój dom i podwórze. Dnia 24 maja nastąpił całkowity odwrót Prusaków i Rosjan. I kiedy ostatnie* [ruchy wojsk w okolicy] *już nastąpiły, obecność obu oficerów gwardii* [ponownie] *nas uratowała przed kompletnym splądrowaniem ze strony Rosjan.* [Zwłaszcza, że] *wszystkie klepiska, które były dobrze zapełnione, gwałtem zostały zabrane,* [a] *obsadzone wzgórza i nasze piękne pola w większości spustoszone".* Niepokojące wieści musiały dotrzeć do właściciela Soboty, skoro wolał wybrać dłuższą drogę, by choć na chwilę zobaczyć, jakich dokonano tu zniszczeń: *„Dzisiaj, dnia 25 maja, zatrzymał się, przez jedną godzinę, tutejszy dziedzic hrabia August von Nostitz, wysłany jako kurier przez jego ekscelencję ministra von Hardenberga do Wrocławia. Utwierdził nas w przypuszczeniu, że armia von Blüchera musiała zająć swoje pozycje nad Kwisą i Bobrem. Nasze obawy i przerażenie przed przybyciem wroga rosły, i dlatego, że (...) spodziewaliśmy się ze strony Francuzów plądrowania, podpaleń i znęcania się. Tysiące uciekinierów ciągnęło ze swoim dobytkiem, bydłem, dziećmi i kobietami przez naszą wioskę dalej w góry; był to przykry widok (...). W międzyczasie starałem się zatrzymać w Sobocie wielu uciekających (...). Nikt nie wiedział ze strachu co*

Zniszczone neogotyckie mauzoleum w d. parku pałacowym w Sobocie. Fot. Sz. Wrzesiński.

Hrabia August Ludwig Ferdinand von Nostitz z Soboty nad Bobrem, ze zb. Eugeniusza Braniewskiego.

Pruski feldmarszałek von Blücher, reprodukcja z 1923, zb. Sz. Wrzesińskiego.

ma robić. Mój dom był przez Rosjan i domowników cały dzień i noc postawiony na nogi, a wszyscy co do mnie przyszli, dostawali poradę, szukali ochrony przed plądrowaniem oraz składali skargi oficerom gwardii. [Tymczasem] *Rosjanie (…) obsadzili wszystkie wzgórza koło Soboty (…). Rozlokowali swoje baterie, podpalili chałupy i założyli obóz. W Sobocie na polach wyrządzono wiele znacznych szkód (…). Zniszczono nie tylko pola, lecz również pozbawiono budynki dachów, a mieszkańców środków żywnościowych. Na moim gospodarstwie kościelnym ustawiono wiele baterii i zbudowano wiele szałasów, wycięto bardzo piękny (…) świerkowy zagajnik, spalono 10 stosów gotowego drewna opałowego i ubito tak dużo zwierzyny, że (…) musiałem zakopać ponad 100 zwierzęcych tusz. Dnia 26 maja rankiem opuścili nas obaj oficerowie gwardii (…), Rosjanie zajęli swe pozycje, tak więc spodziewaliśmy się bitwy i strasznego końca dnia. Jednak von Blücher nie zatrzymał się pod Bolesławcem. Dlatego po zaciekłym szturmie Francuzów i krótkiej kanonadzie, Rosjanie stąd odeszli. Sobota na szczęście została oszczędzona od splądrowania (…)* [i obecnie] *nie ma tu żadnego żołnierza"* – pisał Scharfenberg. Podczas krótkiego pobytu wojska francuskie, zatrzymane przez odbudowę zniszczonych pod Lwówkiem mostów na Bobrze, rozbiły obozy w miejscach, gdzie wcześniej stacjonowali Rosjanie. Według cytowanego już Scharfenberga pierwsze oddziały napoleońskie pojawiły się w Sobocie 27 maja. Oprócz rodowitych Francuzów, zjawili się również Włosi i Hiszpanie: *„(…) Po nich przybyli w dużej sile Kozacy (…). Swą pikietę wystawili przy szubienicy, i ze wzgórza za moim kościołem do 8 czerwca strasznie dawali znać o swoim istnieniu; codziennie mieli z Francuzami strzelaninę, a przez to byliśmy w strachu od ognia i plądrowania; przez obie strony byliśmy jednakowo traktowani. Musieliśmy jednych i drugich zaopatrywać w pokarm dla koni i żywność (…).* [W ciągu kolejnych] *kilku dni zapuszczali się tu powracający Francuzi i Polacy dopuszczający się okropności (…), gwałtem zabierali konie.* [Pewnego dnia] *połowę wioski zebrano na dziedzińcu przed pałacem,* [by mogli zobaczyć, jak] *niektórych* [żołnierzy] *rozbrojono, a ich konie, szable i pistolety oraz inne rzeczy odesłano do komendanta we Lwówku"* – dodawał w swym dzienniku proboszcz z Soboty. 8 czerwca do Soboty przybyła włoska brygada z XI Korpusu pod dowództwem generała Zucchi, który na swą kwaterę wybrał tutejszy pałac, zaś swych oficerów i żołnierzy rozlokował po okolicznych zabudowaniach. Miejscowy proboszcz nie omieszkał zanotować w swym dzienniku kilku interesujących spostrzeżeń: *„W pałacu stacjonował generał Zucchi, który każdego dnia potrzebował co najmniej 18-20 półmisków rozmaitych potraw. Zazwyczaj dla 10 osób potrzebował dodatkowo 20 nakryć. W moim domu był szef batalionu, komendant Pavoni, młody, bardzo grzeczny człowiek, z 4 końmi, kamerdynerem, 2 kawalerzystami oraz oficerem ze służącym i komisarzem wojennym (…). Zebrani Włosi żadnego słowa po niemiecku nie znali".* Z powodu braku paszy dla zgromadzonych we wsi koni, po ośmiu dniach 400 sztuk zaprowadzono do innej miejscowości. Po opuszczeniu wsi przez brygadę gen. Zucchi (10 czerwca), względny spokój zakończył się 17-18 sierpnia, kiedy miały miejsce krwawe walki we Wleniu. Między Sobotą a Lwówkiem stacjonowały wówczas francuskie oddziały XI Korpusu pod dowództwem marszałka Macdonalda, który wieczorem wysłał do stacjonującego w Bolesławcu dowódcy VI Korpusu marszałka Marmonta, pismo o wymownej treści: *„Nieprzyjaciel nie ponowił ataku na Wleń, my jednak byliśmy do tego zmuszeni. Przeciwnie, zniknął dziś rano, by zgromadzić 40 tysięcy ludzi (…). Ta armia skierowała się bardziej na prawo, aby rozłożyć się za Sobotą oraz na drodze ze Złotoryi do Lwówka. Jej awangarda (…)*

Zabudowania w Sobocie pod koniec XIX wieku, litografia ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

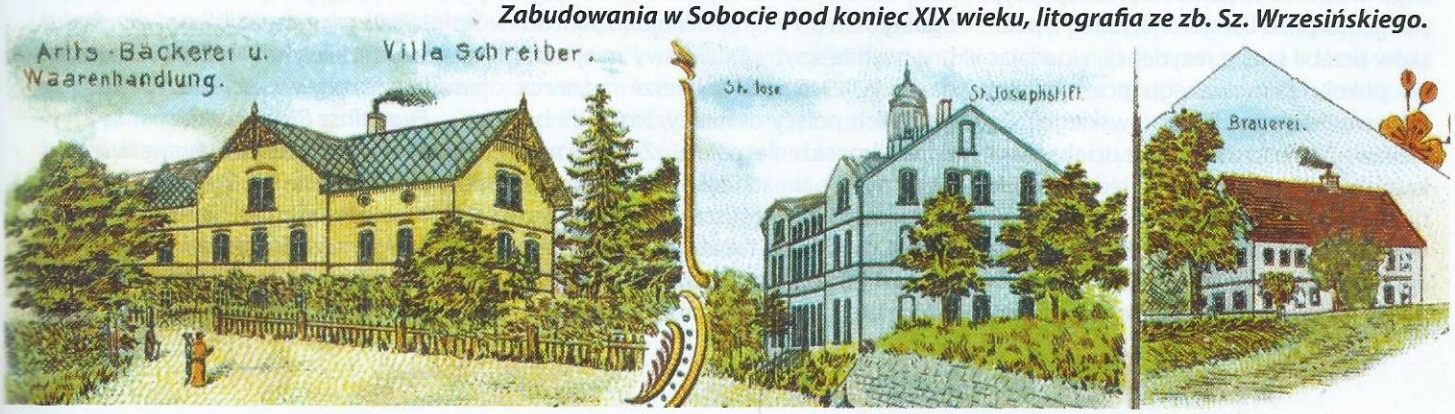

zaatakowała V Korpus na całym froncie, na obu brzegach Bobru. Generał Lauriston odparł atak ze swojej prawej strony, daleko od rzeki i jednocześnie przyciągnął swoją lewą flankę (...). Armię sprzymierzoną oddziela od nas jedynie Bóbr. Ogień pozwala dojrzeć ogromną siłę na kilku liniach. (...) Utrzymamy tę pozycję, jeśli się uda, przez dzień jutrzejszy, by [w międzyczasie móc] *otrzymać rozkazy Cesarza dotyczące* [dalszej] *koncentracji wojsk".* Rankiem 19 sierpnia nad Bobrem pojawiły się oddziały strzelców oraz silne oddziały kozackie, a następnie dowódca awangardy generał Rudczewicz. Donosił on później z pałacu o wycofywaniu się oddziałów francuskich z Wlenia w kierunku na Gryfów. W rezydencji przed południem zatrzymał się również dowódca rosyjskiego korpusu Langeron, który przybył do wsi od strony Proboszczowa. Podczas kilkugodzinnych walk z Francuzami znajdującymi się na drugim brzegu Bobru, wiele pocisków trafiło w zabudowania Soboty. Uszczerbku doznały m.in. kościół ewangelicki oraz siedziba hrabiego. Można sobie tylko wyobrażać, co czuł von Nostitz, który wieczorem przyjechał do Soboty, by przekazać rozkazy Blüchera, kwaterującemu nadal w pałacu Langeronowi. Miał on szykować się następnego dnia do kolejnej potyczki. Nerwową atmosferę dało się również odczuć w obozie Francuzów. Wspominający te chwile marszałek Marmont, zanotował później w swych pamiętnikach: *„Blücher rozpoczął ofensywę przed upływem terminu zawieszenia broni i korpusy armii francuskiej, które miał przed sobą, wyruszyły, aby się zgrupować na linii Bobru. (...) Nieprzyjaciel, chcąc przekroczyć Bóbr w Sobocie, został odepchnięty przez dywizję Rochambeau".* 20 sierpnia wraz z nastaniem świtu generał Puthod, chcąc utrudnić nieprzyjacielowi zajmowanie pozycji i przygotowanie nowego ataku, ustawił baterię dział w kierunku Soboty, po czym rozpoczął ostrzał wsi i okolicy. Według wspomnień stacjonującego wówczas w pałacu dowódcy rosyjskiego korpusu Langerona, jeden z pocisków przebił ścianę rezydencji, wpadając do pokoju zajmowanego przez oficera kwaterunkowego Dombrowskiego. Co ciekawe, ten ostatni zamiast uciekać, wykazał się nieroztropną, a jednocześnie niespotykaną brawurą. Choć Langeron nie pisze, co dokładnie oficer zrobił z kulą – można się domyślać, iż zdołał unieszkodliwić śmiercionośny pocisk gasząc lont.

Następnego dnia (21 sierpnia) kilka kilometrów od Soboty miała miejsce większa bitwa z udziałem samego Napoleona. Francuzi, mimo silnego strzału, zdołali pokonać Bóbr. W efekcie Blücher z całą swoją kwaterą rzucił się w galopie do ucieczki. Po zakończeniu bitwy w Sobocie około tysiąca żołnierzy rozłożyło się nieopodal kościoła. Prawdopodobnie stanowili oni część V Korpusu generała Lauristona, który 22 sierpnia skierował się stąd na Jastrzębnik.

Sobota odegrała jeszcze jeden epizod podczas drugiej bitwy pod Lwówkiem. 28 sierpnia po południu do wsi przybyła wyczerpana długim marszem 17. Dywizja Piechoty generała Puthoda, która usiłowała pokonać wezbrany Bóbr. Na przykościelnym cmentarzu ulokowano pierwszy batalion 148. pułku, by stąd kontrolować zarówno całą wieś, jak i przechodzące przez nią drogi. Następnego dnia 17. DP opuściła swoje pozycje w Sobocie, kierując się ku Płakowicom. Tam jednak doszło do pogromu wojsk francuskich, a triumfujący teraz Blücher z nieukrywana dumą mógł wjechać do Lwówka. 1 września pruski feldmarszałek, napisał list do żony: *„Śląsk jest już wolny, wczoraj wypędziłem ostatnich Francuzów przez granicę do Saksonii. Zobaczysz owoce naszego zwycięstwa, a wczesnym rankiem przerzucimy mosty przez Kwisę, które wróg spalił i wysadził w powietrze. Postępuję za wrogiem. Nieszczęściem w tym jest to, że mój dobry towarzysz hrabia Moltke, którego wysłałem z wiadomością do króla o zwycięstwie, utonął po drodze w czasie powodzi. Nostitz był tam wcześniej wysłany,* [dlatego] *cały i zdrowy do nas powrócił".*

Malowniczą wieś ominęły szczęśliwie działania I wojny światowej (1914-1918). Niestety, wkrótce ponownie doszło do kolejnego konfliktu między mocarstwami europejskimi. Tym razem los nie był już łaskawy dla mieszkańców Soboty. Walki toczone w okolicy w lutym 1945 roku doprowadziły do uszkodzeń wielu budynków. Jednym z nich był pałac, choć jego ogólny stan po wojnie oceniono jako dobry (wybite szyby i dziurawy miejscami dach). W 1945 roku żołnierze radzieccy, a po nich polscy osadnicy, rozkradli bogate wyposażenie pałacu. Zginęły między innymi pamiątki zgromadzone przez hr. Augusta von Nostitza, np. jego odznaczenia, oryginalna tabakierka Napoleona, popiersie feldmarszałka Blüchera, czy olejne portrety królów pruskich. Grabieżcy nie oszczędzili nawet rodowego mauzoleum (z 1866 r.), położonego obok pałacu. Ponieważ przybyli tu osadnicy nie wykazali najmniejszej chęci odremontowania starej rezydencji, jej pogarszający się stan przyspieszył decyzję o rozbiórce (lata 70. XX w.). Dlatego dzisiaj o najbardziej znanych właścicielach rezydencji – von Nostitzach – przypominają jedynie skromne fragmenty fundamentów pałacu, stojące w zaniedbanym parku neogotyckie, acz mocno zdewastowane mauzoleum oraz zaniedbana XIX-wieczna wozownia.

Autor bardzo dziękuje p. Eugeniuszowi Braniewskiemu i p. Małgorzacie Stankiewicz za pomoc w poszukiwaniu źródeł i tłumaczeniach.

Wykorzystane cytaty pochodzą z pracy:
1. B. G. Sutorius „Die Geschichte von Löwenberg", (Bunzlau 1784).
2. Artykuł B. Potena „Allgemeine Deutsche Biographie", (Bd. 24, 1887).
3. Dziennik Scharfenberga zawarty w regionalnej publikacji H. Scholza, „Löwenberg im Jahre 1813", (Löwenberg 1909).
4. Dokumenty opublikowane w „Memoires du marechal Marmont duc de Regusе" (Paris 1857).

Biografia uzupełniająca:
1. „Erinnerungen an Zobten am Bober", Wolfsburg 2004
2. „Neues preussisches Adels-Lexicon (...)", Bd.3, Leipzig 1837
3. J. A. Bossowski, E. Braniewski „Napoleon we Lwówku Śl.", Częstochowa 2003
4. M. Olczak „Kampania 1813", Warszawa 2004
5. H. Sieber „Schlösser in Schlesien", Frankfurt a. M., 1971
6. H. Sieber „Burgen und Schlösser in Schlesien", Frankfurt a. M., 1962

Szymon Wrzesiński
Historyk, filokartysta, autor kilkunastu książek popularno-naukowych. Jego ostatnie publikacje to: „Hitlerjugend na Śląsku", „Tajne badania Luftwaffe na Dolnym Śląsku", „Podziemne tajemnice III Rzeszy" oraz „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki. Tajne fabryki, ośrodki szkoleniowe i eksterminacja w okresie III Rzeszy".

Eugeniusz Braniewski
Regionalista, autor kilku książek o tematyce historycznej, m.in.: „Napoleon we Lwówku Śląskim", „Leoriana, czyli Kalendarium Lwówka Śląskiego i jego okolic".

Małgorzata Stankiewicz
Historyk sztuki, autorka książki pt. „Gościszów. Dzieje zamku", współtwórca portalu: www.gosciszow.esbo.pl

Artykułem o amerykańskich superbohaterach rysunkowych z numeru grudniowego „Odkrywcy" rozpoczęliśmy cykl poświęcony bliższym związkom historii i popkultury. Na pierwszy ogień poszły komiksy z USA, a przede wszystkim ich propagandowa rola podczas II wojny światowej. Poniższy tekst ma na celu przedstawienie analogicznego zjawiska na ziemiach okupowanej Polski.
Z cyklem związany jest błyskawiczny konkurs SMS-owy, w którym każdorazowo będzie można wygrać cenne i atrakcyjne nagrody. Zapraszamy do udziału!

Superbohaterowie na froncie, cz.2

Propaganda pod okupacją

TEKST: MICHAŁ CETNAROWSKI

Kampania Wrześniowa '39 roku skończyła się dla Polski kolosalnymi zmianami we wszystkich dziedzinach życia. Nie inaczej też było, jeśli chodzi o działalność kulturalną. 12 października w dzienniku urzędowym Rzeszy ukazało się rozporządzenie o stworzeniu na okupowanych terenach naszego kraju Generalnej Guberni, która dzieliła się na cztery dystrykty: warszawski, radomski, krakowski i lubelski. Według niemieckich statystyk zamieszkiwało je około 19 mln ludzi, w tym 14 mln Polaków. I o ich dusze szybko rozpoczęła się walka równie zaciekła, choć mniej krwawa, jak ta na froncie: wojna propagandowa.

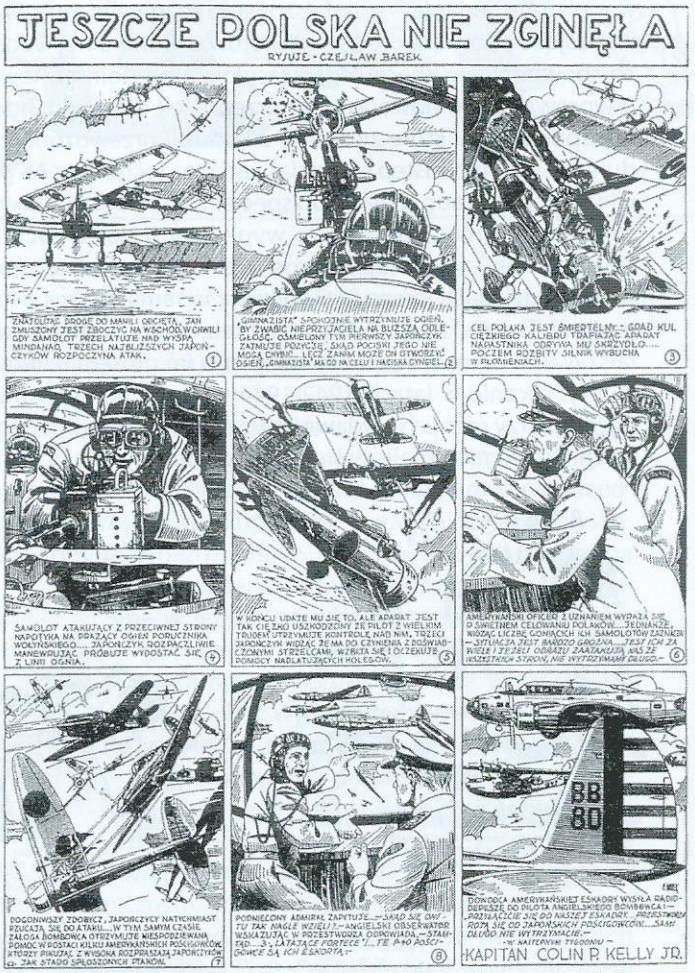

Porucznik Jan Polaski, Polak z Ameryki, walczył na wszystkich frontach, na których wzywały go dwie ojczyzny; C. Barek, NN „Jeszcze Polska nie zginęła"; Źródło: A. Rusnek, „Leksykon polskich bohaterów" i serii komiksowych, s. 78.

Okupant doskonale zdawał sobie sprawę, że po zwycięstwie militarnym kolejnym wyzwaniem jest spacyfikowanie polskiego ducha. W tym celu wykorzystywał na wielką skalę wszelkie dostępne instrumenty propagandowe – prasę, rozgłośnie radiowe, teatr czy kino. Równocześnie od pierwszych miesięcy okupacji władze hitlerowskie zabroniły Polakom organizowania własnego życia kulturalnego. Stwierdzono, że jako „podludzie", „prymitywny naród polski" nie wnosi nic wartościowego do skarbnicy kultury światowej, ponadto nie ma w tej dziedzinie większych potrzeb i dlatego też przysługuje mu jedynie rozrywka najprostsza, zapewniana przez okupanta. Wszelkiego rodzaju imprezy widowiskowe, jak np. pokazy filmowe, musiały otrzymywać zezwolenie cenzury. Ludności polskiej zakazano oglądania niemieckich tygodników i filmów oświatowych, Niemcy natomiast nie mieli prawa wstępu na seanse prezentowane przedstawicielom „niższej rasy". Jednocześnie hitlerowscy agitatorzy uważali, że niezależna kultura polska mogła stanowić niebezpieczne narzędzie do propagandowej walki z Niemcami. W tej akurat kwestii mieli całkowitą rację.

Obok prowadzonej w ukryciu walki zbrojnej, Polacy skupili się również na dywersji propagandowej, która z biegiem czasu zyskała spore rozmiary i mogła pochwalić się wieloma sukcesami. Największe rozmiary osiągnęła Akcja N (od „Niemcy"). Pod tym kryptonimem krył się szereg działań prowadzonych wśród Niemców od 1941 do 1944 roku. Organizował je referat N, powołany w grudniu 1940 r. przez gen. Roweckiego, w ramach którego, już w 1942 r., współdziałało prawie tysiąc osób: redaktorów, tłumaczy, drukarzy, kurierów, częściowo wywodzących się Szarych Szeregów. Miesięcznie rozprowadzano 20-30 tysięcy różnych sfabrykowanych druków (gazet, periodyków, ulotek). Redagowano je z niezwykłą starannością – pracownicy referatu zbierali specjalistyczne informacje na temat historii i geografii Niemiec, badali lokalne dialekty, nasycali pisma zwrotami charakterystycznymi dla poszczególnych grup zawodowych czy urzędów. Wszystko po to, by materiały sprawiały wrażenie przygotowanych przez działające wśród Niemców grupy antyhitlerowskie i siały dezinformację w szeregach okupanta. Akcja N stanowiła element wojny psychologicznej, która toczyła się między propagandystami obu stron i miała na celu wywarcie presji, zastraszenie i podkopanie morale wroga. Chcąc unaocznić skalę przedsięwzięcia, przyjrzyjmy się niektórym publikacjom, jakie fałszowano w trakcie Akcji N. Fikcyjne magazyny „Der Soldat" („Żołnierz") i „Der Frontkämpfer" („Bojownik frontowy") sugerowały istnienie szerokiej antyhitlerowskiej opozycji wewnątrz armii niemieckiej; konspiracyjna organizacja miała rzekomo obejmować kręgi generalicji i wyższych oficerów armii. „Der Hammer" („Młot") i „Der Durchbruch" („Przełom") przygotowywano dla Niemców o poglądach lewicowych, odpowiednio antynazistowsko profilując zamieszczane w nich treści.

„Die Ostwache" („Straż na Wschodzie") kolportowała podobne treści dla okupacyjnej administracji, a „Die Zukunft" („Przyszłość") kierowano do polskich volksdeutschów, unaoczniając im obowiązek podjęcia cywilnej walki i oporu. W ramach Akcji N i prowadzonych równolegle działań „małego sabotażu" (m.in. wypisywanie haseł patriotycznych na murach) realizowano i inne zadania – np. sfałszowano rozporządzenia wprowadzające obowiązek rejestracji kotów w Generalnej Guberni, co spowodowało chaos organizacyjny. Albo poinformowano o wprowadzeniu nowego typu przepustek dla samochodów transportowych, które zwalniały z kontroli przewożonego ładunku – zanim podstęp się wydał, setki samochodów AK przewiozło sprzęt i zaopatrzenie do specjalnych składnic. Od września 1943 na murach masowo wypisywano słowo „October" („Październik"), wywołując wśród Niemców psychozę strachu przed nadciągającym październikiem; w ramach akcji o kryptonimie „Tse-tse" nękano Niemców telefonami z pogróżkami, fałszywymi ogłoszeniami czy zalepiano im gipsem dziurki od kluczy. Łącznie w latach 1942-1944 wydano ponad 1 milion egzemplarzy różnych wydawnictw i materiałów propagandowych. Wśród nich znalazły się również komiksy.

„Opowieści obrazkowe" z historią w tle

Aby zrozumieć rolę i pozycję komiksu w czasie II wojny, cofnijmy się nieco w czasie, żeby zobaczyć jaką pozycję miał komiks w Polsce przedwojennej. Porównując ze Stanami Zjednoczonymi nie da się ukryć, że popularność „opowieści rysunkowych" w Polsce tamtego okresu była zdecydowanie mniejsza. Nie znaczy to jednak, że i my nie mieliśmy swoich bohaterów i rysunkowych obrońców, krzepiących serca i toczących propagandowe boje. Ich tradycja sięgała czasów międzywojnia i rysunków satyrycznych w gazetach, które z czasem układały się w dłuższe fabularyzowane historie. Inaczej niż za oceanem, ich bohaterowie nie wypowiadali swoich kwestii w charakterystycznych komiksowych „dymkach" – narracja o ich przygodach znajdowała się najczęściej pod ilustracją i przyjmowała formę kilkuwersowej rymowanki. Podobną formę miały ówczesne bajki dla dzieci, na czele z najsłynniejszą z nich – „Przygodami Koziołka Matołka" Kornela Makuszyńskiego i Mariana Walentynowicza.

Wśród najpopularniejszych tytułów z tamtych czasów wymienić należy komiksy: „Agapit Krupka" – humorystyczną historię tytułowego poczciwiny, ukazującą się w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym"; „Przygody Bezrobotnego Froncka" – dzieje sprytnego Ślązaka, które w krzywym zwierciadle satyry pokazywały biedę i najczęstsze problemy mieszkańców tamtego regionu, publikowane w katowickiej popołudniówce „Siedem Groszy"; prezentowane w mikołowskim piśmie satyrycznym „Dzieje Hanysa Kocyndra", których bohater już jako czterolatek łobuzował, *„palił fajkę, grał (...) w karty, klął pieronie i pił hojnie"*, a gdy dorósł, zachęcał Ślązaków, by czytali polską prasę i wstępowali do drużyn „Sokoła"; drukowane w „Małym Dzienniku" „Przygody Marka Kolosa", których młodociany bohater, syn szofera, usilnie stara się zostać reporterem i przemierza stolicę, szukając interesujących tematów; niezwykle popularnego „Tarzana", przedrukowywanego pierwotnie z zachodu w łódzkim tygodniku „Panorama"; czy „Pata i Pataszona", humoreskę o skandynawskiej proweniencji, publikowaną przez „Express Ilustrowany", najpopularniejszą przed II wojną gazetę brukową w Polsce. To tylko część z ukazujących się wtedy tytułów.

Historie te ukazywały się nieregularnie – niektóre publikowano przez kilka tygodni, inne przez kilka lat (tak długich dziejów doczekał się m.in. Bezrobotny Froncek) – i miały różny poziom wykonania, ale spotykały się najczęściej z dużym lokalnym zainteresowaniem. Nie wszystkie służyły celom propagandowym, jednak w momentach szczególnie istotnych dla odradzającego się państwa, pojawiały się wśród nich i takie. Ich naj-

1. Siedzą w domku koło mostka
Piotr i Paweł oraz Zośka
W chacie ich aż pieszczy bieda,
A roboty nikt dziś nie da.
A może ktoś nam pomoże?

2. Idą smutni, na dół głowy,
Aż tu afisz kolorowy:
„Jedź do Niemiec na robotę"
Piotr mówi — „Jadę z ochotą"
— „Robić? nigdy" — Paweł mruknął.

3. Piotr do wójta wchodzi w tłoku,
Zośka skromnie staje z boku.
„Oto kontrakt, tu podpiszcie,
Tu pieniądze, proszę bierzcie".
Złym okiem Paweł ich śledzi.

4. Icek szepta: — „Nie jedź Pierze,
Tam cze bomba trafi jeszcze".
Zośce kumoszki szeptają:
— „Tam kościoły podpalają".
Piotr się w oczy wszystkim śmieje.

5. Lekarz Piotra stuka, słucha
wreszcie mówi: — „Brawo zuchu".
Zaś lekarka Zośkę chwali:
— „Macie zdrowie jak ze stali.
Wasza bieda się skończyła".

6. Do obozu przyjechali,
Skąd odjadą jutro dalej.
Kucharz smaczny obiad mięsi
Bractwo wcina, aż się trzęsie.
Potem kąpiel wszystkich czeka.

Przykład niemieckiej propagandy rysunkowej z „gadzinówki", zachęcającej do wyjazdu na roboty do Rzeszy; NN „Jak Piotr i Zośka znaleźli szczęście"; Źródło: A. Rusnek „Od rozrywki do ideowego zaangażowania. Komiksowa rzeczywistość w Polsce w latach 1939-1955", s. 18.

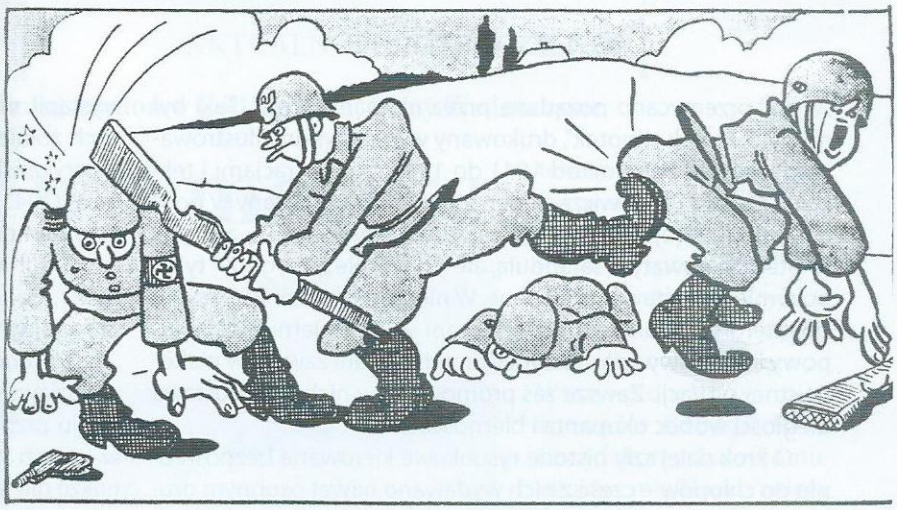

Walenty Pompka gromi nazistów! M. Walentynowicz, R. Pobóg (pseud. R. Kiersnowski) „Przygody Walentego Pompki"; Źródło: A. Rusnek, op. cit. s. 199.

lepszym przykładem jest „powieść obrazkowa" (nikt wtedy nie używał jeszcze w Polsce słowa „komiks") „Ogniem i mieczem, czyli przygody szalonego Grzesia – powieść współczesna". Jej bohaterem był tytułowy Grześ, a jego przygody – tworzone przez grafika i karykaturzystę Kamila Mackiewicza, dopiero co zwolnionego z niemieckiego obozu jenieckiego, oraz eseistę i dziennikarza Stanisława Wasylewskiego – od lutego 1919 roku prezentowano na łamach krakowskiego tygodnika satyrycznego „Szczutki". Nowo powstające państwo polskie potrzebowało takich historyjek „ku pokrzepieniu serc". Sami autorzy określali swoje dzieło jako „niesłychanie interesujący romans w obrazkach", a jego treścią były, ukazane humorystycznie, walki wojaka Grzesia ze wszystkimi wrogami odradzającego się państwa: z Niemcami w Wielkopolsce i na Śląsku, czy Ukraińcami i bolszewikami na wschodzie. Rysunkowe „Ogniem i mieczem..." sławiło przewagi oręża polskiego i zachęcało do wzmożonych wysiłków na rzecz utrzymania integralności odzyskiwanego państwa, i jak na komiks o zabarwieniu propagandowym przystało, aby osiągnąć efekt, nie stroniło od przerysowań i posługiwania się stereotypami. Historia zyskała szerokie grono sympatyków i w 1920 r. doczekała się nawet osobnego wydania książkowego, co jak na tamte czasy i „komiksy gazetowe" było ewenementem.

PYTANIE: Podaj imię i nazwisko porucznika, bohatera komiksu „Jeszcze Polska nie zginęła".

ODPOWIEDŹ: SMS pod nr 7368 o treści: Odkrywca._____ (po kropce, bez spacji wpisać odpowiedź na pytanie).

Drugą z „historii obrazkowych" międzywojnia, mocno zaangażowaną w politykę i doraźny komentarz, była opowieść o dobitnym tytule „Heil, Piffke!". Tę ostrą satyrę na nazistowskie Niemcy – *„wielką, aktualną rewię polityczno-satyryczną"*, jak reklamowali historyjkę jej twórcy – prezentowano od wiosny 1939 r. w „Expressie Ilustrowanym". Jej bohaterem został berliński mieszczuch Wilhelm Piffke, w którym kumulowały się wszystkie stereotypowe wyobrażenia na temat nazistów: był on gorliwym członkiem SA o wyglądzie łysego grubaska z twarzą ozdobioną małym wąsikiem „a la Hitler", który uosabiał stereotyp butnego i ślepo posłusznego Prusaka. Zuchwały, chciwy i obłudny Piffke zostaje m.in. agentem gestapowskim w Protektoracie Czech i Moraw, innym razem wygłasza przemówienie prohitlerowskie w Gdańsku. Ale – na szczęście dla Polaków – wszystkie jego starania obracają się w końcu przeciwko niemu i pokazują jego fajtłapowatość: w Czechach szkolona przez Piffkego papuga okazuje się czeską patriotką i przynosi mu wstyd podczas wizytacji dygnitarza, a w Gdańsku wzburzony tłum przerywa jego przemówienie rozruchami. Publikowanie historyjki przerwał wybuch wojny, a po wkroczeniu Niemców do Łodzi gestapo zaczęło poszukiwać jej autorów. Jeden z nich – autor ilustracji Stanisław Dobrzyński – uciekł do ZSRR, gdzie później trafił do armii Andersa, losy drugiego – autora tekstów Jerzego Bolskiego – pozostają nieznane.

Herosi o dziwnych nazwiskach

Tymczasem zaczęła się wojna. Rysunkowi bohaterowie nie złożyli jednak broni, choć ich sytuacja początkowo nie przedstawiała się wesoło. W okupowanym kraju hitlerowcy błyskawicznie, bo już w październiku '39 r., zlikwidowali niezależną polską prasę. W jej miejsce powołano własne pisma w języku polskim, kierowane do miejscowego odbiorcy i nasycone treściami propagandowymi. Komiksy propagandowe, ukazujące się w Polsce, choć wydawane po polsku, kierowane były odtąd w dużej mierze przeciwko Polakom – publikowano je w prasie „oficjalnej", „gadzinowej". „Opowieści rysunkowych" w patriotycznych gazetkach konspiracyjnych było zdecydowanie mniej. Sformułowanie „prasa gadzinowa" było przy tym określeniem historycznym, którym posługiwano się w Niemczech w stosunku do gazet wydawanych po 1866 roku, popierających politykę zjednoczeniową Prus. Po wybuchu II wojny nazwa ta przylgnęła do polskojęzycznej prasy niemieckiej na terenach Generalnej Guberni. Choć Polacy zdawali sobie sprawę z dwuznacznego charakteru „gadzinówek", to jednak cieszyły się one sporym zainteresowaniem – obok treści zmanipulowanych znajdowały się w nich bowiem także przydatne informacje dotyczące np. racji żywieniowych, produktów na kartki, obwieszczenia władz okupacyjnych czy bardzo popularne ogłoszenia prywatne. W „gadzinówkach" tych pojawiały się także krótkie „historyjki obrazkowe". Część z tych „komiksów" nie odnosiła się bezpośrednio do sytuacji politycznej – były to humoreski, w których nie komentowano wydarzeń aktualnych, a jedynie

KONKURS SMS-owy nr 2

10 nagród książkowych.
Ogólna wartość nagród – 409 zł.

Aby zagrać o nagrodę od 10 I 2013 r. do 10 II 2013 r. wyślij odpowiedź na pytanie SMS-em w treści wpisując: ODKRYWCA.odpowiedź na pytanie odpowiedź na pytanie konkursowe należy wpisać bezpośrednio po kropce, nie używając spacji po treści kodu pod numer 7368 za 3,69 zł z VAT (usługa dostępna we wszystkich sieciach GSM)

Nagroda zostanie przekazana zwycięzcy Konkursu kurierem lub pocztą po opublikowaniu listy zwycięzców.

Pełny regulamin dostępny jest w siedzibie Organizatora oraz na stronie internetowej www.odkrywca.pl

„w tle" przemycano pożądane przez okupanta treści. Taki był np. cykl „Motek i Knotek", drukowany w krakowskim „Ilustrowanym Kurierze Polskim" od 1941 do 1943 r., z ilustracjami i tekstami Oskara Pawłowicza. Jeden z bohaterów – ubrany w podhalański (!) strój Motek – był zaradnym spryciarzem, a drugi, Knotek, ciapowatym safandułą, ale ich wesołe „przygody" tylko pozornie pozostawały niewinne. W niektórych odcinkach cyklu bohaterom towarzyszą np. rysowani w niezmiernie stereotypowy i obraźliwy sposób Żydzi, przedstawiani zawsze w niekorzystnej sytuacji. Zawsze zaś promowana w nich była postawa uległości wobec okupanta i bierności.

O krok dalej szły historie rysunkowe kierowane bezpośrednio do chłopów – część z nich wydawano nawet osobnym drukiem, jako samodzielne książeczki propagandowe, w których zachęcano do wyjazdu na roboty do Niemiec i przedstawiano taką decyzję w samych superlatywach. Z ilustracji spoglądali na czytelników zadowoleni, rumiani i odkarmieni bohaterowie, którym „udało się" wyjechać do Rzeszy i teraz zachęcają do tego innych. Obok nich w gazetach ukazywały się fikcyjne listy od zadowolonych robotników. Ich tytuły były cytatami wybranymi z dalszej treści: *„Ale mi jest dobrze, to się i pisać nie chce"*, *„Teraz znów siadam do pisania, bo się najadłem"*, *„Tutaj dopiero ludzie mają życie"*, *„U nas w niedzielę je się to, co u was na Wielkanoc"*.

Drugi nurt twórczości komiksowo-propagandowej w czasie II wojny tworzył historyjki patriotyczne, przygotowywane przede wszystkim przez Polaków za granicą, by wzmocnić ducha rodaków pozostających pod rządami nazistów. Pierwsza taka „opowieść obrazkowa" ukazała się już w grudniu '39 r. w magazynie „Polska Walcząca. Tygodnik Gromady Żołnierskiej", wydawanym we francuskim obozie szkoleniowym Coëtquidan, który Polacy nazywali „Koczkodanem". Taki też był tytuł tej opowieści – „Piecyk i Rzepka, czyli przygody dwóch ochotników w Koczkodanie". Ukazywała się ona do 1940 r. i opowiadała o przygodach dwóch znajomych z Polski, którzy po klęsce wrześniowej znaleźli się w obozie żołnierskim. Za tekst odpowiadał poeta i satyryk Jerzy Paczkowski, a za ilustracje nie kto inny, jak sam Marian Walentynowicz. Był on również ilustratorem kolejnej historyjki zachęcającej do zaciągnięcia się do Polskich Sił Zbrojnych – „Przygód Walentego Pompki", które w latach 1941-1942 drukowano za oceanem, w tygodniku „Odsiecz – Polska Walcząca w Ameryce". Był to organ prasowy polskiej misji wojskowej w Kanadzie, a przygody niesfornego strzelca (opisywane przez Ryszarda Kiernsowskiego) miały przekonać do wstąpienia do armii. Opisywały one zmagania żołnierza-patrioty na wszystkich frontach II wojny światowej. A więc Walenty Pompka gromił Niemców najpierw w Polsce, po klęsce trafił do niewoli, z której wszakże szybko się wyswobodził, i przez Francję przedostał się do Afryki. A wszędzie, gdzie był, z fantazją i humorem zaświadczał o swojej polskości i zaradności. Jego dwujęzyczne perypetie (napisy pod ilustracjami ukazywały się po polsku i angielsku) zdobyły taką popularność, że wkrótce przedrukowano je w polskojęzycznym „Nowym Świecie", ukazującym się w Nowym Jorku. W Detroit wyemitowano ich adaptację w postaci audycji radiowej, a następnie zebrano je i wydano jako osobną książeczkę. Sukces był tak duży, że kiedy akcja rekrutacyjna w Ameryce Północnej zakończyła się, po krótkiej przerwie zdecydowano się kontynuować historię w londyńskiej „Polsce Walczącej". Tym samym wkrótce strzelec Pompka mógł się wykazać podczas obrony Tobruku, polował na szpiegów w USA, czy wystąpił w filmie hollywoodzkim opisującym „żywoty sławnych żołnierzy"... W „Nowym Świecie", kierowanym do polonii amerykańskiej, ukazał się także komiks „Jeszcze Polska nie zginęła" (1941; rysunki – Czesław Barek, tekst – NN), opowiadający o Kampanii Wrześniowej. Jego zrodzony na amerykańskiej ziemi bohater miał może najwięcej z tamtejszych superherosów... Porucznik Jan Polaski, bo o nim mowa, był mianowicie przystojnym, kruczoczarnym lotnikiem, który sam uważał się za *„Amerykanina, w którego żyłach płynie jednak polska krew"*. Dowiedziawszy się o ataku hitlerowców na Polskę, powraca on do „kraju przodków", wstępuje do Wojska Polskiego i uczestniczy w bojach nad Bzurą. Po klęsce trafia do niewoli, w której jednakże nie traci ducha; wszczyna bunt i organizuje ucieczkę jeńców, przedziera się do Anglii i znów trafia do lotnictwa, by – już po ataku na Pearl Harbor – walczyć z Japończykami na Dalekim Wschodzie i bronić Ameryki, swojego „drugiego domu". Głównym celem całej opowieści było rozbudzenie ducha patriotycznego wśród amerykańskiej polonii i zachęcenie jej do popierania wysiłku wojennego w Europie i na Pacyfiku.

Mniejszy rozmach miały historyjki zamieszczane w „Kurierze Polskim w Bagdadzie" – publikacje Ministerstwa Informacji i Dokumentacji dla żołnierzy 2. Korpusu, którzy stacjonowali na Bliskim Wschodzie. Nie tworzyły one jednak już jednej fabuły, ich bohaterowie zmieniali się i zazwyczaj służyły głównie do wprowadzenia do gazety elementu humorystycznego. Podobne „opowieści rysunkowe" pojawiły się też w wydawanym w Tel Awiwie miesięczniku „Junak", skierowanym dla młodzieży. Tamtejsze „Przygody Hilarego Pały" (1944) zachęcały do bohaterstwa uczniów szkół oficerskich – komiks opowiadał o przygodach ucznia Szkoły Kadetów, który mimo młodego wieku zdołał już zatopić okręt wroga i przeprowadzić z sukcesem akcję wywiadowczą. Swoją humoreskę obrazkową mieli także żołnierze powstałej w ZSRR I Armii Wojska Polskiego. W magazynie „Zwyciężymy" w 1945 r., już u schyłku wojny, ukazywały się „Wesołe przygody Antka Ofermy i Walentego Pyry". Komiks stronił od poruszania drażliwych politycznie kwestii i stawiał raczej na żołnierski humor oraz scenki sytuacyjne, podpowiadające, które zachowania na froncie są wskazane, a które nie (np. uczono, że nie należy rozstawać się ze swoim mundurem itp.).

Nawet jeśli polscy superbohaterowie-patrioci różnili się znacznie od swoich amerykańskich „kolegów" – nie byli tak koturnowi i pełni patosu, a stawiali raczej na swojskość i krzepiący żart – to pełnili na łamach magazynów, w których ukazywały się ich przygody, podobną funkcję. Próbowali choć trochę osłodzić ich czytelnikom życie w warunkach nieustannego zagrożenia, udowadniali, że warto walczyć, bo wciąż jest nadzieja, i wykpiwali wroga, czyniąc go mniej złowieszczym. Przekonywali, że duch w narodzie nie słabnie, skoro nawet pod okupacją wciąż potrafiliśmy się śmiać.

Bibliografia:
1. A. Rusnek „Od rozrywki do ideowego zaangażowania. Komiksowa rzeczywistość w Polsce w latach 1939-1955", Biblioteka Narodowa 2011
2. A. Rusnek „Leksykon polskich bohaterów i serii komiksowych", Biblioteka Narodowa 2007
3. J. Łojek „Prasa polska w latach 1939-1945", PWN 1980
4. H. Auderska, Z. Ziółek „Akcja N. Wspomnienia 1939-1945", Warszawa 1972

Z wizytą w National Archives and Records Administration w College Park, Stany Zjednoczone

Jak to się robi w Ameryce

TEKST: SEBASTIAN RÓŻYCKI
ZDJĘCIA: ZBIORY AUTORA

Poszukując zdjęć lotniczych z okresu II wojny światowej, czy Mikrofilmów Aleksandryjskich[1] miejscem, które warto odwiedzić jest Narodowe Archiwum Stanów Zjednoczonych. W porównaniu z podobnymi ośrodkami w Niemczech, Anglii czy Szkocji, amerykańskie Archiwum ma jedną, ogromną zaletę. Zgromadzone tam dokumenty są udostępniane bez opłat i istnieje możliwość ich bezpłatnego skopiowania z wykorzystaniem własnego aparatu fotograficznego czy skanera. Lecąc do Waszyngtonu miałem ogromną nadzieję, że mój prywatny skaner przetrwa podróż i rzeczywiście będę mógł bez problemu zeskanować niemieckie zdjęcia lotnicze z okresu II wojny światowej.

Narodowe Archiwum Stanów Zjednoczonych (ang. National Archives and Records Administration), to agencja rządu amerykańskiego odpowiedzialna za ochronę i przechowywanie dokumentów rządowych i zbiorów historycznych. Obowiązkiem Archiwum jest również udostępnianie zgromadzonych materiałów. Budynek Archiwum (znany jako Archiwum I) został otwarty w 1935 roku. Z powodu zwiększającej się ilości zbiorów i braku miejsca w Archiwum, podjęto decyzję o budowie drugiego budynku. Archiwum II zostało otwarte 3 stycznia 1994 roku. Przechowuje materiały kartograficzne, architektoniczne, zdjęcia lotnicze i satelitarne, nagrania dźwiękowe i wideo oraz zbiory zdjęć. Gromadzone są tutaj również materiały, które zostały skonfiskowane III Rzeszy pod koniec II wojny światowej (m.in. wspomniane Mikrofilmy Aleksandryjskie i zdjęcia lotnicze). Archiwum II znajduje się pod Waszyngtonem w miejscowości College Park. Chcąc skorzystać z komunikacji miejskiej, należy dotrzeć do przystanku autobusu C8 jadącego w kierunku White Oak. Autobus dojeżdża pod same drzwi Archiwum (przystanek Archives II). Po wejściu, przez główne drzwi, musimy poddać się kontroli identycznej jak na lotnisku. Jest maszyna do prześwietlania bagażu, a my przechodzimy przez bramkę. Czasami strażnik sam wyjmuje i ogląda każdy kabelek, a nawet

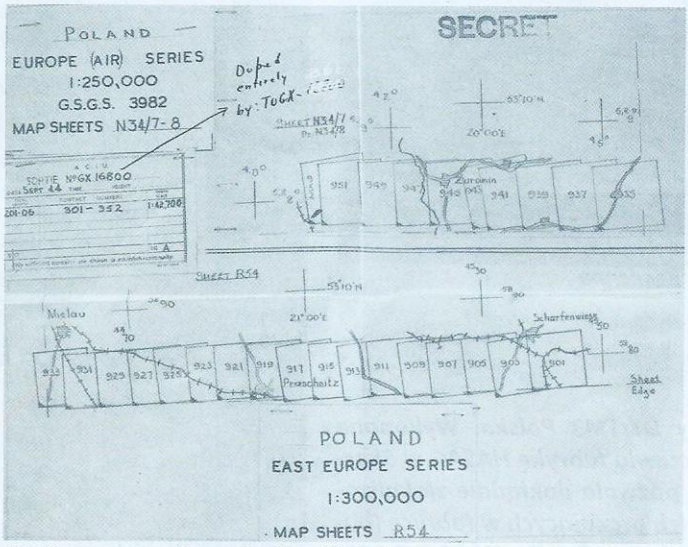

Graficzne przedstawienie zdjęć dostępnych pod sygnaturą GX 16800. Opracowania zostały wykonane przez wywiad amerykański po zakończeniu wojny, w ramach katalogowania skonfiskowanych niemieckich zdjęć lotniczych. Źródło: NARA/RG-373/GX16800.

Jedno ze zdjęć pochodzące z serii 70 fotogramów Półwyspu Helskiego wykonanych prawdopodobnie w 1940 roku. Źródło: NARA/RG-373/TU-GX2015.

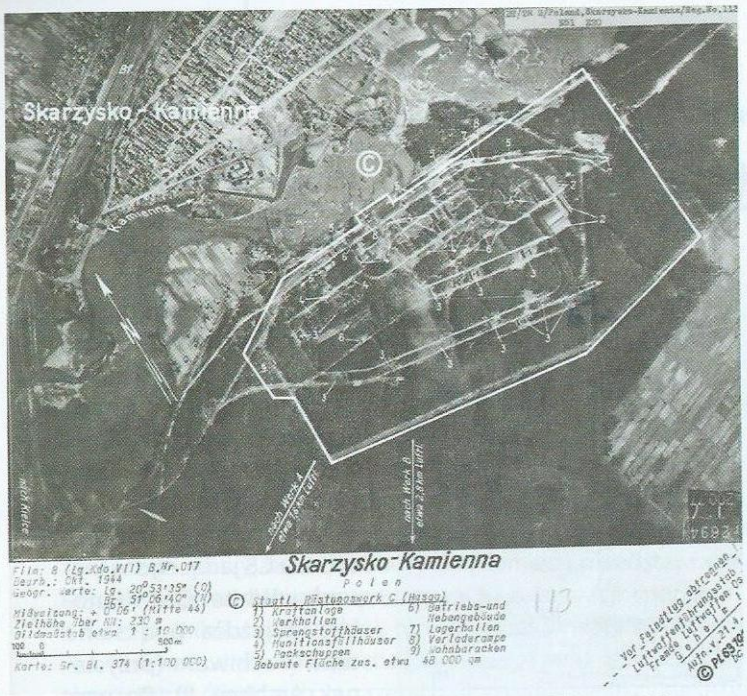

Jedno ze zdjęć z sygnatury DT/TM3 Polska. Wykonane w kwietniu 1943 roku przedstawia fabrykę HASAG w Skarżysku-Kamiennej. Zdjęcie to pozwala dokładnie zlokalizować obóz więźniów żydowskich pracujących w fabryce (budynki oznaczone cyfrą 9 na zdjęciu). Źródło: NARA/RG-373/DT/TM3.

Lokalizacja fotografa wykonującego tę fotografię na zdjęciu lotniczym z 1944 roku. Źródło: NARA.

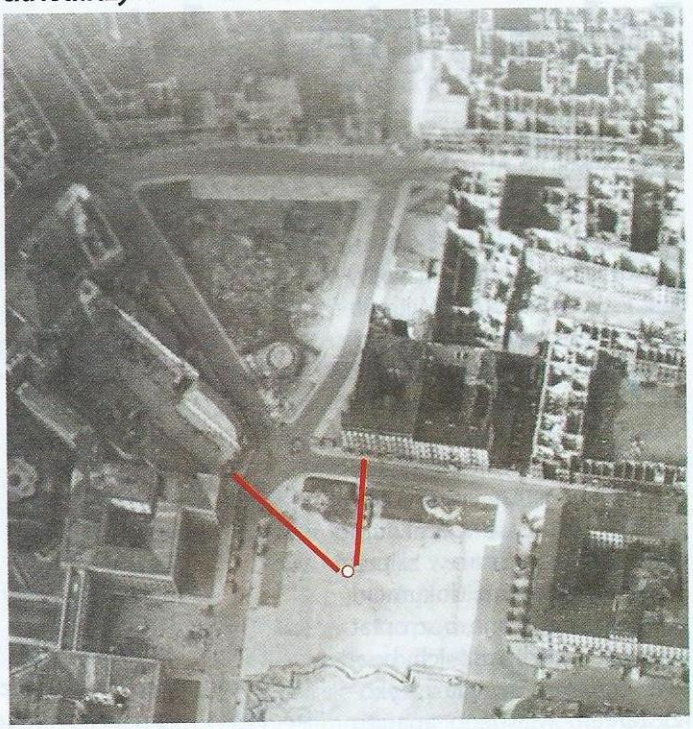

Księżycowy krajobraz w okolicy miejscowości Różan. Linie okopów, stanowiska artylerii, ślady po ostrzale z lądu i powietrza. Seria zdjęć wykonanych prawdopodobnie w połowie 1944 roku. Źródło: NARA/RG-373/GX12333.

zagląda w obiektyw aparatu. Na szczęście zaprzestano spisywania numerów seryjnych komputerów i skanerów wnoszonych przez odwiedzających, co znacznie przyspieszyło procedury. Po pomyślnej kontroli udajemy się od razu na prawo do biura rejestracji gości. Obcokrajowcy muszą okazać paszport. Zanim otrzymamy identyfikator, musimy przejrzeć prezentację komputerową, informującą o zasadach panujących w Archiwum. Następnie obsługa biura zrobi nam zdjęcie i za kilka chwil nasz identyfikator jest gotowy. Wychodząc z biura, kierujemy się prosto do windy, która zabierze nas do piwnic, gdzie znajdują się szafki-skrytki dla badaczy. Zostawiamy w nich produkty spożywcze, plecaki, torebki. Ze sobą możemy zabrać jedynie komputer, telefon, skaner i aparat. Jeśli chcemy wziąć np. notatki, czy mapy, musimy je wcześniej ostemplować w biurze rejestracji. Do skrytki należy mieć przygotowaną ćwierćdolarówkę, która jest zwracana po jej otworzeniu. Po godzinie 11:00 zaczyna brakować wózków, na których można bezpiecznie i wygodnie przewozić skaner i komputer. Wjeżdżamy znowu na parter i udajemy się do bramek strażników. Okazujemy kartę i uchylamy klapę skanera oraz laptopa – w celu kontroli, czy czegoś nie przemycamy. Przed nami winda. Dział ze zdjęciami lotniczymi znajduje się na 3 piętrze – w dziale kartograficznym. Po wejściu do każdego działu obsługa popro-

Zdjęcie z 19 I 1945 roku. Pośrodku miejscowość Ćmielów (woj. świętokrzyskie). Dobrze widać zalegający śnieg (tony szaro-białe). Cieki wodne są zamarznięte i przykryte „czystym" śniegiem odfotografowanym w tonach prawie białych. Samolot podczas lotu nr 25 wyposażony był w dwie kamery Rb30/20 i Rb30/75. Pierwsza wykonywała zdjęcie w skali 1:30000, druga 1:10000. Podobne konfiguracje kamer można spotkać dla większości lotów wykonywanych od połowy 1944 roku. Źródło: NARA/RG-373/ GX12336.

si nas o identyfikator, który zostaje zeskanowany, tak, by pozostał ślad naszej wizyty.

Większość pracowników obsługi w Archiwum ma jedynie podstawową wiedzę nt. zbiorów przechowywanych w ich działach. W przypadku bardziej skomplikowanych zapytań, bez znajomości numerów zbiorów jesteśmy odsyłani do obszernych katalogów opisujących zgromadzone dokumenty w danym dziale. Chcąc zamówić zdjęcia lotnicze (dział posiada również zdjęcia lotnicze i satelitarne z misji szpiegowskich z systemów Corona, KH czy U2), musimy posiadać sygnaturę zbioru. O swoich problemach z sygnaturami opowiadał w kilku radiowych wywiadach[2] p. Zygmunt Walkowski[3]. Częściowo więc byłem na nie przygotowany, zbierając od ponad roku sygnatury dla miast/obiektów w Polsce. Na pierwszy ogień poszła sygnatura dla Białegostoku/Treblinki, Poznania i Warszawy. Jednorazowo możemy zamawiać 3 sygnatury i maksymalnie 10 sygnatur jednego dnia. W czasie oczekiwania na „upragnione" zdjęcia, można przejrzeć i sfotografować katalogi opisujące skonfiskowane przez aliantów niemieckie zdjęcia lotnicze. Po 30 minutach na wózku docierają do mnie dwa pudełka, a w nich oryginalne zdjęcia lotnicze. Sygnatury dla Poznania nie udało się znaleźć. Zdjęcia, mimo iż mają ponad 60 lat, zachowane są w bardzo dobrym stanie. Według mojej wiedzy, część udostępnianych zdjęć może być skopiowana, a ich oryginały przechowywane są w idealnych warunkach. Jednak podczas mojego pobytu na zamówionych ok. 40 sygnatur tylko kilka było kopiami – reszta – pachnące starością i azotanem celulozy[4] okazały się być oryginalnymi zdjęciami. W kilku przypadkach zdjęcia były ze sobą posklejane, co świadczyło o lepkości emulsji i dość długim braku zainteresowania przez odwiedzających. Przed przystąpieniem do skanowania należy poinformować obsługę, że zamierzamy tą czynność wykonać. Skaner zostanie ponownie sprawdzony i w przypadku, gdy materiał zamówiony mieści się w całości na szkle skanera możemy skanować. Uwaga – większość niemieckich zdjęć lotniczych ma rozmiar 30x30 centymetrów, co oznacza, że do skanowania będzie potrzebny skaner formatu A3. Przy otwarciu pudełka ze zdjęciami i wyjęciu pierwszej fotografii, należy założyć białe, bawełniane rękawiczki dostępne u obsługi.

Praktyczne informacje:
Bilet Warszawa-Waszyngton-Warszawa – 2300-2500 zł
Wiza – ciągle wymagana – 528 zł plus inne koszty (rozmowa telefoniczna i kurier) ok. 28 zł
Hotel – 840 USD, 10 dni (identyczne ceny za jedynkę i dwójkę). Ciekawą opcją jest wybór hotelu w Takoma Park lub Silver Spring. Miasta te znajduję się w połowie drogi pomiędzy Waszyngtonem, a Archiwum.

Liczba znanych sygnatur szybko się wyczerpała i poszukiwanie nowych serii zdjęć rozpocząłem od przeglądania graficznego katalogu. W podziale stopniowym wszystkie zdjęcia z okresu II wojny światowej (a dokładnie ich zakresy) zostały naniesione na mapy w skali 1:250000. Dla Warszawy należy sięgnąć do opracowania graficznego zaczynającego się od współrzędnych: N52/E19. Teraz przeglądając poszczególne serie zdjęć, trzeba znaleźć tę, która pokrywa się z naszym obszarem zainteresowania i spisać jego sygnaturę. Graficzny spis nie jest dokładny i szukając bardzo małych obszarów możemy otrzymać zdjęcia, które zaledwie o kilkaset metrów nie obejmują tego co szukamy. W pewnych przypadkach zamówionych sygnatur nie było w magazynie, z niewiadomych przyczyn. Podczas kilku wizyt w dziale kartograficznym udało mi się „zaprzyjaźnić" z obsługą, przez co czasami otrzymywałem zdjęcia bez czekania na godzinę wydawania materiałów. Spotkałem się również z życzliwością innych badaczy, którzy w większości mieli polskie korzenie. Ostatniego dnia trafiłem na Johna Celvina, właściciela strony internetowej[5] udostępniającej zdjęcia lotnicze, mapy i mikrofilmy. John skanował kolejną serię niemiec-

Najważniejsze drogi i mosty w rejonie MRU. Źródło: NARA, T78, rolka 644.

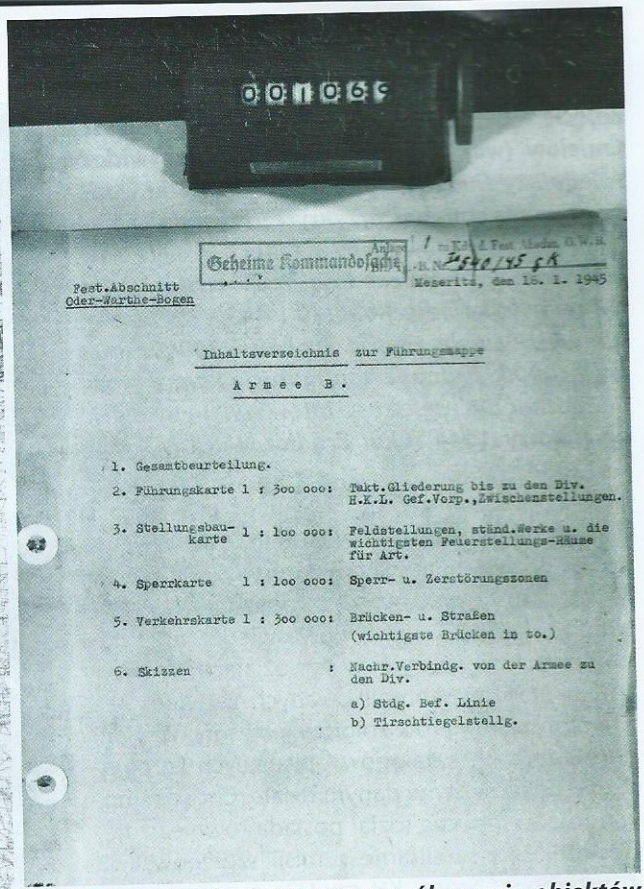

Geheime Kommandosache

Fest.Abschnitt
Oder-Warthe-Bogen

Meseritz, den 16. 1. 1945

Inhaltsverzeichnis zur Führungsmappe

Armee B.

1. Gesamtbeurteilung.
2. Führungskarte 1 : 300 000: Takt.Gliederung bis zu den Div. H.K.L. Gef.Vorp.,Zwischenstellungen.
3. Stellungsbaukarte 1 : 100 000: Feldstellungen, ständ.Werke u. die wichtigsten Feuerstellungs-Räume für Art.
4. Sperrkarte 1 : 100 000: Sperr- u. Zerstörungszonen
5. Verkehrskarte 1 : 300 000: Brücken- u. Straßen (wichtigste Brücken in to.)
6. Skizzen : Nachr.Verbindg. von der Armee zu den Div.
   a) Stdg. Bef. Linie
   b) Tirschtiegelstellg.

Opis zawartości dokumentu: ogólny opis obiektów strategicznych w rejonie MRU. Źródło: NARA, T78, rolka 644.

kich map taktycznych, które w najbliższym czasie udostępni na swojej stronie internetowej.

Na koniec mojego pobytu w Archiwum udałem się na 4 piętro – do działu mikrofilmów. Tam trzeba radzić sobie samemu – pełna samoobsługa. Personel Archiwum odsyła jedynie do katalogów. Po znalezieniu regału wyciągamy rolkę i możemy ją przeglądać. Nie było problemu z ilością pobieranych przeze mnie rolek. W pierwszej kolejności sięgnąłem po rolkę z grupy T175 w poszukiwaniu informacji o losie 500 polskich oficerów pojmanych podczas Powstania Warszawskiego 1944 oraz rolki z grupy T354, gdzie m.in. znalazłem raporty o Wschodniomuzułmańskiej Dywizji SS w Poniatowej.

Po kilku dniach skanowania i przeglądania katalogów z dostępnymi zdjęciami lotniczymi z okresu II wojny światowej, uświadomiłem sobie, jakie ogromne ilości tych materiałów przechowywane są w Archiwum. Wiedziałem przed przyjazdem, że zbiór jest imponujący (ok. 1,2 miliona zdjęć niemieckich oraz 4 miliony zdjęć i innych materiałów alianckich). Jednak nie sądziłem, że zdjęć dla Polski będzie tak bardzo dużo. Poczułem się – tak jak to opisywał p. Zygmunt Walkowski – jak mrówka przy słoniu. Dla samej Twierdzy Modlin znalazłem około 25 sygnatur, a w każdej po około 150-200 zdjęć. Podobnie było w przypadku większych miast, obiektów strategicznych czy obszarów intensywnych działań wojennych. Najwięcej niemieckich zdjęć datowanych jest na lata 1944-1945. Mniejsza kolekcja obejmuje lata 1939-1943. Można również znaleźć zdjęcia wykonywane przez Niemców jeszcze przed 1 września 1939 roku. Znalazłem m.in. zdjęcia Białegostoku z 29 lipca 1939 roku oraz Łowicza z sierpnia tegoż roku. Niestety, nie miałem czasu przejrzeć zdjęć alianckich, które również są dostępne. Przechowywane są one w postaci oryginalnych klisz i skanowanie ich nie jest proste.

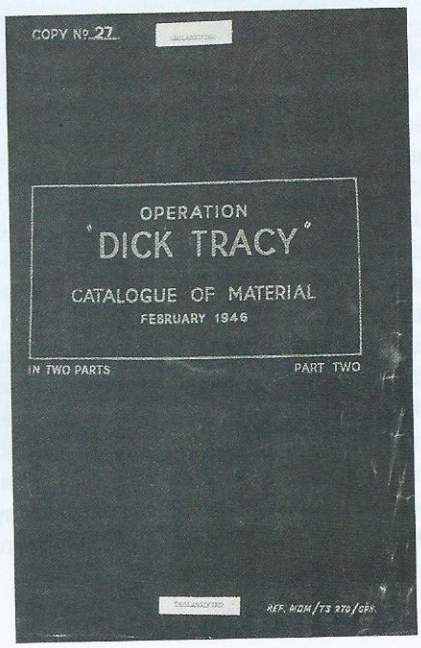

Pierwsza strona drugiej części katalogu opisującego zdjęcia niemieckie skonfiskowane w ostatnich latach wojny przez aliantów. Katalog pozwala wyszukać m.in. sygnatury przypisane do zdjęć dla Polski. Źrodło: NARA.

Pod koniec II wojny światowej oddziały amerykańskie skonfiskowały tony materiałów (dokumentów, filmów, zdjęć itp.) należących do III Rzeszy. Materiały te zostały skatalogowane pod sygnaturą 242 (Record Group 242) – *„przejęte zbiory zagraniczne"*. Przegląd najciekawszych kolekcji dla sygnatury 242:

» RG 242.25 – zbiór ok. 22 tys. map armii niemieckiej, rosyjskiej, włoskiej i japońskiej z lat 1938-1945 (piętro 3[6]),

» RG 242.26 – zbiory filmowe (piętro 4[7]),

» RG 242.27 – nagrania dźwiękowe: m.in. przemówienia Adolfa Hitlera, Goebbelsa, Speera (piętro 4[8]),

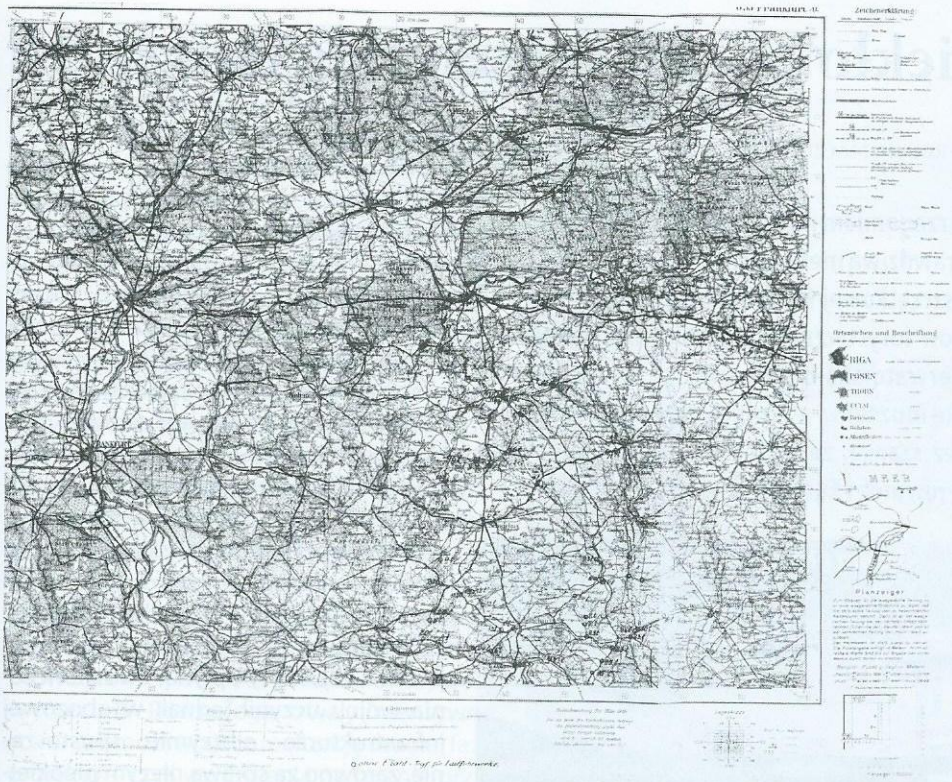

Rozmieszczenie Werków i innych punktów oporu. Źródło: NARA, T78, rolka 644.

Archiwum jest czynne od 9:00 do 17:00 w poniedziałki, wtorki i soboty, a od 9:00 do 21:00 w środy, czwartki i piątki. Ustalonymi godzinami wydawania materiałów są: 10:00, 11:00, 13:30 i 14:30. Dodatkową godziną wydawania materiałów jest 15:30 w dniach, w których jest czynne do godziny 21. Nie zawsze pracownicy Archiwum przestrzegają godzin wydawania sygnatur.

» RG 242.28, m.in. RG 242/GAP – kolekcja fotografii niemieckich korespondentów wojennych (25 tys. zdjęć – zdjęcia w większości opisane po niemiecku i angielsku), RG 242/JRP – kolekcja fotografii korespondentów wojennych SS (34 tys. zdjęć, relacje z linii frontu wschodniego i zachodniego jednostek Waffen SS, portrety żołnierzy, cywilów, zdjęcia miast i wsi) – piętro 5[9].

Dokładne informacje o zbiorach z sygnatury 242 można znaleźć na stronie internetowej www.sturmpanzer.com oraz stronie archiwum NARA: www.archives.gov.

Opuszczając Archiwum wiedziałem, że nawet zostając tutaj jeszcze 2 miesiące i tak pozyskałbym jedynie śladowe ilości dostępnych tu zdjęć. Tylko poważne zaangażowanie instytucji państwowych spowodować może, że te cenne materiały mogłyby znaleźć się w polskich archiwach i być dostępne dla wszystkich zainteresowanych – oczywiście bez opłat…

Chciałem podziękować mojemu koledze Tomkowi Szewczakowi, który towarzyszył mi podczas wyjazdu. Szczególne podziękowania dla Geralda Luchanskiego i całego zespołu kartograficznego NARA. Chrisowi Goingowi dziękuję za podzielenie się swoją ogromną wiedzą i cennymi wskazówkami, jak poruszać się w zbiorach Archiwum i Zygmuntowi Walkowskiemu za wiele praktycznych uwag.

Przypisy:

[1] Mikrofilmy Aleksandryjskie obejmują mikrofilmowe kopie dokumentów niemieckich (głównie III Rzeszy), które w końcu II wojny przejęli Amerykanie. Podczas blokady Berlina przerzucono je drogą lotniczą do Anglii, a później przewieziono do USA. W 1953 r. trafiły do Alexandrii koło Waszyngtonu (stąd nazwa), gdzie były opracowane i mikrofilmowane. Zbiór liczy ok. 75 tys. rolek mikrofilmów, do których sporządzone są przewodniki. W zbiorach w Polsce znajduje się ok. 24 tys. rolek, z czego ponad 7,6 tys. posiada Archiwum Akt Nowych.

[2] Klub Ludzi Ciekawych Wszystkiego: „Warszawa w obiektywie Luftwaffe", audycja w Programie Drugim Polskiego Radia, 2.8.2008

[3] Zygmunt Walkowski: jeden z najbardziej zasłużonych badaczy i dokumentalistów naszej historii najnowszej, zwłaszcza okresu II wojny światowej, w tym dziejów Powstania Warszawskiego, uważany powszechnie za najwybitniejszego znawcę ikonografii (zwłaszcza fotograficznej i filmowej). W 2008 r. za wybitne osiągnięcia w dokumentowaniu, gromadzeniu i upowszechnianiu wiedzy o najnowszej historii Polski został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Został także laureatem nagrody Kustosza Pamięci Narodowej Warszawy tamtego czasu.

[4] Azotan celulozy wykorzystywany był do produkcji materiałów światłoczułych w okresie II wojny światowej.

[5] http://www-photos-maps.com

[6] NARA w College Park.

[7] *Ibidem*

[8] *Ibidem*

[9] *Ibidem*

Sebastian Różycki

Adiunkt na Wydziale Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. Prowadzi m.in. zajęcia z interpretacji zdjęć lotniczych. Od trzech lat gromadzi dane nt. rozpoznania lotniczego i zdjęć lotniczych z okresu II wojny światowej. Na łamach „Odkrywcy" zadebiutował współautorskim tłumaczeniem dzienników niemieckiej jednostki walczącej w Powstaniu Warszawskim 1944 („Odkrywca" nr 8/2011).

REKLAMA

ARMAND METAL® DETECTORS

Polskie wykrywacze metali od 1985 r.
armand@armand.pl
www.armand.pl
512 138 545

BOJOWIEC.PL

NOWY! SKLEP MILITARNY

Grupa Armand

„Kamiennego Piekło" Gross-Rosen ciąg dalszy…

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
ZDJĘCIA: ARCH. REDAKCJI, MUZEUM GROSS-ROSEN, MACIEJ KULESZA

Muzeum Gross-Rosen w Rogoźnicy pod Strzegomiem na Dolnym Śląsku w ciągu ostatnich kilku lat przeszło prawdziwą metamorfozę. Do niedawna zapomniane, z zachowaną w szczątkowej formie infrastrukturą, znajdowało się na uboczu utartych szlaków turystycznych. Obecnie, dzięki realizacji zakrojonych na szeroką skalę prac konserwatorsko-budowlanych i porządkowych, przekształciło się w nowoczesną placówkę muzealną oferującą bogaty program wystawienniczo-edukacyjny. Rosną również szanse, że wkrótce stanie się obiektem unikatowym, nie tylko w skali kraju, ale również i Europy.

PATRONAT MEDIALNY
ODKRYWCA

Brama główna Muzeum Gross-Rosen.

Wszystko za sprawą realizacji drugiej fazy projektu „Kamienne Piekło", zakładającej budowę wyjątkowej instalacji architektoniczno-przestrzennej, wpisanej w wyrobisko przylegającego do byłego obozu Gross-Rosen kamieniołomu. Zaprojektowany przez uznanego architekta Mirosława Nizio monument, powstanie więc w miejscu symbolicznym, stanowiącym wyrafinowane narzędzie eksterminacji tysięcy więźniów, zmuszanych tam rozmyślnie do katorżniczej pracy ponad ludzkie siły. Aby ten symboliczny hołd pamięci mógł powstać, muszą znaleźć się środki na jego budowę, a z tym, o czym wielokrotnie wspominaliśmy na naszych łamach (m.in. „Odkrywca" nr 8/2010), są wciąż poważne problemy. Jednak w ciągu ostatnich miesięcy pojawiła się szansa, że ambitne i kosztowne przedsięwzięcie zostanie sfinalizowane. Pod koniec listopada minionego roku, podczas konferencji prasowej zorganizowanej we Wrocławiu, przedstawiciele Muzeum Gross-Rosen i Fundacji „Kamieniołomy Gross-Rosen" zaprezentowali dotychczasowy przebieg prac modernizacyjnych na terenie podległej im placówki oraz perspektywy jej rozwoju. Czas więc na pewne podsumowanie…

Konferencja prasowa we Wrocławiu. Od lewej: autor koncepcji projektu „Kamienne Piekło" Mirosław Nizio, prezes Fundacji „Kamieniołomy Gross-Rosen" Piotr Koral oraz Dyrektor Muzeum Gross-Rosen w Rogoźnicy Janusz Barszcz.

Przeszłość

Na początku był ból, cierpienie i śmierć tysięcy więźniów, katorżniczo eksploatowanych w pobliskim kamieniołomie i blisko stu filiach obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Potem pamięć tego miejsca ulegała stopniowemu zatarciu, pozostając w świadomości jedynie garstki ocalałych. Musiało minąć 38 długich lat, by skrawek niemieckiego piekła na dolnośląskiej ziemi zaistniał w szerszej świadomości społecznej. Ten czas nadszedł w roku 1983, gdy na uboczu utartych szlaków, z dala od uczęszczanych przez kogokolwiek tras turystycznych, pojawił się na martyrologicznej mapie regionu samotny punkt. Czas, który upłynął od zakończenia wojny uczynił jednak w obozowej infrastrukturze olbrzymie spustoszenie, zarówno za sprawą niczym nieokiełznanych sił przyrody, jak i prowadzonej przez lata rabunkowej dewastacji obiektu. W ciągu kolejnego ćwierćwiecza niewiele się zmieniło, a funkcjonujące tu Muzeum borykało się z elementarnymi problemami związanymi z utrzymaniem placówki.

Przełom nastąpił w roku 2005, gdy dzięki Fundacji „Kamieniołomy Gross-Rosen", przy wsparciu Polsko-Amerykańskiego Funduszu Przedsiębiorczości został przekazany Muzeum przylegający do obozu kamieniołom – jak wiemy bezpośrednio powiązany z mroczną historią tego miejsca. Wydarzenie to i siły w nie zaangażowane zainicjowały niedługo później szereg dalszych zmian. Najistotniejszą z nich było opracowanie i realizacja projektu „Kamienne Piekło", zakładającego w pierwszej fazie przeprowadzenie zakrojonych na szeroką skalę prac porządkowych i konserwatorsko-budowlanych, w drugiej, wzniesienie na terenie historycznego kamieniołomu niezwykłej instalacji architektoniczno-przestrzennej.

Teraźniejszość

Realizacja pierwszej fazy projektu, była właściwie absolutną koniecznością, by placówka mogła dalej funkcjonować i przetrwać we współczesnej przestrzeni muzealnej, jakiej się spodziewają odbiorcy po tego typu obiektach. Zachowana infrastruktura byłego obozu koncentracyjnego została poddana zabiegom konserwatorskim, zrekonstruowano od podstaw, w celach poglądowych, nieistniejące od dawna barak więźniarski oraz wieżę strażniczą, a także oczyszczono z porastającej dziko roślinności 111 ha terenów, odsłaniając m.in. niewidoczną dotychczas „część oświęcimską" (powstałą w 1944 roku dla ewakuowanych więźniów KL Auschwitz). Przy okazji przeprowadzono badania archeologiczne oraz sporządzono szereg dokumentacji budowlanych i inwentaryzacyjnych. Całość powyższych działań prowadzonych od 2009 roku zakończyła się w marcu br. Równolegle trwały intensywne starania umożliwiające realizację drugiej fazy projektu – czyli wzniesienia na terenie przylegającego do obozu kamieniołomu Pomnika Zagłady – przedsięwzięcia kosztownego i niezwykle ambitnego, lecz nierozerwalnie powiązanego z realizowaną koncepcją odnowionego Muzeum Gross-Rosen.

Wizualizacja fragmentu instalacji architektoniczno-przestrzennej „Kamienne Piekło" II.

Teren przyległego do obozu kamieniołomu…

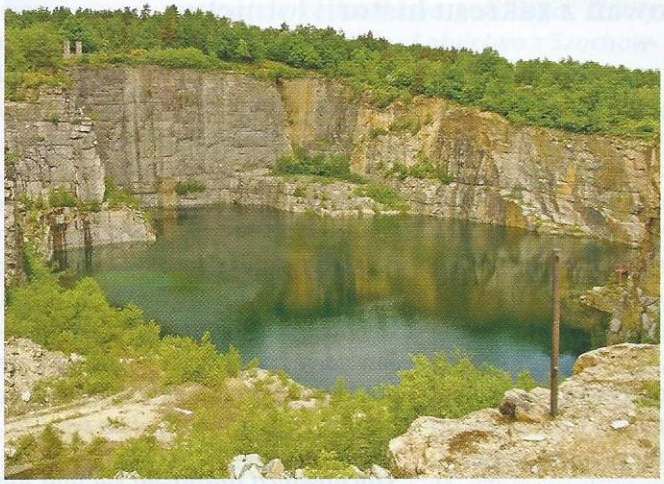

… gdzie powstać ma monument.

Przyszłość

Projekt „Kamienne Piekło II" już w 2009 r. został umieszczony na liście projektów kluczowych Programu Operacyjnego „Infrastruktura i Środowisko", na którą został wytypowany jako trzeci spośród ok. 100 podobnych przedsięwzięć tego typu. Niestety, od tego czasu parokrotnie był przesuwany na listę rezerwową, co zmniejszało szanse na pozyskanie środków na jego sfinansowanie. Ostatnio jednak notowania projektu są ponownie wysokie, a jego realizacja zdaje się coraz bardziej realna. Pomimo iż Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego traktuje projekt jako inwestycję priorytetową, budowa monumentu uzależniona jest od dostępności środków znajdujących się w dyspozycji resortu. Zważywszy, że ostatnio we Wrocławiu wstrzymana została planowana na 109 mln złotych inwestycja, aplikująca o środki mln. z tego samego źródła co projekt „Kamienne Piekło II", szansa na ich pojawienie się w budżecie znacznie wzrosła. Kolejnym czynnikiem warunkującym powstanie monumentu, jest osiągnięcie przez projekt tzw. gotowości realizacyjnej, której kluczowym elementem jest opracowanie dokumentacji budowlanej i uzyskanie pozwolenia na budowę. Do podpisania umowy z wykonawcą potrzebne jest jednak zabezpieczenie finansowe w kwocie 380 tys. zł, o które Muzeum Gross-Rosen wystąpiło do władz samorządowych Województwa Dolnośląskiego. Warto dodać, że projekt „Kamienne Piekło" jest również przedsięwzięciem o charakterze publiczno-prywatnym. W tym przypadku oznacza to, że inwestycja jest finansowana nie tylko ze środków unijnych i samorządowych, ale również ze źródeł prywatnych darczyńców – Fundacji „Kamieniołomy Gross-Rosen" i Polsko-Amerykańskiego Funduszu Przedsiębiorczości.

Najbliższy rok będzie zatem kluczowy dla wciąż przedłużającego się procesu finalizacji projektu „Kamienne Piekło". Jeżeli jednak zakończy się powodzeniem, nie tylko region, ale i cały kraj zyska niezwykły w swej wymowie, unikatowy w skali europejskiej monument. Muzeum Gross-Rosen zaś z niebytu, stanie się widocznym punktem na mapie turystyki kulturowej i historycznej.

Kto był „ojcem" biało-czerwonej szachownicy? Czyli spór o ojcostwo po latach…

TEKST: ANDRZEJ OLEJKO

Znak rodzącego się w 1918 r. lotnictwa polskiego został zdefiniowany na mocy zarządzenia z 1 grudnia 1918 r. przez Szefa Sztabu Generalnego WP (Rozkaz nr 38, poz. 204): *„(…) Wszystkie samoloty Wojsk Polskich mają być w najkrótszym czasie niżej podanym znakiem, w przepisanych miejscach, zaopatrzone* (tu przedstwiono obraz szachownicy z jej wymiarami 60×60 cm: pole czerwone 30 cm i białe 30 cm – przyp. A.O.). *Spełnienie rozkazu meldują wszystkie kadry lotnicze wprost do sztabu Generalnego Wojsk Polskich w Warszawie"*. Pismo to, w 36 egzemplarzach, skierowane zostało do: Ministerstwa Spraw Wojskowych, Okręgów Wojskowych, wszystkich oddziałów Sztabu Generalnego, do Inspektoratu Artylerii oraz Ministerstw Spraw Zewnętrznych i Wewnętrznych *„(…) do natychmiastowego ogłoszenia aż do szeregowców"*. Rozkaz Szefa Sztabu Generalnego gen. dyw. Stanisława Szeptyckiego (za zgodność podpisał ppłk Nieniewski) miał być ogłoszony *„(…) przez Biuro Prasowe w Dziennikach Królestwa, Galicji i Poznańskiego[1]"*. W następstwie rozkazu, w Dzienniku Rozporządzeń MSWojsk., Nr 9 z 7 grudnia, pojawił się zapis precyzujący oznakowanie samolotów polskich sił powietrznych o treści: *„(…) Samoloty Wojsk Polskich będą w przyszłości zaopatrzone, w miejscach dotychczas obowiązujących, znakiem kwadratowym szerokości 60 cm, dzielącym się na cztery równe pola. Lewe górne i prawe dolne pole będzie barwy karmazynowej, lewe dolne i prawe górne pole barwy białej"*. W miarę upływu czasu uściślono – Instrukcja Wojsk Lotniczych nr 15 z 1921 r. – Ogólne Warunki Techniczne Płatowców, wprowadzając obwódki w kolorach odmiennych od koloru pól szachownicy, jednak nie podano stosunku ich szerokości do rozmiaru szachownicy. Ustalono to dopiero po 9 latach Rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z 1 III 1930 r. – w sprawie flag i innych znaków wojskowych (Dz. U. z 1930 r. Nr 17, poz. 129): *„Szachownica lotnicza jest to kwadrat podzielony na cztery równe pola, z których lewe górne i prawe dolne są barwy czerwonej z białą obwódką, lewe dolne i prawe górne barwy białej z obwódką czerwoną. Stosunek obwódek do pola wynosi 1:5"*. Poniższą definicję szachownicy lotniczej, podawaną w oparciu o pomnikowe opracowanie z 1932 r. (*„Ku czci poległych lotników. Księga pamiątkowa"*, red. Marian Romeyko, Warszawa, Wydawnictwo Komitetu Budowy Pomnika ku Czci Poległych Lotników), można znaleźć w polskich encyklopediach, leksykonach, jak i w powszechnie dostępnych źródłach internetowych: *„(…) Szachownica lotnicza – znak Sił Powietrznych Rzeczypospolitej Polskiej, malowany na statkach powietrznych. Biało-czerwona szachownica po raz pierwszy pojawiła się na samolotach por. pil. Stefana Steca, latającego w lotnictwie austriackim* [austro-węgierskim], *a następnie polskim, jako godło osobiste pilota. Miała wówczas cztery pola, bez obwódek. (…) Dowódca lotnictwa, ppłk* [pilot balonowy] *Hipolit Łossowski uznał wówczas, że szachownica spełnia wszystkie kryteria, jakie powinien mieć znak przynależności państwowej: jest oryginalna, ma polskie barwy i łatwo można ją namalować na skrzydłach i kadłubie[2]"*. Godłem osobistym por. Steca, byłego pilota lotnictwa austro-węgierskiego (k. u. k. Luftfahrttruppen), który z oblężonego przez siły Ukraińskiej Halickiej Armii (UHA) Lwowa odleciał via Kraków do Warszawy 13 XI 1918 r., była biało-czerwona szachownica. Pchor. obs. Stanisław Pietruski, jeden z pilotów w 1918 r. znajdujących się w składzie Oddziału Lotniczego Obrony Lwowa (Oddział Lotniczy Lwów) w swych wspomnieniach, w kwestii szachownicy lotniczej, zapisał: *„(…) W grudniu* [1918 r.] *dostaliśmy nowe znaki rozpoznawcze, zamiast pasów* [znaki lwowskie] *przyszły kwadraty biało-czerwone, znak do dziś używany. Pomysł był por. Steca, który miał na włoskim froncie taki biało-czerwo-*

Od 1918 r. aż do dzisiaj w historiografii polskiej dominuje błędny pogląd, iż autorstwo szachownicy należy przypisać wspomnianemu por. pil. Stefanowi Stecowi. Opinię tę przez lata powielało wielu autorów opracowań z zakresu historii lotnictwa.

Szachownica narodziła się nad Alpami, a piloci używający jej wywodzili się z grona lotników k. u. k. Luftfahrttruppen. Zbiory MLP w Krakowie.

Pilot por. Stefan Stec wyróżnił się walcząc w obronie Lwowa.

Marian Gaweł w gronie lotników k. u. k. Luftfahrttuppen (w środku) na froncie bałkańskim. Zbiory K. Meindla via „Lotnictwo z Szachownicą" nr 10/2004.

ny kwadrat na austriackim samolocie. Znak ten tak się podobał w Warszawie, że ustalono go dla całego lotnictwa polskiego[3]".

W polskiej historiografii doby po 1918 i 1989 r. pogląd co do autorstwa szachownicy nie poddany został krytyce, stąd w historycznych opracowaniach naukowych i popularno-naukowych, także historyków w stalowych mundurach, ww. opis przyjęty został za pewnik[4]. Tymczasem biało-czerwona szachownica, w przedstawionej powyżej formie barwnej, malowana była również, jako godło osobiste, na samolotach c. k. lotnictwa typu Hansa Brandenburg KD należących do dwóch innych (sic!), polskich pilotów pełniących służbę w k. u. k. Luftfahrttruppen: Franciszka (Franka) Linke-Crawforda, rodem z Krakowa, i Mariana Gawła, rodem z Sanoka, o czym na łamach prasy lotniczej („Technika Lotnicza i Aeronautyczna") już w latach 80. głos zabierał znany polski publicysta lotniczy Robert Gretzyngier[5]. Do dzisiaj nie podjęto badań źródłowych, które ostatecznie pozwoliłyby odpowiedzieć na pytanie: kto był „ojcem" znaku sił powietrznych RP, biało-czerwonej szachownicy, który na kadłubie, bądź na skrzydłach, posiada każdy statek latający polskiego lotnictwa wojskowego, aczkolwiek nie w wersji z 1918 r. (sic!). Opisywane godło osobiste z 1918 r. posiadało niezgodne z zasadami heraldyki usytuowanie pól barwnych – w heraldyce kolor biały występuje przed czerwonym, w tym przypadku było inaczej – czerwony przed białym. To zwyczajowo przyjęte rozwiązanie zostało zmienione Ustawą Sejmową z 19 II 1993 r. „O znakach Sił Zbrojnych Rzeczpospolitej Polskiej".

Marian Gaweł, sanocki gimnazjalista w mundurze lotnictwa polskiego. Zbiory T. Kopańskiego via „Lotnictwo z Szachownicą" nr 10/2004.

Hrabia był pierwszy? Hrabia Adam Ostoja Ostaszewski trzymający biało-czerwoną flagę podczas lotu nad Berlinem w roku 1888. „Historia lotnictwa na Podkarpaciu", Brzozów 1981.

Podczas II wojny światowej samoloty lotnictwa polskiego w kraju, w 1939 r., jak i samoloty, na których latali polscy piloci w obcych jednostkach lotniczych w kampaniach po 1939 r., nosiły szachownice obok znaków państw, w siłach których walczyli. We Francji w 1940 r. na samolotach lotnictwa polskiego malowano dużą szachownicę jedynie na kadłubach, zamiast znaków francuskich (była obrócona o 90 st.), w Wielkiej Brytanii miniaturowe szachownice Polskich Sił Powietrznych (PSP) – Polish Air Force (PAF) malowano na osłonach silników, lub poniżej, bądź za kabinami pilotów, bardzo rzadko na kadłubach za znakiem brytyjskiego lotnictwa – Royal Air Force (RAF). Na samolotach lotnictwa polskiego sformowanego w ZSRR małe szachownice umieszczano głównie na osłonach silników.

Wprowadzony w 1993 r. nowy wzór szachownicy, z zamienioną kolejnością pól, został odwrócony o 90 st. Stał się bardziej poprawny heraldycznie, ale tym samym zignorowano tradycję. Wspomniana ustawa z 1993 r. w Rozdziale 5 art. 22 w pkt. 1 podaje, iż: *„(...) Znakiem wojskowych statków powietrznych jest biało-czerwona szachownica lotnicza o barwach Rzeczypospolitej Polskiej, podzielona na cztery równe pola ze skrajami o naprzemiennych barwach. Stosunek szerokości skraju do długości krawędzi pola szachownicy lotniczej wynosi 1:5[6]".* W myśl obecnie obowiązujących przepisów (Zarządzenie MON z 29 I 1996 r. w sprawie szczegółowych zasad używania znaków Sił Zbrojnych RP oraz ustalenia innych znaków używanych w Siłach Zbrojnych RP, M.P. z 1996 r. Nr 14, poz. 178), szachownica lotnicza umieszczana jest na samolotach po obu stronach statecznika pionowego (w przypadku podwójnego usterzenia pionowego tylko na zewnętrznych powierzchniach statecznika) oraz na dolnych powierzchniach obu skrzydeł (w przypadku dwupłatowca na dolnych powierzchniach lewego i prawego dolnego płata skrzydła), a na śmigłowcach – po obu stronach tylnej części kadłuba oraz na jego dolnej powierzchni. Umieszcza się ją tak, aby jej krawędzie były równoległe do osi symetrii podłużnej. Znak nie może znajdować się częściowo na nieruchomej powierzchni, a częściowo na ruchomej, natomiast dopuszczalne jest umieszczenie szachownicy w całości na ruchomej powierzchni. W przypadku gdy szachownica umieszczona jest na białym lub czerwonym elemencie płatowca, powinna mieć szarą obwódkę (szer. szarej linii wynosi 1/6 szer. skrajów szachownicy lotniczej)[7].

Od 1918 r. aż do dzisiaj w historiografii polskiej dominuje błędny pogląd, iż autorstwo szachownicy należy przypisać

Samolot typu Oeffag D. III nr 153.133 Mariana Gawła z Flik. 41/J rozbity przez jego właściciela, front włoski luty 1918 r. Zbiory KriegsArchiv w Wiedniu via zbiory K. Meindla „Lotnictwo z Szachownicą" nr 10/2004.

Samolot Aviatik D. I Berg nr 38.17 Mariana Gawła z Flik. 32, front włoski, jesień 1917 r. Regulacja karabinu maszynowego – zb. F. Frauennedera via zb. K. Meindla „Lotnictwo z Szachownicą" nr 10/2004.

wspomnianemu por. pil. Stefanowi Stecowi. Opinię tę przez lata powielało wielu autorów opracowań z zakresu historii lotnictwa, w tym także ja. Warto jednak w świetle najnowszych badań krytycznie przyjrzeć się zarówno okresowi powstania lotniczej szachownicy, jak i jej twórcy, czego dotąd nie czyniono. Przytoczone powyżej fakty z 1918 r. są prawdziwe, jednakże to przypadek sprawił, że biało-czerwona szachownica wymalowana na samolocie por. Steca uznana została za znak lotnictwa polskiego, decyzją płk. H. Łossowskiego stojącego na czele Sekcji Żeglugi Napowietrznej Departamentu Technicznego MSWojsk.[8]. A przecież niemal w tym samym czasie nie tylko por. Stec używał tej symboliki. Jego przylot do Warszawy w listopadowy dzień 1918 r. pozwolił autorom lat 20., jak i 30. na stworzenie w historiografii polskiej pewnego rodzaju „legendy", jakże potrzebnej, zarówno w chwili narodzin polskiego lotnictwa wojskowego, jak i później, w celach wychowawczych kolejnych pokoleń już niepodległej RP. W ten sposób wśród historyków doby II i III RP utarło się stwierdzenie, iż tego symbolu używał podczas Wielkiej Wojny jedynie por. Stec. Tym samym w zapomnienie poszli dwaj inni polscy piloci – Franciszek Linke-Crawford oraz Marian Gaweł. Stałoby się z pewnością inaczej, gdyby w listopadzie 1918 r. na lotnisku mokotowskim za wzór brany był samolot oznakowany biało-czerwoną szachownicą pilotowany przez innego niż por. Stec pilota. Pilota z grona lotników k. u. k. Luftfahrttruppen używających jej w okresie wcześniejszym, bądź tożsamym, co pilot uznawany za jej twórcę.

Opracowanie poniższe nie dotyczy historii barwy (odmiany kolorystyczne) polskiej szachownicy, ani sposobów jej nanoszenia (znakowane nią powierzchnie) na samolotach lotnictwa polskiego, jest natomiast próbą ustosunkowania się do kwestii jej pojawienia się w lotnictwie polskim w 1918 r. „Legendy", czy też półprawdy występujące w historiografii wywołują po latach jakże często konieczność ich skorygowania. Zatem warto się tego podjąć, tym bardziej, że w 2009 r. w jednym z dzienników ogólnopolskich lansowany był zupełnie błędny pogląd mówiący, iż znak lotnictwa polskiego powstał podczas trwającego na przełomie 1918-1919 r. Powstania Wielkopolskiego. Teza ta wprowadzona została na niwie popularyzowanego obrazu ww. powstania, jako jedynego wygranego w polskiej historii, co też nie do końca jest prawdą, gdyż drugim wygranym powstaniem tego okresu było III Powstanie Śląskie w 1921 roku. Przede wszystkim należy stwierdzić, iż przed wprowadzeniem biało-czerwonej szachownicy samoloty używane przez polski personel latający w różnych częściach odzyskującej niepodległość Rzeczpospolitej oznaczano różnorodnymi elementami w biało-czerwonych barwach narodowych:

» czerwonymi literami „Z" w białym kwadracie (znaki krakowskie), malowanymi na kadłubach i płatach,

» pasami biało-czerwonymi (znaki lwowskie), malowanymi zarówno na płatach, jak i w częściach ogonowych tychże,

» tarczami z podziałem koloru na ukos, bądź krążkami w takim samym układzie barw (znaki warszawskie), malowanymi na kadłubach i powierzchniach górnych i dolnych płatów samolotów,

» czy też biało-czerwonymi szewronami (znaki wielkopolskie), malowanymi zarówno na płatach, jak i na kadłubach samolotów[9].

Pomimo zarządzeń z 1 i 7 XII 1918 r. szachownice nie zostały wprowadzone od razu w lotnictwie polskim, czego dowodzi materiał ikonograficzny z połowy grudnia 1918 r. i początków stycznia 1919 r., prezentujący bądź nadal ww. oznakowania (znaki warszawskie i krakowskie), bądź też ich wersję mieszaną (szachownica plus znaki lwowskie w ogonowych częściach kadłubów samolotów). Od tej symboliki zatem należałoby zacząć wywód prowadzący do owego przypadkowego zdarzenia na lotnisku mokotowskim z 15 XI 1918 r., kiedy to szachownica, a nie żaden z ww. znaków tymczasowej przynależności państwowej, został dostrzeżony przez ówczesnego dowódcę lotnictwa polskiego. Wszystkie znaki przynależności państwowej z 1918 r. – krakowskie i lwowskie, oprócz warszawskich i wielkopolskich, mają galicyjski rodowód, zaś biało-czerwona szachownica wywodzi się z myśliwskich jednostek k. u. k. Luftfahrttruppen: Fliegerkompanie (Flik) 3/J i 41/J. Prawdą jest, że czteropolowa szachownica w barwie biało-czerwonej, bez obwódki, znajdowała się na kadłubach jednomiejscowych samolotów myśliwskich używanych przez por. Steca w trakcie jego służby w k. u. k. Luftfahrttruppen. Godła na samolotach dwumiejscowych w c. k. lotnictwie były bardzo rzadkie – na istniejących fotografiach samolotu por. Steca z tego okresu – typu Brandenburg C.I nr 63.55 – brak jest jakichkolwiek godeł. Oznakowany szachownicą był natomiast jednomiejscowy samolot myśliwski typu Albatros (Oeffag) D.III 253.08 z Flik 3/J w 1918 roku[10]. Wszystkie godła osobiste pilotów Flik 3/J malowane były w ten sposób, że rysunek na lewym boku kadłuba był zwierciadlanym odbiciem rysunku na prawym boku kadłuba, względem płaszczyzny prostopadłej do kierunku lotu. Stąd też na prawym boku samolotu myśliwskiego typu Albatros (Oeffag) D.III por. Steca był inny układ pól szachownicy niż

na boku lewym, gdzie był obrócony o 90 st. Zatem na jednym samolocie występowały obie formy graficzne. Pilot ten używał także innego godła osobistego – poziomej białej litery „S", w czarnej obwódce z biało-czerwoną różą wiatrów pośrodku. Zasada zwierciadlanego odbicia obowiązywała i w tym przypadku – prawidłowe „S" znajdowało się na prawym boku kadłuba, zaś na lewym boku przypominało raczej znak zapytania. To godło osobiste umieszczone było na samolocie myśliwskim typu Albatros (Oeffag) D.III nr 152.234, który trafił do Flik 3/J z Flik 10/J, gdzie używał go sierż. pil. Jerzy Szeruda. Gdy nadeszły pierwsze samoloty z serii 253, por. Stec „przesiadł się" na samolot nr 253.08. Samolot z opisywanym godłem przekazał por. pil. Josefowi Pürerowi, który poległ na nim w walce powietrznej 21 VIII 1918 r. Tak więc samoloty z godłem biało-czerwonej szachownicy i „S" używane były w Flik 3/J równocześnie. Ponownie godło „S" z czteroramienną gwiazdą namalowano na nowym samolocie por. Steca, Albatrosie D.III nr 253.117 z Flik 3/J, latem 1918 roku.

Po zakończeniu Wielkiej Wojny godło „S" widniało na samolocie myśliwskim typu Fokker E.V D.VIII nr 001 tegoż pilota, z zastosowaniem także zasady zwierciadlanego odbicia godła na jednym boku kadłuba w stosunku do drugiego. Na samolocie tym por. Stec latał podczas walk polsko-ukraińskich nad Galicją na przełomie roku 1918-1919[11]. Wątpliwe jest jednak, czy por. Stec używał godła osobistego w postaci biało-czerwonej szachownicy już w 1917 r. – jak utarło się w polskiej historiografii. Okres od lata 1918 r. jest potwierdzony, rok 1917 nie. Zatem nie używał on godła osobistego w opisywanej postaci jako pierwszy pilot. Warto w tym miejscu przeanalizować jego notkę biograficzną.

Stefan Stec był rodem ze Lwowa (ur. 25 XI 1889 r.), gdzie ukończył szkołę powszechną, gimnazjum oraz Wydział Inżynierii Lwowskiej Szkoły Politechnicznej. W chwili wybuchu Wielkiej Wojny został powołany do c. k. armii do 2. batalionu pontonierów[12]. 1 XI 1915 rozpoczął szkolenie lotnicze w Oficerskiej Szkole Lotniczej w Wiener Neustadt na kursie obserwatorów lotniczych. Od stycznia 1916 r. jako obserwator rozpoczął służbę w Flik 3., otrzymując odznakę polową obserwatora nr 112/1916. Jako obserwator na froncie wschodnim odniósł swe pierwsze zwycięstwo. W lutym 1918 r. zakończył przeszkolenie w pilotażu samolotów myśliwskich, i jako pilot latał przez jakiś czas w Fliegerersatzgruppe, czyli w jednostce szkoleniowej na froncie rosyjskim. Po ukończeniu kursu pilotów bojowych trafił do Flik 3/J, a wraz z nią na front włoski. W okresie 17 VI-4 VII 1918 r. w zastępstwie dowodził Flik 9/J w Ospedaletto, po czym powrócił do macierzystej jednostki, która niebawem znalazła się na lotnisku w Romagnano. Por. Steca wymienia się jako uczestniczącego w 40 starciach powietrznych i mającego na koncie 7 zwycięstw powietrznych (jednakże w jego dokumentach są odnotowane tylko trzy), zaś sam był podczas służby na froncie włoskim trzy razy zestrzelony. Podczas I wojny światowej wykonał 182 loty bojowe, z czego 103 jako obserwator. Odznaczony był kilkoma ważnymi odznaczeniami austro-węgierskimi, a także niemieckim Krzyżem Żelaznym II Klasy. W końcu działań wojennych znalazł się we Lwowie, gdzie wziął udział w obronie tego miasta w ramach Oddziału Lotniczego Obrony Lwowa (Oddział Lotniczy Lwów). W lotnictwie polskim należał do grona największych lotniczych sław[13].

W przypadku por. Steca od wiosny 1918 r. datuje się stosowanie przez niego opisanych powyżej obu godeł osobistych, w tym i biało-czerwonej szachownicy. Natomiast analogiczna szachownica, również jako godło osobiste, już jesienią 1917 r. malowana była na jednomiejscowym samolocie myśliwskim typu Brandenburg KD należącym do por. pil. Franciszka Linke-Crawforda (nr 28.40) z Flik 41/J., który stosował ją wcześniej, jako godło osobiste na swym samolocie bojowym. Z grona Polaków walczących na froncie włoskim nad Alpami, Krakowianin Franciszek Linke-Crawford, jako pilot myśliwski, dał się poznać z jak najlepszej strony, będąc podwładnym legendarnego Godwina Brumowskiego, nazywanego „austriackim Richthofenem" bądź „c. k. czerwonym baronem". Jego jednomiejscowy samolot myśliwski, typu Hansa Brandenburg D.I nr 63.53 z Flik 12., w grudniu 1916 r. był w klasycznej barwie c. k. lotnictwa (kolor sklejki i oliwki), natomiast ww. przydomek wziął się od kolorystyki jego kolejnych samolotów. Myśliwski Albatros D.III (nr 153.06), w całości w kolorze czerwonym, miał wymalowane jesienią 1917 r. na kadłubie charakterystyczne godło geometryczne, zaś kolejne samoloty tego samego typu (nr 153.45, 153.52, 153.209), były również w kolorze czerwonym, z charakterystycznym godłem osobistym pilota w kształcie białej czaszki na czarnym tle wymalowanym na kadłubie (trzy rodzaje grafik)[14]. W tym kolorowym świecie myśliwców Flik 41/J, samolot myśliwski pilotowany przez por. Linke-Crawforda miał na kadłubie wymalowaną jako godło osobiste biało-czerwoną szachownicę[15]. Podczas kampanii 1918 r. por. F. Linke-Crawford został dowódcą myśliwskiej Flik 60/J, stacjonującej w Feltre nad Piavą i wyposażonej w zawodne, jak czas pokazał, myśliwskie samoloty typu Aviatik Berg D.I. Błyskotliwa kariera tego znanego pilota myśliwskiego została przerwana 31 VII 1918 r., kiedy poległ on śmiercią pilota w rejonie Valdobbiadene w wyniku uszkodzenia konstrukcji samolotu i „złożenia się płatów" własnego samolotu podczas walki powietrznej z brytyjskimi myśliwcami z 45. Dywizjonu RAF oraz włoskimi myśliwcami typu Hanriot HD-1 z 82. Sqadriglii. Ginąc, miał za sobą 300 lotów bojowych, 150 walk powietrznych i 27 (29, 30?) zestrzeleń[16]. Niestety, w Kriegsarchiv w Wiedniu brak jest dokumentów – teczka osobowa – por. Linke-Crawforda, dlatego też precyzyjne odtworzenie jego służby w k. u. k. Luftfahrttruppen jest utrudnione.

Inaczej natomiast ma się kwestia trzeciego z pilotów używających w okresie Wielkiej Wojny biało-czerwonej szachownicy – por. Mariana Gawła, na którego jednomiejscowym samolocie myśliwskim typu Brandenburg KD (Hansa Brandenburg D.I nr 28.17) z Flik 41/J jesienią 1917 r. pojawiło się omawiane godło. Feldpilot, Oberleutnant M. Gaweł, ur. 10 IX 1889 r. w Sanoku, 1 VII 1915 r. zgłosił się jako ochotnik do lotnictwa. Jako Oberleutnant (por.), od 1 V 1915 r. odznaczony Wojskowym Krzyżem Zasługi 3. klasy z Dekoracją Wojenną, 1 VII trafił do Flik 5. Służąc w niej jako obserwator, rozpoczął loty bojowe 2 VIII 1915 r. z lotniska Ujvidek (Novi Sad) na Froncie Serbskim. Wykonywał m.in. loty zwiadowcze na samolotach typu Brandenburg C.I nad silnie broniony Belgrad, za co zebrał pochwały od dowództwa. 1 V 1916 r. rozpoczął trzymiesięczne szkolenie w pilotażu w Szkole Pilotów w niemieckim Grossenheim, a następnie miesięczne szkolenie w Oficerskiej Szkole Lotniczej w Wiener Neustadt. 1 IX 1916 r. został przydzielony do Flik 36. i 4 IX objął dowództwo Fliegerzug (plu-

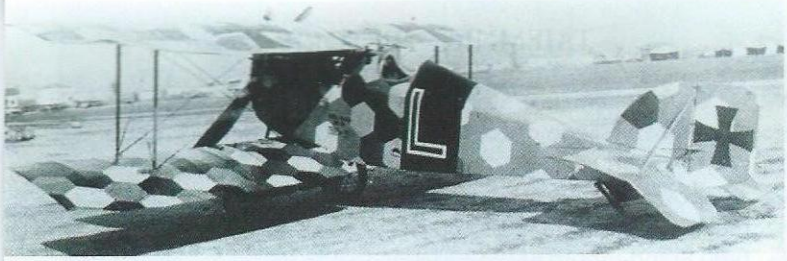

Aviatik D.I (LO) 115.32 z Flik 60/J Franka Linke-Crawforda sfotografowany na lotnisku Feltre późną wiosną 1918 r. Linke- Crawford został zestrzelony w tym samolocie 31 lipca 1918 r. Prawdopodobną przyczyną jego śmierci był błąd konstrukcyjny skrzydła. Fot. P. Grosz, G. Hadolow, P. Schiemer „Austro-Hungarian Army Aircraft of World War One".

Brandenburg C.I 68.40 z Flik 36. w zimowej scenerii, grudzień 1916 r. Na takim samolocie, oznakowanym szachownicą biało-czerwoną, w listopadzie 1918 r. Stefan Stec doleciał do Warszawy. Fot.: P. Grosz, op. cit.

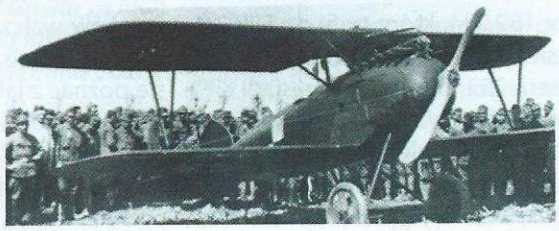

Posępny Albatros D.III (Oef) 253.8 por. Stefana Steca. Biało-czerwona szachownica na burcie – insygnia Legionów Polskich Piłsudskiego, które walczyły po stronie Austro-Węgier. Fot.: P. Grosz, op. cit.

tonu lotniczego) wyodrębnionego z jej składu skierowanego na front rumuński. 25 XI 1916 r., w chwili bombardowania przez trzy samoloty z Flik 36. linii kolejowej Zimnicea-Alexandria, pilotowany przez niego samolot typu Brandenburg C.I nr 68.17 został zaatakowany przez samolot rozpoznawczy typu Farman rumuńskiego lotnictwa w rejonie miasteczka Uhnulet. Obsługując przedni kaem Olt. Gaweł zestrzelił przeciwnika. Było to jego pierwsze, wojenne zestrzelenie, za co odznaczono go Orderem Żelaznej Korony 3. Klasy z Dekoracją Wojenną, jako pierwszy oficer c. k. armii na froncie rumuńskim otrzymał też pruski Krzyż Żelazny 2. Klasy. Następne zwycięstwo odniósł 2 IV 1917 r., kiedy wraz ze strzelcem Karlem Ryantem, w rejonie dunajskiego portu Braiła, uszkodził wrogi samolot bombowy, zamierzający dokonać nalotu na ten ważny cel. W monotonii lotów bojowych spektakularnym wyczynem było jego lądowanie samolotem typu Brandenburg C.I nr 63.29 na hangarze (sic!) lotniska Baneasa w Bukareszcie. 22 IV 1917 r. Olt. M. Gaweł opuścił Flik 36., odchodząc na zasłużony urlop, i na dalsze szkolenie w Flik 6. w Wiener Neustadt – tym razem na samolotach myśliwskich typu Brandenburg D.I. 1 V 1917 r. trafił do Flik 32., zaś 12 VI 1917 r. objął stanowisko chefpilota w tej jednostce wyposażonej w samoloty myśliwskie typu Aviatik Berg D.I., stacjonującej na lotnisku St. Veit w rejonie frontu nad rzeką Isonzo. Za tę służbę doszły nowe odznaczenia – m.in. Srebrny Wojskowy Medal Zasługi z Mieczami oraz dożywotnie prawo do noszenia odznaki pilota, co było znaczącym wyróżnieniem w k. u. k. Luftfahrttruppen, gdzie stosowano zasadę noszenia jej na określony czas. Znakomita opinia, jaką posiadał u przełożonych, spowodowała, że został, jako chefpilot, przeniesiony 26 II 1918 r. do elitarnej wówczas w c. k. lotnictwie myśliwskiej Flik 41/J. Pod koniec lutego 1918 r. lotnicze szczęście opuściło Mariana Gawła, gdy zmuszony był przymusowo lądować na samolocie myśliwskim typu Albatros D.III nr 153.133. Wskutek rozbicia samolotu, pilot odniósł poważne obrażenia i trafił do szpitala polowego w Portobuffole. W efekcie nie nadawał się do dalszej służby w powietrzu. 11 III 1918 r. został wycofany z Flik 41/J i od tego czasu pełnił służbę w Fliegerarsenal (15 V 1918 r. skierowano go jako pilota kontrolnego, a od sierpnia 1918 r. jako komendanta grupy odbiorczej do Aspern). W trakcie służby w c. k. lotnictwie wykonał około 130 lotów bojowych i odniósł co najmniej 2 zwycięstwa powietrzne. W 1918 r. po zakończeniu wojny przez krótki czas przebywał w Krakowie, po czym w odrodzonej Rzeczpospolitej trafił do władz tworzącego się lotnictwa – pracował w IV Oddziale Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, zaś od stycznia do kwietnia 1919 r., w stopniu kapitana, pełnił funkcję zastępcy kierującego Sekcją Żeglugi Napowietrznej Departamentu Technicznego MSWojsk. płk. pil. bal. H. Łossowskiego (sic!). Oddelegowany do Paryża, kierował w ramach Polskiej Misji Zakupów gen. dyw. Jana E. Romera kupnem francuskiego sprzętu latającego dla lotnictwa polskiego. Po powrocie do kraju, od sierpnia 1921 r. był zastępcą dowódcy 2. PL w Krakowie. W 1921 r. przeniesiony został w stan nieczynny, zaś z dniem 31 X 1924 r. przydzielono go do rezerwy z podległością mobilizacyjną do 6. PL we Lwowie, gdzie zamieszkał. W czasie pokoju kierował firmą Towarzystwo Sprzedaży Samochodów. Zmarł 16 XI 1937 r. w Warszawie[17].

Sporu co do okresu powstania lotniczej szachownicy nie można oprzeć o archiwalia, gdyż takowych brakuje, a jedynie o materiał wspomnieniowo-ikonograficzny. Por. Marian Gaweł zatem – czego dowodem są zapisy z okresu jego służby w k. u. k. Luftfahrttruppen – najwcześniej z omawianego grona namalował na swym samolocie na froncie włoskim biało-czerwoną szachownicę (sic!). Niewykluczone, że por. Linke-Crawford uczynił to w tym samym czasie, a zaskakujące jest, że obaj służyli w tej samej Flik 41/J. Natomiast por. Stec z Flik 3/J jest dopiero trzecim lotnikiem polskiej narodowości, który podczas walk na froncie włoskim w 1918 r. umieścił godło na swym samolocie myśliwskim. Wszyscy trzej omówieni lotnicy byli pilotami myśliwskimi k. u. k. Luftfahrttuppen, zaś co zaskakujące, M. Gaweł został z-cą dowódcy lotnictwa polskiego ppłk. Łossowskiego, który w listopadzie 1918 r. zadecydował, iż szachownica będzie znakiem polskiego lotnictwa wojskowego…

Przypisy:

[1] „Odrodzenie Wojska Polskiego 1918-1921 w materiałach Centralnego Archiwum Wojskowego", W-wa 2008, s. 203; T. Królikiewicz „Polski samolot i barwa 1918-1939", W-wa 2009, s. 20. T. J. Kowalski („Godło i barwa w lotnictwie polskim", W-wa 1981, s. 19) podaje inną wersję rozkazu:

„(…) Samoloty wojsk polskich będą w przyszłości zaopatrzone, w miejscach dotychczas obowiązujących, znakiem kwadratowym o szer. 60 cm, dzielącym się na cztery równe pola. Lewe górne i prawe dolne będzie barwy karmazynowej, lewe dolne i prawe górne pole barwy białej. Warszawa, dnia 1 grudnia 1918". Autor ten na łamach „Skrzydlatej Polski" w latach 70. wywodził korzenie godła por. Steca w następujący sposób: *„Godło osobiste por. S. Steca powstało w okresie jego służby w lotnictwie Austrii i było wzorowane na odznace pilota – szachownica o czterech polach w wianku zakończonym koroną. Kolory odznaki pilota były biały i czarny, a zmiana dotyczyła kolorów Austrii, a nie podkreślała w tym okresie polskości".*

[2] wikipedia.org/wiki/Szachownica_lotnicza – wejście z 27 II 2012 r.

[3] S. M. Pietruski „Moje wspomnienia z lotnictwa 1918-1921", relacja pisemna ze zb. W. Sankowskiego i ppłk. dr. T. Kopańskiego – kopia w zbiorach Autora.

[4] Przykładowo płk dr J. Zieliński („Lotnictwo polskie – Polish Air Force 1918-2008", W-wa 2008, s. 14) bezkrytycznie podał za: „Ku czci poległych lotników", (W-wa 1932, s. 58), iż *„(…) por. pil. Stefan Stec uważany jest za twórcę biało-czerwonej szachownicy – znaku rozpoznawczego polskich samolotów wojskowych".* Natomiast płk dr A. Przedpełski („80 lat polskiego lotnictwa wojskowego", W-wa 1998, s. 29) błędnie podaje, iż por. Stec przyleciał do Warszawy samolotem typu Fokker E/V *„(…) na którego kadłubie widniały tak oryginalnie wymalowane szachownice – godła indywidualne tego pilota".* Pogląd ten pojawił się także w opracowaniu wydanym przez Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi, pod patronatem PLL LOT (sic!), „Sławni polscy lotnicy i ich samoloty", Łódź 1998, s. 9, w którym czytamy: *„Biało-czerwona szachownica była wymalowana na kadłubie jego* [por. Steca] *samolotu typu Fokker E/V (D/VIII), którym w listopadzie 1918 r. przyleciał do Warszawy".* Informacja jest błędna. Należy jedynie zastanowić się, dlaczego podana została w wydawnictwie pod tak charakterystycznym patronatem. Prawdą jest, że na ww. samolocie por. Stec wykonywał loty bojowe, jednak kilka miesięcy później, podczas wojny polsko-ukraińskiej. W 1918 r. we Lwowie w gronie samolotów przejętych przez stronę polską nie było nowoczesnych samolotów myśliwskich typu Fokker E/V, jedynie samoloty szkolne i znajdujące się w remoncie. Lot do Warszawy via Kraków 13 XI wykonany został samolotem obserwacyjno-bombowym typu Brandenburg C.I, czego dowiódł w wyniku gruntownej analizy wydarzeń mjr dr Tomasz Kopański („Początek skrzydlatej epopei. Lotnictwo polskie w obronie Lwowa w listopadzie 1918 r." [w:] „Polska Zbrojna" 1993, nr 220; *idem*: „Lotnictwo w obronie Lwowa" [w:] „Militaria i Fakty" 2001, nr 6, s. 5; „Lotnictwo polskie 1918-1921" [w:] „90 lat polskiego lotnictwa wojskowego – wyzwania przyszłości", Dęblin 2008, s. 13; „Lotnictwo polskie w kampanii polsko-ukraińskiej, 1918-1919" [w:] „Wojskowy Przegląd Historyczny" R. 35, 1990, nr 1-2, s. 139-158).

[5] T. Goworek „Pierwsze samoloty myśliwskie lotnictwa polskiego", W-wa 1991, s. 19-23, 25; J. Butkiewicz „Marian Gaweł" [w:] „Lotnictwo z Szachownicą" 2004, nr 10, s. 23-24

[6] A. Znamierowski „Insygnia, symbole i herby polskie: kompendium", W-wa 2003, s. 163-166

[7] *Ibidem*.

[8] T. Kopański *op.cit.*, s. 13. W okresie 14 XI 1918-24 IV 1919 r. niebawem awansowany do stopnia gen. bryg. pil. H. Łossowski pełnił funkcję dow. Wojsk Lotniczych oraz Inspektora Wojsk Lotniczych.

[9] T. Królikiewicz, *op.cit.*, s. 15-17; *idem*: „Barwa w lotnictwie polskim. Wojskowe samoloty szkolne 1918-1939", W-wa 1988, s. 4; K. Chołoniewski, W. Bączkowski „Barwa w lotnictwie polskim. Samoloty wojskowe obcych konstrukcji 1918-1939", W-wa 1987, s. 1, 3, 7, 8; K. Chołoniewski, W. Bączkowski *op.cit.* W-wa 1988, s. 2, 5

[10] T. Goworek, *op.cit.*, s. 22-23

[11] *Ibidem*, s. 24-25

[12] Z. Kozak „Pierwsi lotnicy Polski niepodległej" [w:] „Rocznik Przemyski" 2008, nr 1, s. 219-221; CAW, Akta personalne ppłk. pil. Stefana Steca, 4597, 2737, Karta Kwalifikacyjna dla Komisji Weryfikacyjnej; A. Przedpełski „Stefan Stec, Polski Słownik Biograficzny", t. XLIII/I, z. 176, Kraków 2004, s. 55

[13] Z. Kozak, *op.cit.*, CAW, Przebieg służby lotniczej, por. Steca, 4597, 2737. Wg innych źródeł do końca VIII 1918 r. na jego koncie było 9 zwycięstw powietrznych.

[14] E. Hauke, W. Schroeder, B. Tőtschinger „Die Flugzeuge der k.u.k. Luftfahrtruppe und Seeflieger 1914-1918", Graz 1988, s. 213, 214, 216

[15] T.Goworek „Samoloty myśliwskie pierwszej wojny światowej", W-wa 1988, s. 129,135.

[16] P. Skulski, W. Sankowski „Asy wojny 1914-1918", Wrocław 1994, s. 15, 23-24, 28, 32.

[17] J. Butkiewicz *op.cit.*, Kriegsarchiv Wien (KA), Luftfahrtarchiv, Karton 3, Fol. 5; A. Zaręba „Orły Habsburgów", Dębica 2004, s. 53; E. Hauke, W. Schroeder, B. Tőtschinger, *op.cit.* s. 200; K. Meindl „Luftsiege der k.u.k. Luftfahrtruppen Rumänische Front", ÖFH Nachrichten, Sonderheft 27, Wiedeń; „Rocznik Oficerski 1924", MSWojsk. O/ V Sztabu Generalnego WP, W-wa 1924, s .852, 870; „Rocznik Oficerski Rezerw 1934", Biuro Personalne MSWojsk., W-wa 1934, L.dz. 250/ mob. 34, s. 159, 671

Andrzej Olejko

Historyk, dr hab. prof. UR, wykładowca historii w Instytucie Historii Uniwersytetu Rzeszowskiego – specjalność: historia wojskowości, problematyka lotnicza, historia regionu karpackiego. Kierownik Zakładu Historii Wojskowości. Autor ponad 300 artykułów o tematyce historyczno-lotniczo-morskiej.

REKLAMA

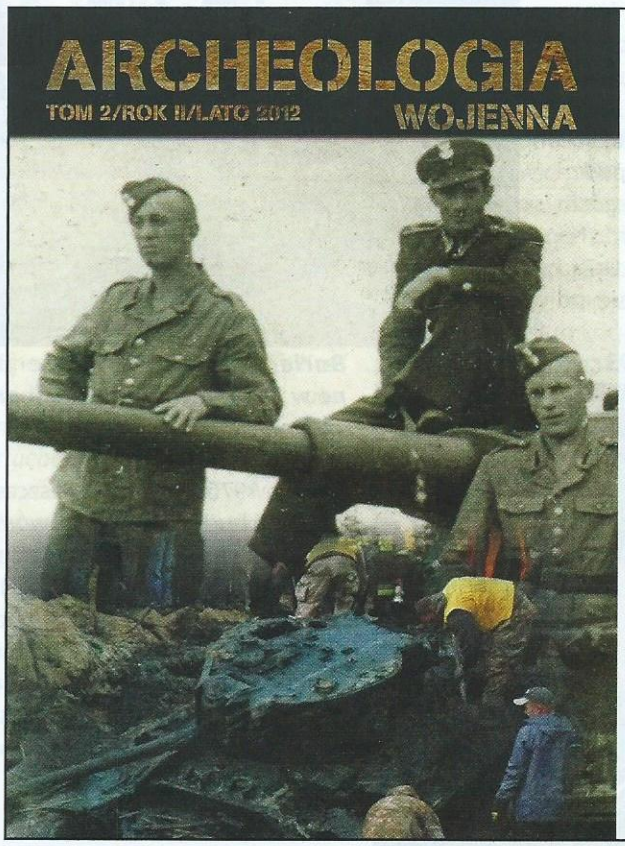

Instytut Wydawniczy Archeologia Militaris poleca:

"Archeologia Wojenna tom 3" czyli poszukiwacze, historycy, kolekcjonerzy dla poszukiwaczy, miłosników historii, kolekcjonerów w tekstach:

Archeologia Wojenna jest propozycją wydawniczą skierowaną do sympatyków historii, kolekcjonerów oraz poszukiwaczy militariów i skarbów. W 3 tomie nie brakuje materiałów dla wszystkich wymienionych grup. Druga część tekstu o 31 PSK jest doskonałym opracowaniem dla miłośników polskich pułków, analiza biografii ppłk. Magnuszewskiego rzuca nowe światło na wojskowych z obozu przeciwników majowego przewrotu, Częstochowa 1939 wypełnia lukę o nieznanych działaniach wojennych w pierwszych dniach września '39. Odnalezienie fotografii Panzerkampwagen IV w służbie ludowego WP z pewnością zadowoli miłośników pancernych potworów. Fascynatom terenowych badań z pewnością przypadnie do gustu kronika poszukiwań pamiątek po walkach 1945 roku w Prusach Wschodnich oraz pancerna zagadka Twierdzy Modlin. Dodatkowo tropimy historię tajemnicy grobu Powstańców Warszawskich oraz przybliżamy nieco dalsze podróże, aż do singapurskiej twierdzy. A co dla kolekcjonerów? Tym razem niemiecka amunicja szkolna 7,92x57 Mauser w latach 1889-1945, a także Rkm wz. 28 w świetle dokumentów i instrukcji.
Zapraszamy do lektury!

Do nabycia w sieciach Empik (w dziale czasopism), księgarni Odkrywcy (odk.pl), Pelcie oraz bezpośrenio w wydawnictwie (redakcja@archeologiawojenna.pl; tel. 691-836-854)

Zapraszamy również na nasz profil na facebooku http://www.facebook.com/ArcheologiaWojenna

Dzieje udostępnienia sztolni walimskich (cz. 2)

TEKST: TOMASZ RZECZYCKI
ZDJĘCIA WSPÓŁCZESNE: AUTOR,
ZDJĘCIA Z PRAC ADAPTACYJNYCH: ARCH. BOGDANA ROSICKIEGO

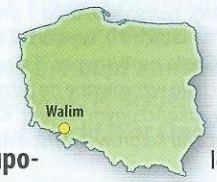

W czerwcu 1974 r. mieszkańcy Walimia, w czynie społecznym, podjęli się uporządkowania terenu przy sztolniach walimskich. Wykonano szereg robót ziemnych. Wyrównano teren oraz wycięto te krzewy, które utrudniały dojście do sztolni. Co ciekawe, jak wynika z ówczesnych dokumentów, tylko jedno z trzech wejść do podziemi, środkowe, było zamknięte metalową kratą. Z uwagi na niedostatek materiałów potrzebnych do prowadzenia prac, roboty przerwano. To jednak nie był koniec działań.

W grudniu 1974 r. na sesji Gminnej Rady Narodowej w Walimiu przyjęty został Plan Społeczno-Gospodarczy Rozwoju Gminy na 1975 rok. Zapisano w nim m.in., że *„planuje się w ramach czynów społecznych uporządkować miejscowość Walim, zwłaszcza część przelotową, i udostępnić turystom możliwość zwiedzania lochów"*. Niedługo potem, 8 I 1975 r. zwołana została narada w sprawie zagospodarowania sztolni walimskich. Wzięli w niej udział m.in. naczelnik gminy Walim Witold Motyka, sekretarz gminy Józef Piksa, architekt powiatowy Marek Sokół, dyrektor Zakładów Przemysłu Lniarskiego w Walimiu Mieczysław Kurzak, sekretarz miejscowego koła ZBoWiD Feliks Strzop oraz przedstawiciel Przedsiębiorstwa Robót Górniczych z Wałbrzycha. Na naradzie omawiano plany wykonania schodów, zapewne prowadzących z doliny rzeczki Walimki do wylotów sztolni, jak również pomysł przeniesienia w pobliże sztolni tablicy pamiątkowej. Za tablicą miał być ustawiony znicz i wywieszone flagi państwowe. Postulowano, aby zbadać stan techniczny podziemi oraz doprowadzić do ich oświetlenia. Przy okazji narzekano na utrudnienie, jakim była woda w podziemiach. Planem minimum miało być udostępnienie turystom przynajmniej jednej z trzech sztolni. Ustalono, że 14 I 1975 r. przybędzie grupa górników w celu zbadania wnętrza sztolni. Po naradzie walimski Urząd Gminy podjął dalsze działania. 18 I 1975 r. zlecono Powiatowemu Biuru Geodezji w Wałbrzychu wykonanie podkładów geodezyjno-wysokościowych terenu otaczającego sztolnie walimskie. Zaplanowano też kolejną naradę – na 28 stycznia – na którą zaproszono przedstawicieli sekcji grotołazów działających w ramach koła NOT przy Kopalni Węgla Kamiennego „Thorez" w Wałbrzychu. W aktach sprawy nie zachował się jednak protokół z tej narady. Zachowało się natomiast pismo z 4 II 1975 r., wysłane do Nadleśnictwa Wałbrzych, z nieco zaskakującą treścią: *„Urząd Gminy w Walimiu zobowiązuje nadleśnictwo do zabezpieczenia parkanem od strony wzgórza lochów walimskich"*. Na jakiej podstawie Urząd Gminy domagał się od leśników podjęcia owych czynności na terenie nieruchomości będącej w zarządzie Lasów Państwowych? Leśnicy najwidoczniej nie przejęli się tym zarządzeniem, skoro UG pismem z 19 czerwca ponaglił nakaz ustawienia parkanu. Niestety, w przechowywanej w archiwum teczce brak jest dalszych informacji. Nie wiemy więc czy parkan ustawiono, czy też pismo pozostało bez echa.

W protokołach z sesji Gminnej Rady Narodowej w Walimiu w 1975 r. zadziwiająco mało znajdziemy wzmianek na temat sztolni walimskich. Owszem, GRN uchwałą z 28 lutego zobowiązała naczelnika gminy do zagospodarowania otoczenia sztolni pod kątem turystyki, później, w sprawozdaniu za pierwsze osiem miesięcy 1975 roku lakonicznie wymieniono odnowienie zieleni na terenie przy sztolniach – ale to właściwie wszystko. W jednym z gminnych programów rozwoju z 1976 r. zapisano jeszcze, że planuje się budowę parkingów w Walimiu obok sztolni. Niestety, z biegiem czasu sprawa została zapomniana. Nie znane są też przyczyny tego stanu rzeczy. Może skutkiem kolejnej reorganizacji instytucji po reformie podziału administracyjnego z wiosny 1975 roku? A może samorząd nie dysponował odpowiednimi środka-

Bariery zabezpieczające wykonane w sztolniach walimskich przez PBK „Micon".

Próba wypompowania wody z podziemi walimskich latem 1993 r.

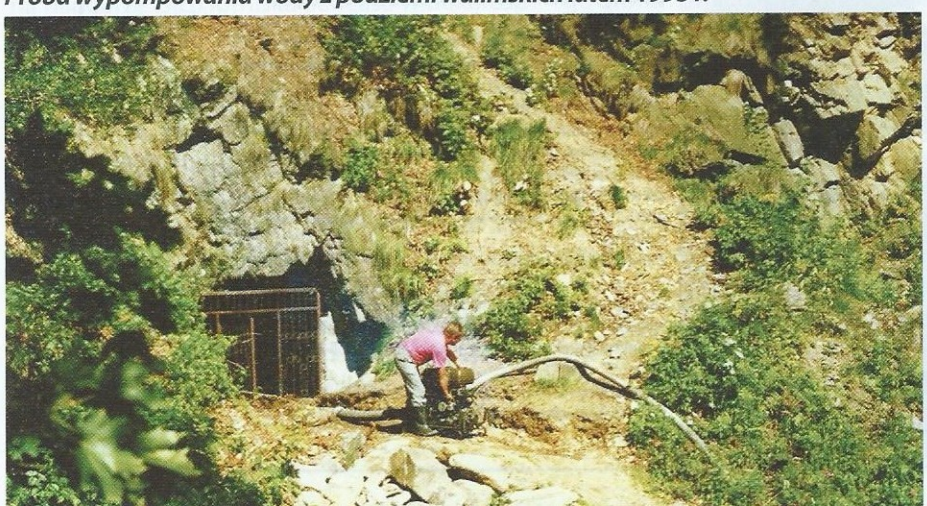

mi, zapewne znacznymi, aby wyasygnować odpowiednią kwotę na urządzenie podziemnej trasy turystycznej? Tego na obecnym etapie badań nie wiem. Liczę, że uda mi się dotrzeć do dokumentów, które to wyjaśnią. Działania pasjonatów podziemi powinny były jednak dać sporo do myślenia władzom gminnym. Sztolnie walimskie przyciągały rozmaitych poszukiwaczy przygód chętnych do odkrywania nieznanego. Trudno tu skrupulatnie wyliczać wszystkie ekspedycje, które stawiały sobie mniej lub bardziej ambitne cele. Warto wspomnieć o jednej z nich. W lipcu 1977 r., w ramach obozu naukowego, studenci filii Politechniki Wrocławskiej z Wałbrzycha wykonali inwentaryzację sztolni walimskich i sporządzili ich plan. Akcja odbyła się pod szumną nazwą „Ekspedycji Badawczej Góry Sowie". W przedsięwzięciu brał udział Piotr Kruszyński, jeden z bardziej zasłużonych badaczy podziemi sowiogórskich.

Prawdopodobnie we wrześniu 1978 r. wydarzył się tragiczny wypadek. Młody chłopak usiłujący przejść pod stropem wąskim przesmykiem, w częściowo zasypanej podłużnej komorze łączącej sztolnie nr 2 i 3, został ugodzony bryłą skalną odłamaną ze stropu. Zginął na miejscu. Jego zwłoki wyciągnęli na powierzchnię ratownicy górniczy, zapewne wezwani z Wałbrzycha. Reakcja władz gminnych była co najmniej zaskakująca – nie taka, jakiej oczekiwano. Zamiast bowiem przeznaczyć konkretne kwoty na zabezpieczenie i udostępnienie podziemi zwiedzającym, ograniczono się jedynie do zakratowania wszystkich trzech wylotów sztolni.

W czasie stanu wojennego walimskimi sztolniami zainteresowano się z zupełnie innych względów. Na przełomie lat 1981 i 1982 wstępną penetrację walimskich wyrobisk przeprowadzili wrocławscy naukowcy. Zlecił im to Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Górnictwa Surowców Chemicznych „Chemkop" z Krakowa. Wiadomo też, że *„w 1982 roku grupa inwentaryzacyjna »Chemkopu«, złożona z geodetów, górników i hydrologów, dokonała kompleksowej inwentaryzacji dostępnych obiektów podziemnych w Górach Sowich, w tym i sztolni walimskich"*. Badania przeprowadzone zostały bez zbędnego rozgłosu, a społeczeństwo dowiedziało się o nich dopiero w kwietniu 1984 r. z listu, jaki do jednej z małopolskich redakcji wysłał Bohdan Nielubowicz z „Chemkopu", którego urywek powyżej zacytowano. Badania podziemi walimskich przeprowadzono dlatego, iż poszukiwano wówczas – o czym czytelnicy gazety już się nie dowiedzieli – miejsca nadającego się na składowisko odpadów nuklearnych z przyszłych, polskich elektrowni jądrowych nad Jeziorem Żarnowickim koło Pucka oraz w Klempiczu koło Wronek. Małopolscy specjaliści wykonali profesjonalne pomiary i plany podziemi, o jakich wtedy Jerzy Cera, czy Piotr Kruszyński, a także inni badacze-eksploratorzy mogli jedynie pomarzyć. Nawiasem mówiąc warto zaznaczyć, w jaki sposób plany sowiogórskich podziemi, wykonane przez „Chemkop", dotarły do badaczy podziemi Gór Sowich. Otóż w 1983 r. ekipa „Chemkopu" zawitała do Międzyrzecza, w celu dokonania pomiarów podziemi Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. Małopolscy badacze potrzebowali skorzystać z usług kogoś, kto znał układ podziemnych korytarzy MRU. W związku z tym zatrudniono międzyrzeckiego przewodnika PTTK, Tadeusza Świdra. Po pewnym czasie Tadeusz Świder dowiedział się, że „Chemkop" wykonywał podobne pomiary w podziemiach sowiogórskich, którymi był zainteresowany. Pracownicy „Chemkopu" podarowali mu więc wykonane plany podziemi, wycinając jedynie żyletką, z metryczek, nazwę podmiotu, który sporządził dokumenty. Następnie Tadeusz Świder skontaktował się z pasjonatami sowiogórskich tajemnic i udostępnił im ten „skarb". Wypada jeszcze dopowiedzieć, dlaczego prasa w Małopolsce podjęła w 1984 r. temat zagospodarowania podziemi Gór Sowich. Otóż podziemia te znał Zbigniew Lisowski, wykładowca z Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Krakowie, który kilka lat wcześniej uczestniczył w letniej eksploracji podziemi Gór Sowich, organizowanej przez wałbrzyskich studentów Politechniki Wrocławskiej. W tym czasie, ze względu na kryzys ekonomiczny, deficyt terenów budowlanych i konieczność oszczędzania energii oraz względy strategiczne, władze uznały, że kolejne chłodnie do przechowywania żywności powinny być lokowane w podziemiach. Pamiętajmy, że był to okres socjalistycznej gospodarki planowej, która borykała się wtedy z brakiem środków na inwestycje. *„Zamiar budowy pierwszej chłodni skalnej podjął dębicki »Igloopol«. Zlokalizowano ją w okolicach Krosna"* – pisał jeden z krakowskich dzienników. Mowa tu zapewne o niezrealizowanym w końcu przez Kombinat Rolno-Spożywczy „Igloopol" z Dębicy pomyśle zaadaptowania poniemieckiego tunelu kolejowego pod Żarnowską Górą w Strzyżowie (patrz „Odkrywca" nr 9/2011), służącego w czasie wojny jako schron dla pociągu Hitlera. Na strzyżowskim tunelu aspiracje chłodnictwa się nie kończyły. Wspomniany już Zbigniew Lisowski proponował, aby na chłodnie przekształcić zespoły podziemi w Gó-

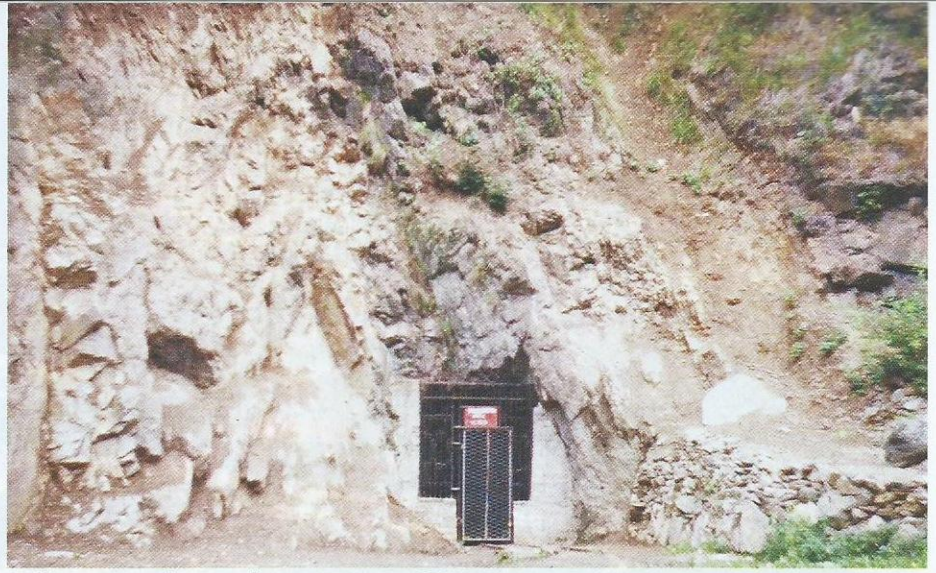

Odkopany wylot sztolni nr 1, stan z 1994 r.

BADANIA PODZIEMI WALIMSKICH przeprowadzono dlatego, iż poszukiwano wówczas – o czym czytelnicy gazety już się nie dowiedzieli – miejsca nadającego się na składowisko odpadów nuklearnych…

Teren przed sztolniami walimskimi, stan z lutego 2000 r.

rach Sowich. *„Niektóre z podziemnych kompleksów mają szczególne predyspozycje do wykorzystania ich właśnie w tym kierunku, np. kompleks nazywany »Rzeczka« położony niespełna kilometr od Walimia, a wydrążony w skale gnejsowej"* – pisała krakowska gazeta pod koniec marca 1984 r., relacjonując pomysł Lisowskiego. On sam deklarował, że byłby gotów udostępnić posiadaną dokumentację tychże podziemi, zawierającą mapy topograficzne, podkłady geodezyjne, wyniki badań geologicznych czy też badań mikroklimatu sztolni. *„Oferta gotowa do podjęcia, ja sam jednak jestem pesymistą. W czasie 10-letniej pracy dziennikarskiej udało mi się tylko »załatwić« budowę szamba w pewnym wiejskim ośrodku zdrowia"* – pisał sceptycznie dziennikarz krakowskiej gazety o chłodniczej propozycji Zbigniewa Lisowskiego. I zgadł... Z oferty nikt nie skorzystał. Może to i lepiej, bo gdyby chłodnie powstały, wokół sztolni walimskich narosłoby zapewne wiele mitów. Może i więcej niż tych, które krążą na temat niedostępnego dla zwiedzających dolnego poziomu podziemi pod zamkiem Książ w Wałbrzychu.

Nie był to ostatni pomysł zagospodarowania sztolni walimskich w czasach Polski Ludowej. Bogdan Rosicki, który w tamtym czasie pracował w Urzędzie Gminy w Walimiu, jako specjalista do spraw obrony cywilnej, wspominał mi, że ok. 1988 r. powstał projekt zaadaptowania sztolni na schrony dla ludności, na wypadek wojny lub innego zagrożenia. Uproszczona dokumentacja została przygotowana na wniosek władz zwierzchnich. Wykorzystano przy tym gotowy projekt zagospodarowania sztolni pochodzący... ze Szwecji.

Po upadku komunizmu w Polsce pierwsze lata demokracji były z jednej strony okresem powiewu wolności, a z drugiej czasem dużego kryzysu ekonomicznego, upadku dużych zakładów pracy i wysokiego bezrobocia. Wszystkie aspekty przemian ustrojowych odczuły także sztolnie walimskie. Penetratorzy na przykład nie musieli się już krępować zdobywaniem pozwoleń uprawniających do chodzenia po sztolniach. *„Przed wejściem usytuowanym obok Walimia spotykamy grupkę młodzieży, a pływające butelki po tanim winie świadczą, iż miejsce to jest popularne"* – pisał w lipcu 1993 r. w „Gazecie Lubuskiej" Dariusz Chajewski. *Gdy podchodzimy do kraty, kompleks »Olbrzyma« opuszcza właśnie grupka młodych ludzi z plecakami – szukali tutaj przygody"*. Właśnie mniej więcej wtedy z pomysłem udostępnienia turystom sztolni walimskich nosił się Bogdan Rosicki. Wraz z grupą zapaleńców powołał nieformalne Walimskie Towarzystwo Eksploracyjne. Większe znaczenie miało jednak to, że do pomysłu udało mu się przekonać władze gminne. Prace porządkowe przy wylotach sztolni zostały podjęte pod koniec lata 1993 r., zapewne we wrześniu. Wykorzystano do tego bezrobotnych, w ramach programu prac interwencyjnych. Najpierw odkopano wyloty sztolni i wymieniono dotychczasowe kraty na solidniejsze, pochodzące z odzysku. – *Po odkopaniu wlotów sztolni, chciałem je zamknąć z prostego powodu, obawiałem się, że umożliwiając wejście do środka może dojść do wypadku. A to stanowiłoby poważny problem. Od razu przerwanie prac i być może któryś z urzędników wpadłby na pomysł zasypania ich na stałe, bo „wówczas nie ma zagrożenia, po co te dziury, nie będziemy mieli więcej kłopotów". Proszę mi wierzyć, takie pomysły słyszałem. To było bardzo realne* – wspomina Bogdan Rosicki. Prace porządkowe przed sztolniami i w ich wnętrzu trwały kilkanaście miesięcy. Zasadnicze roboty górniczo-zabezpieczające w grudniu 1994 r. i w styczniu 1995 r. wykonało Przedsiębiorstwu Budowy Kopalń „Micon" z Lubina. Niewielką część prac, polegającą na zakotwieniu fragmentu stropu, zlecono Przedsiębiorstwu Górniczo-Wiertniczemu Andrzeja Gustawa z Lubina. Oficjalna prezentacja podziemnej trasy turystycznej, zaproszonym gościom, obejmującej trzy sztolnie walimskie nastąpiła 23 I 1995 r., a zwykli turyści mogli trasę zwiedzać od 4 II 1995 r.

Przykład Walimia podziałał motywująco na włodarzy nie tylko sąsiednich gmin. Rok później swoją trasę podziemną uruchomiły władze Głuszycy w Osówce. Potem przyszła kolej na Włodarz, podziemia Góry Parkowej w Kamiennej Górze i wiele, wiele innych. Zajęto się adaptacją Lisiej Sztolni w Wałbrzychu, kopalni uranu i fluorytu w Kletnie. Kto wie, jak by się potoczyła historia, gdyby prace w sztolniach walimskich zostały w 1994 r. przerwane. Nie chcę snuć ponurych wizji, ale można chyba ostrożnie przypuszczać, że przez kolejne lata wiele podziemnych obiektów, dostępnych dzisiaj turystom, leżałoby odłogiem. Udany finał prac adaptacyjnych w podziemiach walimskich, zainicjowanych

przez Bogdana Rosickiego, był tym przysłowiowym kamyczkiem, który przechylił szalkę wagi.

Jest jeszcze jedna, ciekawa kwestia dotycząca nazewnictwa. Śledząc literaturę przedmiotu można się przekonać, jak rozmaitymi określeniami nazywano sztolnie w Walimiu. Tuż po II wojnie światowej nie doczekały się one, w odróżnieniu od „podziemnego miasta pod Głuszycą", swojej odrębnej nazwy. Od 1964 r. zaczęto mówić o Lochach Walimskich, gdyż tak rozpropagowano penetrację podziemi prowadzoną przez ekipę pod auspicjami Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Otwarta w 1995 r. podziemna trasa turystyczna otrzymała nazwę Podziemne Fabryki Walimia, chociaż nie było żadnych śladów prowadzenia w tych sztolniach jakiejkolwiek produkcji. Jak mówił Bogdan Rosicki, tak potocznie określano wtedy sztolnie walimskie. W 2001 r. decyzją władz gminnych zlikwidowany został Zakład Usług Turystycznych prowadzący trasę podziemną, a w zamian radni utworzyli Samorządową Instytucję Kultury „Muzeum Sztolni Walimskich". Nazwa nijak nie pasowała do obiektu, gdyż tak naprawdę sztolnie nie były żadnym muzeum, lecz podziemną trasą turystyczną. Ze względów formalno-prawnych, na początku 2004 r. przekształcono dotychczasowe Muzeum Sztolni Walimskich w instytucję kultury o innej nazwie. Odtąd były to „Podziemia Walimskie". Trwało to niedługo. Jesienią 2006 r. nadana została kolejna nazwa: Samorządowa Instytucja Kultury „Sztolnie Walimskie". Zresztą po następujących często zmianach nazw pozostawiono część tablic kierunkowych przy drogach w Walimiu, w tym i te zawierające nazwy nieaktualne.

W 2007 r. decyzją radnych połączone zostały dwie gminne Samorządowe Instytucje Kultury: Sztolnie Walimskie i Gminny Ośrodek Kultury. Powstał w ten sposób nowy podmiot – Samorządowa Instytucja Kultury „Centrum Kultury i Turystyki". W statucie CKiT zapisano, że sztolnie walimskie są jedną z jego jednostek, obok m.in. świetlic wiejskich, Domu Strażaka czy Wiejskiego Domu Kultury. Tak więc potocznie można je chyba określać jako „Podziemia CKiT", albo „Sztolnie CKiT". Na pierwszy rzut oka może się to wydawać zawiłe, ale na tym przykładzie widać, do czego niekiedy może prowadzić brak jasnego, ogólnego uregulowania w polskim prawodawstwie statusu podziemnej trasy turystycznej. Choć może to i lepiej? Aż strach pomyśleć co by było, gdyby wszystkie trasy podziemne poddać rygorom Głównego Urzędu Górniczego czy Straży Pożarnej. Zdrowy rozsądek gospodarzy tras podziemnych jest o wiele lepszy, niż biurokratyczne stosowanie w trasach podziemnych przepisów odnoszących się do czynnych zakładów górniczych.

PS. W komentarzu do artykułu o podziemiach sandomierskich („Odkrywca" nr 11/2012) znalazło się zdanie: *„Sandomierska Podziemna Trasa Turystyczna, to najdłuższa trasa w Polsce"*. Nie jest to precyzyjna informacja. Już w momencie udostępnienia jej zwiedzającym istniały dłuższe podziemne trasy turystyczne, np. w kopalni zabytkowej rud srebronośnych w Tarnowskich Górach, czy w kopalni soli kamiennej w Wieliczce. Trasę sandomierską można natomiast określić jako najdłuższą podziemną trasę turystyczną na terenie b. województwa tarnobrzeskiego, lub jako najdłuższą spośród tras podziemnych poprowadzonych miejskimi piwnicami.

Teksty źródłowe:
1. Archiwum Państwowe we Wrocławiu, oddział w Kamieńcu Ząbkowickim, zesp. 1360 (Urząd Gminy Walim): sygn. 1 (Protokoły sesji GRN Walim 1973-1977), k.137, 206, 250, 314; sygn. 10 (Protokół z narady w sprawie zagospodarowania lochów walimskich), k. 1-7.
2. „Gazeta Krakowska" nr 75 (10 952), 28.3.1984, s. 4
3. „Gazeta Krakowska" nr 93 (10 970), 18.4.1984, s. 3
4. „Gazeta Lubuska" nr 163 (12 749), 16.7.1993, s. 12
5. „Miliarder. Fortuna" nr 36 (80), 8.9.1994, s. 20
6. „Słowo Polskie" nr 30 (14 714), 4.2.1995, s. 3
7. „Nowiny Jeleniogórskie" nr 10 (1817), 7.3.1995, s. 10

Tomasz Rzeczycki
Niegdyś poeta i satyryk. Obecnie publicysta i pisarz. Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju. Autor książki „Góry Polskie" (2004) oraz „Podziemne trasy turystyczne Polski" cz. I i II. (2012). Współpracownik „Odkrywcy" od 2008 roku.

REKLAMA

Adolf Hitler Kanal,

czyli śląska wycieczka statkiem od Gliwic do Koźla

TEKST: DARIUSZ PIETRUCHA

Porty? Na Śląsku? Taka reakcja jest często spotykana, gdy pada pytanie o port w Łabędach czy w Koźlu. Odra jest dzisiaj jedną z wielu znanych rzek, ale historia Kanału Gliwickiego czy Kłodnickiego uległa zapomnieniu. Wielu osobom trudno skojarzyć górniczo-hutniczy śląski krajobraz z widokiem pływających kanałem barek i portowych nabrzeży. A kanał nadal jest, choć ma się coraz gorzej. Tylko jego nazwa taka… niełądna… bo to właściwie Adolf Hitler Kanal.

Gdy w Niemczech, jak i w całej Europie, a właściwie na całym świecie, Wielki Kryzys rozgościł się na dobre, jego skutki były takie same, jak wszędzie. Nastąpił upadek firm i przedsiębiorstw, nadeszła fala bankructw. Zamykano zakłady, pustoszały hale produkcyjne. Dla zwykłego człowieka najczęściej oznaczało to utratę pracy i znaczne obniżenie poziomu stopy życiowej. Pewnie nawet dzisiaj nie jest nam obce uczucie, gdy w poczuciu bezsilności traci się pracę, a człowieka ogarnia przerażenie, gdy zaczyna sobie zdawać sprawę, jak bolesne mogą być skutki braku środków do życia dla całej rodziny. Wtedy oznaczało to długie kolejki pełne zatroskanych ludzi stojących po pracę, niepewnych jutrzejszego dnia. Tak było w USA, Wielkiej Brytanii, Francji i w innych krajach, w tym także w Polsce. Niemcy nie były tu żadnym wyjątkiem.

Narodziny Adolf Hitler Kanal

Wiadomo, jak drogi jest transport. Wyobraźmy więc sobie koszty przewozu tysięcy ton śląskiego węgla, energetycznego surowca o strategicznym znaczeniu. Śląska stal, nie gorsza od tej z Zagłębia Ruhry, też musi być dostarczona na miejsce przeznaczenia. Przewóz koksu, rudy żelaza, wszelkich towarów, w tym nawet złomu, generuje niebagatelne koszty. Transport samochodowy? Niesamowicie drogi i niezbyt rozwinięty w tamtych czasach. Kolej żelazna? Oczywiście tańsza, ale w śląskich warunkach także niewystarczająca. Bez wątpienia najtańszym rodzajem transportu jest przewóz towarów za pomocą środków żeglugowych, zarówno w przypadku żeglugi morskiej, jak i śródlądowej. Jednakże do tego potrzebna jest odpowiednia infrastruktura, w którą trzeba zainwestować. Taka inwestycja błyskawicznie się zwraca.

Odra od wieków przepływa przez Śląsk, łącząc się ze swoimi dopływami. Poprzez Opole i Wrocław dotrzemy nią aż do Szczecina, do Morza Bałtyckiego, skąd droga otwarta na morza i oceany. Woda sama płynie, raz żwawiej, raz wolniej, ale skutecznie do swojego celu. Jednym z prawostronnych dopływów Odry jest rzeka Kłodnica (niem. Klodnitz), której znaczenie doceniono już w XVIII wieku. Ma ona mniej więcej 75 km długości, a swoje źródła w okolicach Katowic. Jej znaczenie polega na tym, że przepływa przez całą górnośląską aglomerację, kończąc swój bieg w okolicach Koźla, gdzie wpada do Odry. Nietrudno odgadnąć, że jej przebieg okazał się doskonałym atutem do wykorzystania w przypadku transportu rzecznego śląskich towarów. Kanał Gliwicki, o którym piszę, a który w dawnych czasach nazywany był Adolf Hitler Kanal, nie był nowatorskim pomysłem. Znacznie wyprzedził go w czasie Kanał Kłodnicki (niem. Klodnitzkanal). Do jego budowy przystąpiono już w 1792 r., zakładając, że będzie służył do transportu węgla z zabrzańskiej kopalni „Luiza" (obecnie udostępnionej do zwiedzania) oraz z kopalni z Królewskiej Huty (niem. Königshütte – obecnie Chorzów) do Gliwic (niem. Gleiwitz), skąd miał być wysyłany dalej w kierunku zachodnim. Podobno zastanawiano się nawet nad wykorzystaniem dalszego biegu rzeki Kłodnica (w stronę Katowic), a następnie, poprzez wykonanie połączenia z rzeką Gostynia, dotarcie do Wisły, pomysł jednak został porzucony już w 1800 roku. Za inicjatorów i zwolenników budowy Kanału Kłodnickiego uważa się ludzi bardzo mocno zasłużonych dla przemysłowej historii Śląska, a mianowicie ministra rządu pruskiego Fryderyka von Redena (który także organizował górnictwo na Dolnym Śląsku), ojca współczesnego hutnictwa żelaza Szkota Johna Baildona, a także króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II. Budowę Kanału Kłodnickiego rozpoczęto w 1792 r., a jego funkcjonowanie stało się faktem w 1806 roku. Cały kanał został przekazany do żeglugi w roku 1812 r., jego budowę ostatecznie zakończono w 1822 roku. Aby go uruchomić, musiano wybudować 31 mostów i 18 śluz. W tym momencie miasto Gliwice zostało połączone z Odrą. Co ciekawe, możliwe było także przepłynięcie z Gliwic do Berlina, wykorzystując tzw. Kanał Finow. Cały

Kanał Kłodnicki, www.gliwiczanie.pl

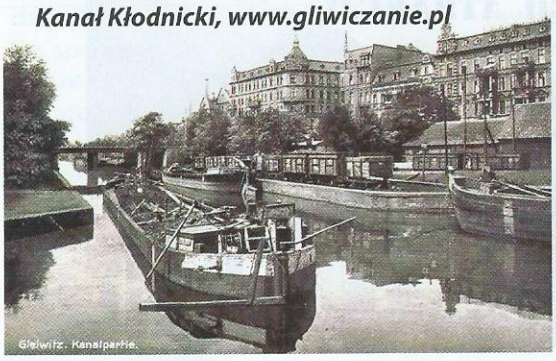

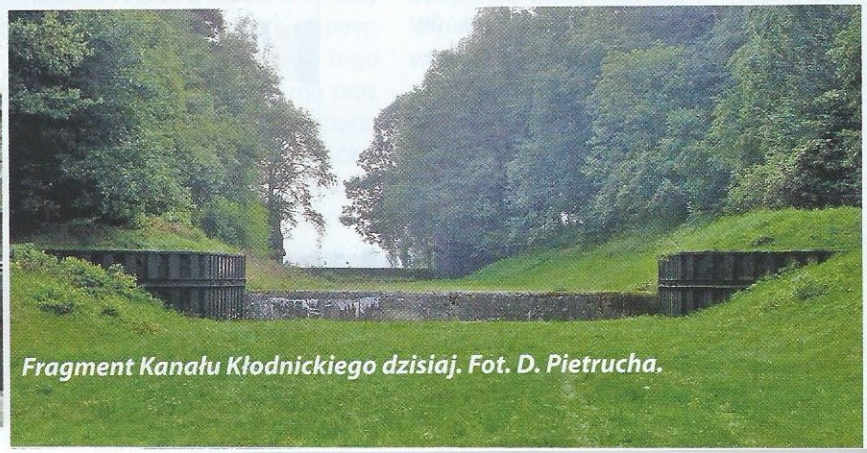

Fragment Kanału Kłodnickiego dzisiaj. Fot. D. Pietrucha.

Kanał Kłodnicki miał 40-46 km długości, 12 m szerokości. Jego głębokość wynosiła 1,6 m; czyli był stosunkowo płytki (mogły z niego korzystać tylko płaskodenne barki). Różnice wysokości terenu powodowały konieczność zastosowania 18 śluz (początkowo drewnianych, a potem murowanych). Z Gliwic poprowadzono krótkie połączenie żeglugowe do Zabrza i Chorzowa. Oczywiście w Gliwicach potrzebny był port (obecnie już nieistniejący), więc wybudowano go w centrum miasta, doprowadzając do niego w 1897 r. linię wąskotorowej kolejki. Przez cały XIX w. Kanał Kłodnicki odgrywał ogromną rolę w transporcie śląskiego węgla, jednakże z czasem zaczął tracić na znaczeniu, gdy powstawały kolejne, nowe linie górnośląskiej kolei. Pod koniec XIX w. był już nierentowny i przestarzały, a jego remontowanie, czy unowocześnienie, nie miało najmniejszego sensu. Swoje ostatnie chwile chwały przeżył na początku XX w., właściwie do 1920 roku. Potem w transportowym wyścigu znowu zwyciężała kolej żelazna, i kanał w tym momencie właściwie został porzucony. Na Kanale Kłodnickim pływały barki (głównie firmy „Cäsar Wollheim"), holowane ręcznie, później, przez idące brzegiem kanału, zaprzęgi konne (poruszające się po drogach holowniczych, budowanych równolegle do osi kanału) lub parowe holowniki. Niesamowity to musiał być widok. Kanał Kłodnicki częściowo istnieje do dzisiaj, oczywiście nie pełni już swojej roli. Jest elementem śląskiego krajobrazu. Jest również jednym z najstarszych kanałów ze śluzami komorowymi zachowanych na kontynencie europejskim. W odrzańskiej żegludze śródlądowej w okresie 20-lecia międzywojennego wykorzystywano różne rodzaje barek. Najmniejsze z nich to tzw. „wielkie wrocławki" (nośność 550-650 ton), od których większe były tzw. „plauerki" (nośność 600-1000 ton). Odrzańskie barki wykonywano z drewna i stali. Dopiero na krótko przed wybuchem II wojny światowej pojawiły się barki w całości wykonane ze stali, holowane przez spalinowe holowniki. Takie można spotkać jeszcze dzisiaj. Ciekawostką jest fakt, że po kanale pływał także specjalny, szybki statek do przewozu poczty służbowej, tzw. eildampfer.

Kolejne śląskie założenie hydrotechniczne, czyli Adolf Hitler Kanal, było o wiele ambitniejsze. Jeszcze w 1918 r. opracowano ambitny projekt, który zakładał, że nowy kanał połączy Gliwice z Koźlem i Boguminem (w okolicach Raciborza), tworząc w ten sposób Kanał Odra-Dunaj. Należało tylko spiąć

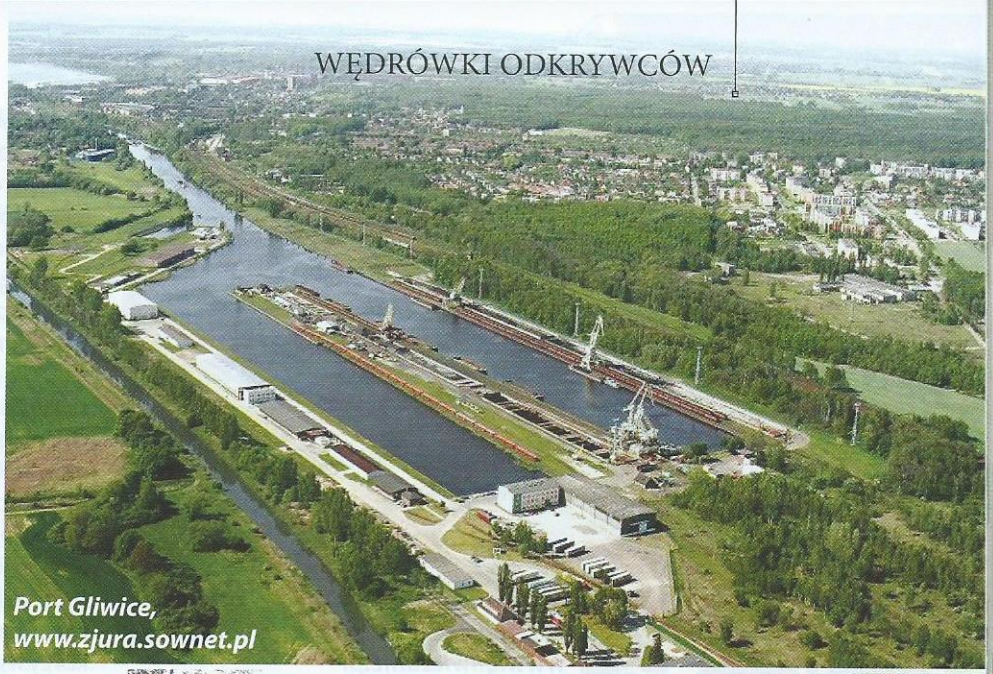

Port Gliwice, www.zjura.sownet.pl

Śluza Dzierżno. Fot. D. Pietrucha.

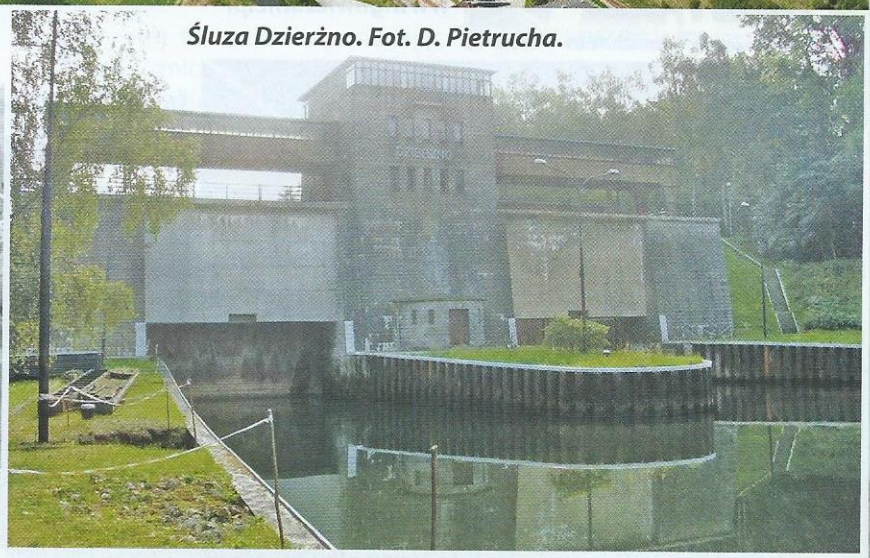

Uroczystość otwarcia kanału – pierwszy od lewej Rudolf Hess.

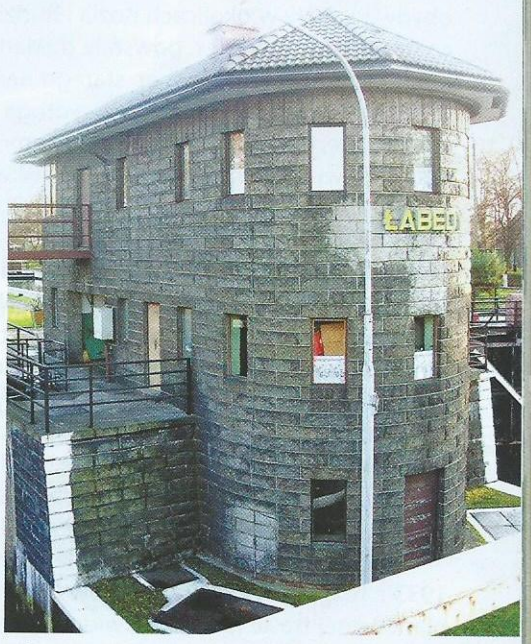

Główny budynek śluzy w Łabędach z widocznym miejscem po usunięciu nazistowskiego godła. Fot. D. Pietrucha.

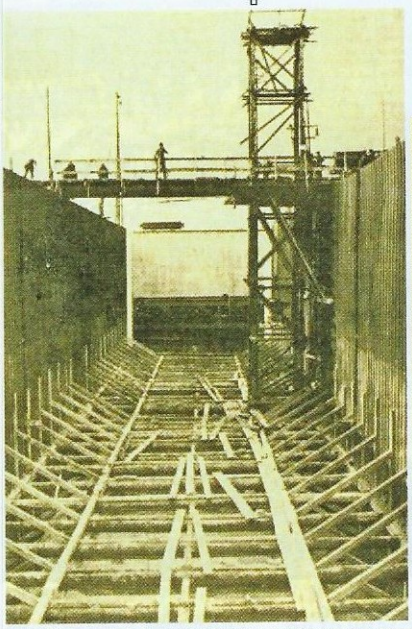

Śluza Dzierżno, budowa jednej z dwóch komór, www.gliwiczanie.pl

Tabliczka znamionowa w Dzierżnie, www.gliwiczanie.pl

Czyło, aby zniwelować dużą różnicę poziomów. Ciekawostką jest fakt, że w śluzach zastosowano system oszczędzania wody, gdyż nie pobiera się jej z głównego nurtu, lecz przepompowuje z niższych poziomów na wyższe. W latach 1933-1938 budową kanału kierował Artur Albrecht, starszy radca rządowy i radca budowlany, prawdopodobnie członek NSDAP. Pamiątkowa tablica poświęcona jego osobie do dzisiaj widnieje na budynku śluzy w Dzierżnie. Podczas budowy kanału zniszczono wiele dawnych śluz Kanału Kłodnickiego. Zatrudniono około tysiąca robotników, którzy ręcznie kopali jego koryto i formowali strome nasypy. Wydobyta ziemia była transportowana wagonikami na linach. Prawdopodobnie celowo stosowano pracę ręczną, by dużej liczbie robotników przez dłuższy okres czasu zapewnić stałą pracę. Ta metoda, wykorzystywana propagandowo, sprawdziła się już przy budowie autostrad. Zastosowane w śluzach

Maszynownia śluzy w Dzierżnie, www.gliwiczanie.pl

Śluza w Rudzieńcu. Fot. D. Pietrucha.

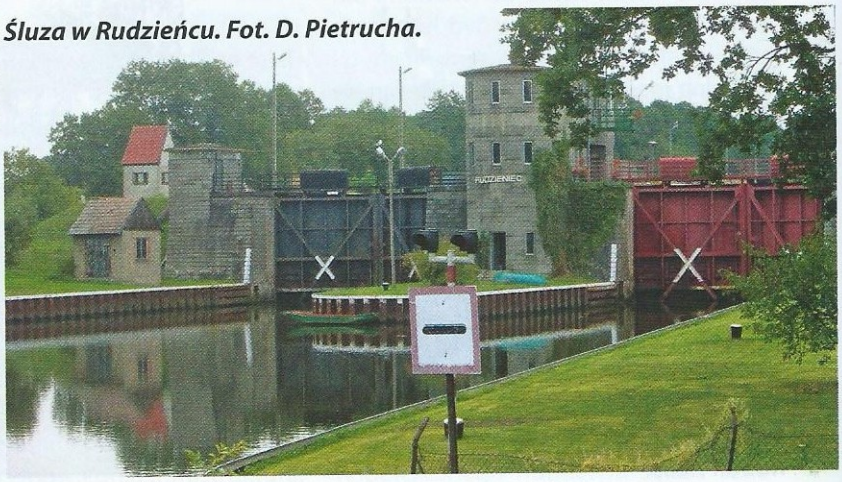

obydwa kanały w okolicach Koźla i Rudzieńca. Do tego pomysłu powrócą naziści. Już w 1933 r. powstały dokładne plany nowego kanału, który miał biec równolegle wobec starego Kanału Kłodnickiego. Miała to być o wiele nowocześniejsza sztuczna droga wodna, głębsza i wygodniejsza w żegludze, pokonująca różnice poziomów wynoszącą około 43,5 metra. Początkowo nazywano go Kanałem Gliwickim (niem. Gleiwitzer Kanal), a także Kanałem Górnośląskim (niem. Oberschlesischer Kanal). Jednakże nowe władze Niemiec budujące zręby III Rzeszy, dojrzały w tej inwestycji ogromny potencjał propagandowy. Podobnie jak budowa wielkich autostrad, czy wzmożona industrializacja Niemiec, tak i Kanał Gliwicki miał być środkiem zjednującym społeczeństwo. Ogromna inwestycja gwarantująca pracę wielu ludziom, pretendowała do roli symbolu społecznej i gospodarczej stabilności, a także siły władzy Adolfa Hitlera. Dlatego führer nie szczędził pieniędzy na jego budowę, wiedząc doskonale, jakie przyniesie mu to na Śląsku (i nie tylko) korzyści propagandowe. W ten właśnie sposób powstał najnowocześniejszy, jak na tamte czasy, obiekt hydrotechniczny w tej części Europy.

Jego budowa ruszyła formalnie w 1935 r., jednakże już pod koniec 1933 r. rozpoczęto wycinkę drzew i ziemne roboty przygotowawcze. Na planowanej trasie kanału zlikwidowano ok. 60 domostw. Razem z kanałem, głębokim na około 3,5 m – biegnącym w wykopie, a czasami w specjalnie usypanych nasypach – długim na nieco ponad 40 km, trzeba było wybudować nowoczesne śluzy. Powstało ich dokładnie sześć. To wystar-

mechaniczne urządzenia wciąż są sprawne, wymienia się jedynie elementy ulegające normalnemu zużyciu, jednakże silniki, mechanizmy i napędy są wciąż oryginalne.

Powstał również nowoczesny port (obecnie Port Gliwice), który miał zastąpić dotychczasowy miejski port gliwicki. Budowa nowego kanału trwała nieco ponad 4 lata, co świadczy o rozmachu inwestycji. Uroczyste oddanie do użytku nastąpiło 8 XII 1939 r., kiedy to niemiecka armia szykowała się do kampanii na zachodzie Europy. Uroczystego otwarcia kanału, który w międzyczasie przemianowano na Adolf Hitler Kanal (żeby nikt nie miał wątpliwości, komu Śląsk go zawdzięcza) dokonał nie byle kto, tylko nominalny zastępca führera i szef partyjnej kancelarii Rudolf Hess, który zjawił się w Gliwicach. Na uroczystości otwarcia kanału towarzyszył mu Julius Heinrich Dorpmüller, pełniący w latach 1937-1945 funkcję ministra komunikacji Rzeszy, człowiek, który wcześniej rozbudowywał linie kolei żelaznej w Chinach. Faktem jest, że zarówno w Gliwicach, jak i w pobliskim Bytomiu i Zabrzu, ruch nazistowski, związany wcześniej z SA, był nie-

samowicie silny, więc to wydarzenie miało duże znaczenie i wydźwięk. Główna uroczystość miała miejsce na śluzie w Dzierżnie. Została również wydana wielka uczta na cześć führera, na której obok Hessa biesiadowali architekci budowli i śląska arystokracja przemysłowa. Podobno Hess, przy okazji pobytu w Gliwicach, znalazł się również w okolicach Blachowni, gdzie zainaugurował budowę Kanału Odra-Dunaj wbijając w ziemię pierwszą łopatę (chodzi o planowany kanał o długości 320 km łączący Koźle, poprzez Bramę Morawską, z Wiedniem), przy którym prace, ze względu na działania wojenne przerwano w 1940 roku.

Wracając do budowy kanału, pomimo jego oficjalnego otwarcia w 1939 r., pewne prace budowlane trwały jeszcze w 1940, a podobno nawet w 1941 roku. Trasa nowego kanału zaczynała się od Nowego Portu, usytuowanego w pobliżu Łabęd (niem. Labend – obecnie dzielnica Gliwic), który w latach 1935-1939 został wybudowany wraz z całym kanałem. Stary port gliwicki w tym samym czasie zlikwidowano. Nowy port składał się w dwóch dużych basenów (północnego i południowego) oraz mniejszego basenu pomocniczego. Zamierzano go rozbudować, jednak na przeszkodzie stanął wybuch II wojny światowej. Z tego powodu do jego rozbudowy nigdy nie doszło. Obecnie położony jest przy dzisiejszej ul. Portowej. Był nowocześnie wyposażony i całkowicie spełniał funkcje, które założono przy jego budowie. W 1945 roku zdobyty przez Sowietów w stanie praktycznie nienaruszonym, został w dużej części zdemontowany i wywieziony, a także zdewastowany. Władze polskie musiały wyposażyć go na nowo. Funkcjonuje do dzisiaj. Dowodem na to, że został nowatorsko zaprojektowany jest fakt, iż obecnie uchodzi za najbardziej uniwersalny, a także najnowocześniejszy port śródlądowy na terenie obecnej Polski, ze względu na konstrukcję portowych nabrzeży. Także ze względu na jego układ i wielkość – wraz ze stacją kolejową, ulokowanym tam terminalem celnym (oraz istniejącym od 1989 roku wolnym obszarem celnym), a także wielką bazą magazynową, wieloma parkingami i biurami jest jedną z części spółki „Śląskie Centrum Logistyki S.A.".

Wyruszając z gliwickiego portu, całkiem niedaleko bo już w pobliskich Łabędach, spotkamy pierwszą śluzę. Jest to budowla posiadająca dwie bliźniacze komory, wyrównujące różnicę poziomów wynoszącą w tym miejscu 4,2 metry. Na archiwalnych zdjęciach wyraźnie widać na wszystkich śluzach wielkie, kamienne godło III Rzeszy, nadające im ideowo-propagandowy charakter. Dzisiaj pozostał po nich jedynie ślad, gdyż po wojnie wszystkie usunięto. Co prawda urządzenia techniczne dwóch bliźniaczych komór łabędzkiej śluzy nie wyglądają zachwycająco, ale ona sama i jej otoczenie jest zadbane. Lubię to miejsce, choć Łabędy mają swoją ciemną historię, o której pewnie kiedyś opowiem. Moim ulubionym miejscem jest

Śluza w Sławięcicach. Fot. D. Pietrucha.

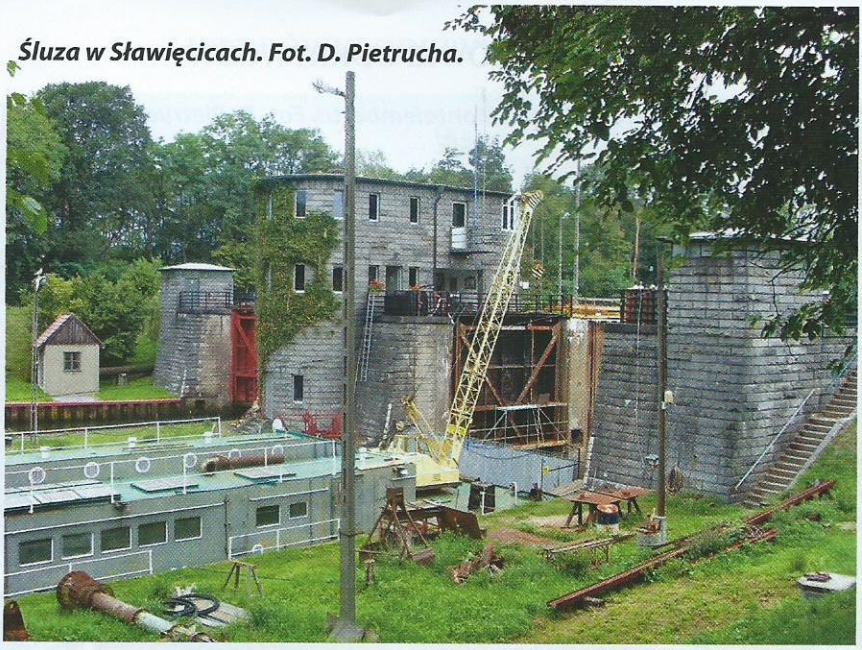

Śluza Nowa Wieś. Fot. D. Pietrucha.

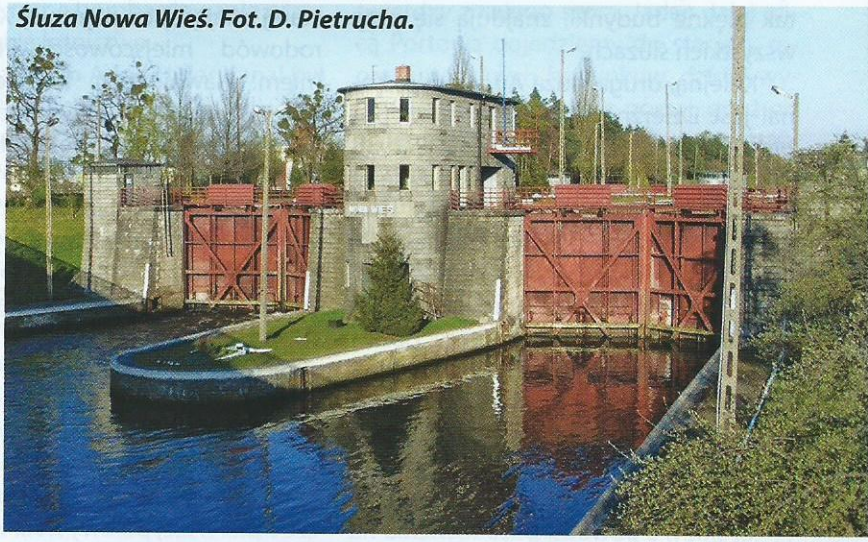

Śluza Nowa Wieś na zdjęciu archiwalnym, www.zegluga.wroclaw.pl

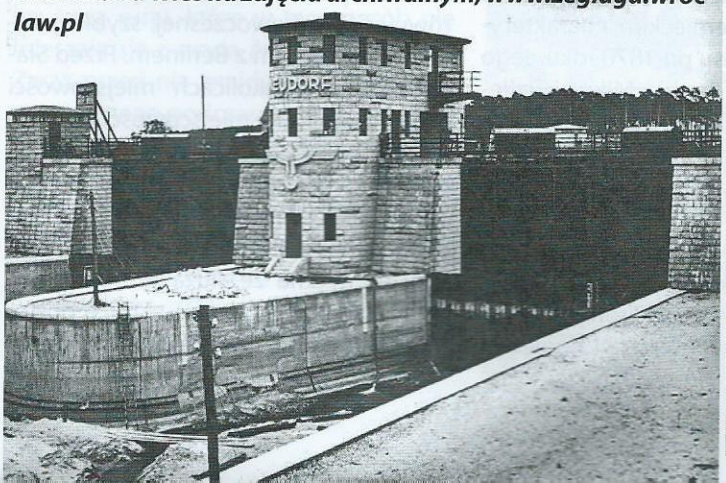

Śluza w Kłodnicy. Fot. D. Pietrucha.

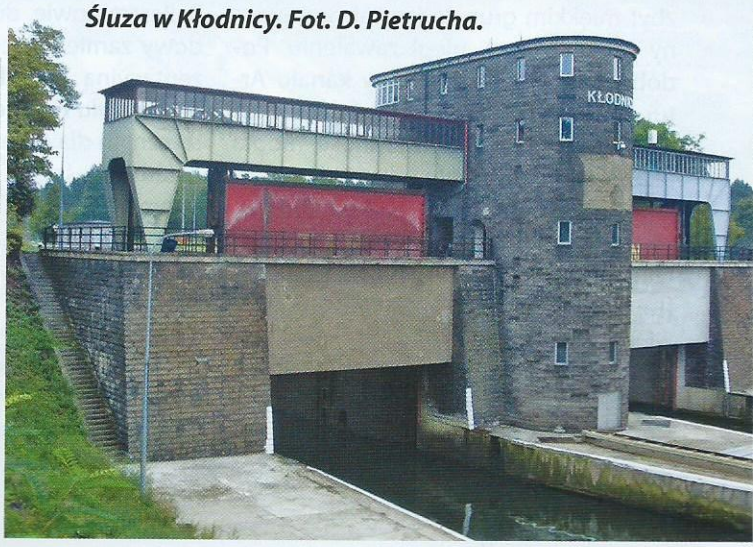

Wieża Montalemberta. Fot. D. Pietrucha.

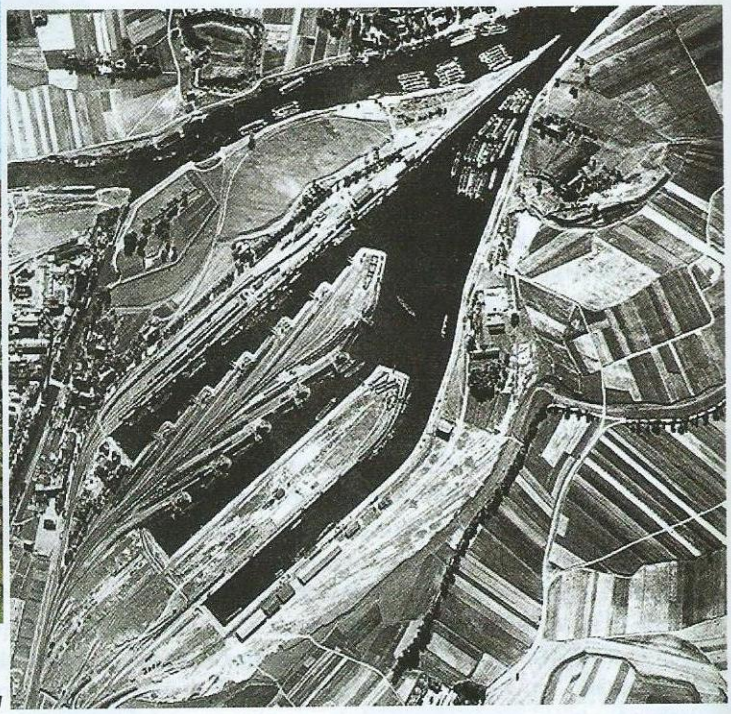

Port w Koźlu podczas wojny, www.zegluga.wroclaw.pl

poniemiecki niewielki budynek, znajdujący się nieopodal śluzy, nad brzegiem kanału, posiadający charakterystyczny, okrągły kształt otworu drzwiowego. W jakiś sposób kojarzy mi się z dzieciństwem, a ich drzwi wyglądają jak dziurki od klucza w bajkowym świecie Alicji z Krainy Czarów. Podobne, choć nie tak piękne budynki, znajdują się przy wszystkich śluzach.

Kolejną, drugą śluzą Adolf Hitler Kanal jest Dzierżno. Położona jest w pobliżu powstałego w latach 1933-1938 poeksploatacyjnego zbiornika Dzierżno Małe (zasilanego wodami rzeki Dramy) w okolicach Pyskowic (niem. Peiskretscham) o powierzchni około 200 ha. Jest to również dwukomorowa, bliźniacza śluza wyrównująca różnicę poziomów wynoszącą w tym miejscu aż 10,3 metrów. To jedna z dwóch największych śluz Adolf Hitler Kanal. Podczas budowy kanału doszło tu do katastrofy budowlanej, gdy peron rozdzielający dwie komory tej śluzy, z powodu posadowienia na zbyt miękkim gruncie (został postawiony na kurzawce), uległ zawaleniu. Podobno główny budowniczy kanału Artur Albrecht przypłacił to zawałem serca i śmiercią. Owa niedogodność mogła okazać się katastrofalna dla budowy całego kanału. Poradzono sobie z kurzawką w ten sposób, że po wykonaniu kolejnego wykopu okładano go słoniną (zatrzymywała wodę), błyskawicznie stawiano szalunek i całość zalewano betonem (wraz ze słoniną!). Na archiwalnych zdjęciach można zobaczyć budowę tej śluzy (słoniny nie widać), a na współczesnych fotografiach ciągle widać sprawne urządzenia mechaniczne.

Poruszając się nadal kanałem w stronę Koźla, znajdziemy się w pobliżu Jeziora Pławniowickiego położonego koło starej, mającej co najmniej XIV-wieczny rodowód miejscowości Pławniowice (niem. Plawniowitz). To nadal powiat gliwicki, ale już gmina Rudziniec. Jezioro Pławniowickie powstało w latach 1974-1976 w wyrobisku po zakończonej eksploatacji piasków podsadzkowych, więc podczas budowy Adolf Hitler Kanal jeszcze go nie było. W samych Pławniowicach znajduje się przepiękny, pochodzący z lat 1882-1885 zespół pałacowo-parkowy, będący własnością potężnego rodu śląskich magnatów przemysłowych, posiadających włoskie korzenie, Ballestremów. W miejscu obecnego pałacu stał inny, pochodzący jeszcze z pierwszej połowy XVIII w., jednakże Ballestremowie dokonali jego przebudowy zamieniając go w piękną i reprezentacyjną rezydencję. Wybudowany jest w stylu neoniemieckim, charakterystycznym dla okresu po 1870 roku. Jego ostatni właściciel, hrabia Mikołaj Ballestrem w styczniu 1945 roku pozostawił go uciekając przed Sowietami. Znalazł się w Dreźnie, gdzie zginął podczas nalotu w dniu 13 II 1945 roku. Pozostawił pałac z pełnym wyposażeniem. Pewnie dlatego pławniowicka rezydencja tak spodobała się dowódcy I Frontu Ukraińskiego, marszałkowi Iwanowi Koniewowi, który najprawdopodobniej w dniu 27 I 1945 roku ulokował się tutaj z całym swoim sztabem. Podejrzewam, że w pałacu opracowano plany kolejnej operacji militarnej znanej jako „operacja dolnośląska". Co prawda Koniew był tu tylko kilka dni, ale po sowieckiej wizycie pozostały jedynie zdewastowane meble i zniszczone wnętrza. Całe cenne wyposażenie, jak chociażby niepowtarzalne kolekcje dzieł sztuki, porcelany, sreber i naczyń zniknęły. Na szczęście pałac, od 1989 r. będący siedzibą Ośrodka Edukacyjno-Formacyjnego Diecezji Gliwickiej, jest gruntownie wyremontowany, co czyni go prawdziwą zabytkową perłą Górnego Śląska.

Następna śluza Adolf Hitler Kanal to śluza Rudzieniec (niem. Rudgershagen), położona nieopodal miejscowości o tej samej nazwie. To kolejna śluza o dwóch bliźniaczych komorach, która wyrównywała różnicę poziomów wynoszącą w tym miejscu 6,25 metrów. W tamtych czasach przez Rudzieniec przebiegała również linia nowoczesnej, szybkiej kolei łączącej Bytom z Berlinem. Przed Sławięcicami, w okolicach miejscowości Niezdrowice, jak i miejscowości Wydzierów, do dzisiaj znajdują się przyczółki mostów zniszczonych jeszcze w 1945 r.

Czwarta śluza znajduje się w Sławięcicach (niem. Ehrenforst). Jest prawie identyczna ze śluzą w Rudzieńcu. Ona również wyrównuje różnice poziomów wynoszącą 6,25 metrów. W pobli-

skiej miejscowości Sławięcice, wsi, która w XIX w. dzięki Kanałowi Kłodnickiemu urosła do rangi poważnego ośrodka przemysłowego, znajdował się przepiękny, pochodzący z XIX w. okazały pałac, który do 1945 r. był w posiadaniu księcia zu Hohenlohe-Oehringen. Niestety, pałac w 1945 r. został poważnie uszkodzony, a w 1948 r., prawdopodobnie celowo podpalony, spłonął i dzisiaj nie ma już po nim śladu (poza okazałym bocznym wejściem). W okalającym pałac parku znajdziemy również tablicę pamiątkową, która może sugerować powojenną działalność Wehrwolfu. Podczas II wojny światowej w tej samej miejscowości znajdował się duży obóz koncentracyjny będący w końcowym okresie wojny filią KL Auschwitz, a same Sławięcice, wraz z pobliską Blachownią (niem. Blechhammer), wchodziły w skład potężnego niemieckiego kompleksu fabryk benzyny syntetycznej, w drugiej połowie 1944 r. bombardowanych przez amerykańskie lotnictwo. Sławięcicki pałac podobno był w tamtych czasach siedzibą lokalnego niemieckiego dowództwa.

Piąta śluza znajduje się w Nowej Wsi (niem. Neudorf). Jest bardzo podobna do śluz w Rudzieńcu i Sławięcicach, dwukomorowa i bliźniacza, wyrównująca różnicę poziomów wynoszącą w tym miejscu 6,2 metrów. Można ją łatwo dostrzec, gdyż stoi obok głównej drogi na Kędzierzyn. Zaraz za nią znajduje się chyba najbardziej niezwykłe miejsce Adolf Hitler Kanal – przepust lewarowy, tzw. „syfon Kłodnicy", czyli bezkolizyjne skrzyżowanie Kanału Gliwickiego i rzeki Kłodnica, która przepływa pod kanałem. To bardzo specyficzna i nowatorska budowla hydrotechniczna, obecnie jedna z dwóch w Polsce. Jej konstrukcja oparta jest na trzech potężnych rurach betonowych (każda o przekroju 3 m kw. i długości około 50 m), które ułożono pod dnem kanału. Przepuszcza się nimi wody rzeki Kłodnica (obecnie tylko jedną, lewą rurą), które w ten sposób nie mieszają się z wodą Adolf Hitler Kanal. Zaraz przed nią znajdują się przyczółki zniszczonego podczas wojny mostu.

Ostatnią, szóstą śluzą jest śluza Kędzierzyn-Kłodnica, położona na terenie miasta Kędzierzyn (niem. Heydebreck). Jest to druga największa śluza na kanale, również bliźniacza i dwukomorowa, wyrównująca różnicę poziomów wynoszącą w tym miejscu 10,4 metrów. Samo

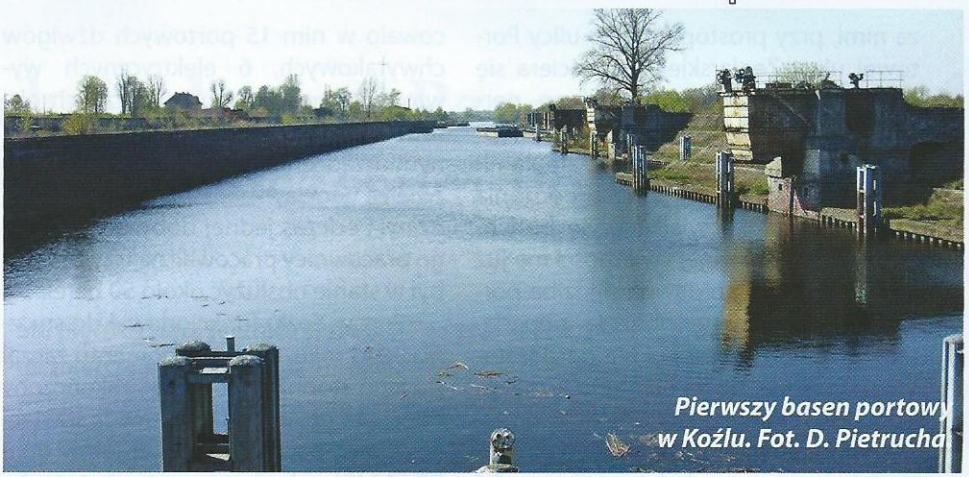

Pierwszy basen portowy w Koźlu. Fot. D. Pietrucha

miasto Kędzierzyn, noszące swoją drugowojenną nazwę od sławnego SA-mana, którego w 1934 r. podczas „nocy długich noży" Hitler wysłał na tamten świat, aby później obłudnie uczynić bohaterem ruchu narodowosocjalistycznego, obecnie połączone jest z sąsiednim Koźlem w jeden ośrodek miejski, choć twór to dziwny i dość nietypowy. Podczas II wojny światowej Kędzierzyn był jednym z najważniejszych elementów niemieckiego kompleksu paliwowego, stąd jego wielokrotne bombardowanie przez amerykańskie lotnictwo.

Zakończeniem Adolf Hitler Kanal był wielki port w Koźlu (niem. Cosel), który budowano etapami od 1891 do 1908 roku. To właśnie tutaj kanał łączy się z Odrą, poniżej wsi Rybarze, na 98 km przebiegu rzeki. Chcąc dojechać do portu (a znaleźć go dzisiaj niełatwo), jadąc od strony Gliwic i zbliżając się do Koźla, przed mostem przebiegającym nad kanałem musimy skręcić w prawo, w ulicę o wszystko mówiącej nazwie Portowa. Najpierw jest to dość stara dzielnica willowa, która z czasem zmienia swoją architekturę. Gdzieś po drodze miniemy resztki starej twierdzy wybudowanej w czasach napoleońskich, gdy Prusy szykowały się do starcia z Francją. To pochodząca z 1805 roku tzw. wieża Montalemberta, której właściwie nigdy nie dokończono. Co prawda nie wygląda ona najlepiej, ale podobno są już plany jej renowacji, czego życzę pruskiej twierdzy z całego serca. Jadąc dalej ulicą Portową dojedziemy do starych, reprezentacyjnych budynków, dzisiaj wyglądających już o wiele gorzej, gdyż od jakiegoś czasu ta dzielnica miasta traktowana jest jako skupisko mieszkań socjalnych. Na jednym z budynków zauważymy fantazyjną kotwicę, na drugim widok żaglowca, pokazanego w międzywojennym 3D, gdzie indziej, poniemieckie napisy informujące o hotelu, restauracji czy portowych urzędach. Zaraz

Port Koźle – stan obecny, www.zjura.sownet.pl

za nimi, przy prostopadłej do ulicy Portowej ulicy Żeglarskiej, rozpościera się gigantyczny obszar kozielskiego portu, teoretycznie ogrodzony i niedostępny. Dziur w płocie nie brakuje, ale do niczego nie namawiam... Zza ogrodzenia zauważymy tylko wielką bryłę budynku, który czasy swojej świetności ma już dawno za sobą. To dawna siedziba portowego kapitanatu, obecnie popadająca w ruinę i chyba już nie do odratowania. Szkoda, bo za niedługo kozielski port przestanie istnieć. Gdzieś w oddali wypatrzymy potężny budynek portowego magazynu, jedyny, który ocalał i jest użytkowany jako zbożowy elewator. Gdy znajdziemy się na terenie portu, natkniemy się na trzy kolejne wielkie baseny portowe, rodzaj wymurowanych nabrzeży z resztkami urządzeń przeładunkowych i zsypowych, które potrafią zachwycić swoim ogromem. Niestety, owe urządzenia ocalały tylko przy pierwszym basenie. Pomiędzy kolejnymi portowymi basenami znajdują się duże przestrzenie, pod którymi przechodzi się długimi, podziemnymi korytarzami. Kiedyś nad nimi biegły dziesiątki linii kolejowych. Kiedyś usiłowałem je policzyć – tak na oko – i dałem sobie spokój. Było ich niesamowicie dużo. Tyle pozostało dzisiaj po porcie kozielskim. O jego rozmiarach niech zaświadczą liczby. Powierzchnia nabrzeży wynosiła 250 tys. m kw., a ich długość 3,2 km, natomiast powierzchnia wód portowych – 140 tys. m kw. Kolejny tak duży port znajdował się dopiero we Wrocławiu (niem. Breslau).

W okresie międzywojennym, gdy Koźle należało do Niemiec, w porcie funkcjonowało blisko 20 firm przewozowych, wspólnie tworzących tzw. Żeglugę Śródlądową (niem. Binnenschiffahrt). Przewożono wszystko co się dało, do maksimum wykorzystując możliwości. To był dobry okres dla Koźla, przynoszący mu wysokie dochody. Port w Koźlu wraz ze swoimi urządzeniami podlegał Niemieckim Kolejom Państwowym, jedynie baseny portowe znajdowały się pod jurysdykcją Zarządu Dróg Wodnych (niem. Wasserstrassenamt). Przed wojną każdego ranka w kozielskim porcie odbywała się giełda towarowo-transportowa, na której zjawiali się przedstawiciele górnośląskich kopalni, kolei, a także towarzystw żeglugowych i zarządu portu. W okresie II wojny światowej port był maksymalnie wykorzystywany. Pracowało w nim 15 portowych dźwigów chwytakowych, 6 elektrycznych wywrotnic wagonowych i 6 ręcznych obrotnic wagonowych. Dzięki tak sprawnym urządzeniom załadunek barki typu „wielka wrocławka" trwał zaledwie 2 godziny. Podczas jednej doby port, którego pracownicy pracowali na trzy zmiany, był w stanie obsłużyć około 50 barek.

Port w Koźlu funkcjonował do stycznia 1945 roku. Od tego momentu zaczął się jego stopniowy upadek, zakończony obecnym nokautem. Co prawda sowieckie szpice pojawiły się tutaj już w dniu 21 I 1945 r., ale port wraz z miastem został zdobyty dopiero w połowie marca 1945 roku. Rosjanie przejęli port nieuszkodzony, z pełną jego infrastrukturą, co po swojemu uszanowali, błyskawicznie demontując urządzenia i wywożąc je do swojego kraju (wywieźli prawie 90% portowych urządzeń). Później w każdym porcie odrzańskim i w każdej stoczni utworzyli swoje Komendantury Wojenne, nadzorowane przez Narodowy Komisariat Floty Rzecznej. Jakoś nie mieli zamiaru się stąd wynosić. W latach 1945-46 Odrą i Kanałem Gliwickim spławiano całe rozmontowane fabryki z miast Pomorza Zachodniego, Ziemi Lubuskiej i Dolnego Śląska. Następnie pakowano urządzenia do pociągów i ze Śląska wysyłano na Wschód. Rabunek dotknął też samego kanału. Rosjanie ze szlaku wodnego Gliwice-Szczecin wywieźli około 2 tys. jednostek pływających różnej wielkości, a także część infrastruktury kanału. Pozostały jedynie opustoszałe nabrzeża i stare, częściowo zatopione barki oraz holowniki pamiętające jeszcze XIX wiek. Jeszcze w kwietniu 1945 r. niemieckich jeńców zapędzono do remontowania uszkodzonych wałów ochronnych na rzece Odrze, a w czerwcu tego roku Sowieci rozkazali stawić się do pracy wszystkim osobom, które pracowały w porcie podczas wojny. Nieco wcześniej, 22 maja przekazali polskiej administracji część obiektów i urządzeń portowych w Koźlu (podobnie jak w Łabędach i Wrocławiu), nadal jednak zatrzymali kontrolę nad samą żeglugą. Polacy utworzyli własne zarządy wodne na Odrze, a także Państwowy Zarząd Wodny w Koźlu, współrządząc z Sowietami. Powstał Komisariat Żeglugi na Odrze i już w lipcu 1945 r. żegluga po kanale i szlakiem Odry ruszyła pełną parą. 22 VII 1945 r. z kozielskiego portu w próbny rejs wypłynęły dwa holowniki („Opole" i „Bolesław Chrobry"). W 1946 r. holownik „Mickiewicz" dotarł z Koźla do Szczecina. Dużo zawdzięczano samym mieszkańcom Koźla, którzy wcześniej dopilnowali, aby urządzenia przeładunkowe, a także urządzenia jazów i śluz nie zostały do końca rozszabrowane. W 1946 r. port w Koźlu nie osiągnął nawet 10% przeładunków z 1940 roku. 2 V 1946 r. komitet Ekonomiczny Rady Ministrów powołał do życia Polską Żeglugę na Odrze, a 14 czerwca władze sowieckie przekazały polskiej administracji Kanał Gliwicki. Wkrótce też udało się odzyskać stocznie w pobliskich Rogach i w Januszkowicach. W 1947 roku port w Koźlu został macierzystym portem wszystkich jednostek pływających po Odrze. Pojawił się jednak problem taboru pływającego, gdyż większość barek była zatopiona bądź mocno uszkodzona. Podnoszono je z dna rzeki i remontowano już na wodzie. Powodowało to wiele trudności, z którymi jednak sobie radzono. Kolejnym problemem było usunięcie z rzeki resztek mostów (podczas wojny wszystkie mosty na Odrze zostały zniszczone), a także wraków statków (około 760 barek, 54 holowniki i ponad 90 statków zabezpieczenia technicznego). Tylko w okolicach Koźla podniesiono z dna ponad 160 wraków barek, 12 holowników i jedną pogłębiarkę. Brzegi kanału są na całej długości wzmocniono kamieniami. Wygląda (a raczej wyglądało) to ładnie i estetycznie. Jednakże przepływająca w nim woda jest mocno zanieczyszczona i nie nadaje się do kąpieli, a już na pewno do spożycia. Pewnie dlatego sporo ludzi, którzy mieszkają na Górnym Śląsku przejeżdża obok niego i nawet nie ma pojęcia o jego istnieniu. Pamiętajmy jednak, że Adolf Hitler Kanał doprowadzony do Kędzierzyna, dalej poprzez Odrę miał się połączyć z budowanym od 1939 roku, prowadzącym do Wiednia kanałem Odra-Dunaj. Zadziwia mnie ten rozmach...

Literatura:
1. B. Jastrzębski „Turystyczne szlaki wodne Polski", Wydawnictwo „Sport i Turystyka", Warszawa 1960
2. R. Grunberger „Historia społeczna Trzeciej Rzeszy", PIW, Warszawa 1987

Dariusz Pietrucha
Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

Powstanie Styczniowe 1863-1864

Ostatnia insurekcja dawnej Rzeczypospolitej – pierwsza wojna nowoczesnej Polski

TEKST: PIOTR GALIK

Sto pięćdziesiąta rocznica wybuchu Powstania Styczniowego, najdłuższego i najtragiczniejszego wystąpienia zbrojnego przeciwko rosyjskiemu zaborcy, skłania do refleksji, przywołując odwieczne dylematy Polaków. Pytania, na które nie było i dotąd nie ma jednoznacznej, uniwersalnej odpowiedzi. Ile można poświęcić dla wolności? Z czego zrezygnować, by przetrwać? Gdzie leży granica ustępstw wobec wrogiej władzy? I fundamentalną kwestię naszej historii ostatnich wieków, streszczoną zwięzłymi słowami Napoleona Bonaparte: „czy Polacy są godni być narodem?".

Na te pytania musieli znaleźć odpowiedzi nasi rodacy półtora wieku temu, podobne rozterki trapiły aktywną politycznie część społeczeństwa u progu niepodległości i podczas wojen światowych. Nie były one obce „pokoleniu Solidarności". Dziedzictwo powstańczej tradycji kształtowało naszą narodową świadomość i znacznie przyczyniło się do tego, że Polska – wbrew wszelkim okolicznościom – powróciła na mapę polityczną Europy.

Znam tylko dwa typy Polaków: tych, którzy się zbuntowali przeciwko mnie, i tych którzy pozostali mi wierni – jednych nienawidzę, drugimi gardzę. (Mikołaj I Romanow)

Królestwo Polskie po stłumieniu powstania 1830-1831 roku objęte zostało szeregiem represji. Nie ograniczyły się one do uczestników walki z Rosjanami, lecz powszechnie stosowano zasadę zbiorowej odpowiedzialności. Konstytucję zastąpił akt niższej rangi, nazwany Statutem Organicznym. Stopniowo likwidacji ulegały polskie instytucje życia publicznego: sejm, samorząd, szkoły i uczelnie, a język rosyjski wprowadzono jako urzędowy. Polskie miary, wagi i system monetarny zastąpiły odpowiedniki rosyjskie. Symbolem nowego kursu Imperium wobec Lachów stała się budowa Cytadeli Aleksandrowskiej, wielkiego kompleksu forteczno-więziennego w Warszawie, za pieniądze skonfiskowane („pożyczone bezzwrotnie") z Banku Polskiego i budżetu miasta. Setki dział ustawionych w fortach cytadeli mogły bez trudu obrócić w gruzy nadwiślańską metropolię. Rządy cara Mikołaja I trafnie charakteryzował nadany mu przez liberalną opozycję rosyjską przydomek „Pałkin". Dopiero śmierć tego władcy (1855) oraz militarna i polityczna porażka Rosji podczas wojny krymskiej (1853-1856), kiedy to przeciw Petersburgowi zwróciły się mocarstwa Zachodu – Francja i Wielka Brytania, sprawiły, że wśród patriotycznie nastawionych Polaków odżyły nadzieje na poprawę sytuacji w kraju. Niestety, syn i następca Mikołaja „Pałkina", Aleksander II nie pozostawił złudzeń delegacji polskiej, mówiąc otwarcie: *„Szczęście Polski zależy od jej całkowitego złączenia się z ludem mojego cesarstwa. Żadnych złudzeń, panowie, żadnych złudzeń!"*. Tymczasem w Królestwie (już tylko formalnie) Polskim dorastało pokolenie, które nie doświadczyło klęski 1831 roku. Warszawa stała się areną wielkich demonstracji patriotycznych, związanych z rocznicami powstańczymi. Represje władz były surowe, padli zabici i ranni, ale nawet masakra w kwietniu 1861 roku, kiedy od kul wojska rosyjskiego zginęło blisko 100 osób, nie zapobiegła dalszym protestom. Wprowadzono więc stan wojenny, oznaczający drakońskie kary za udział w pochodach, procesjach czy nabożeństwach patriotycznych. Okupanci nie uszanowali nawet odwiecznego w cywilizowanym świecie prawa eksterytorialności świątyń. Na rozkaz generała Aleksandra Daniłowicza Gerstenzweiga żołnierze wdzierali się do kościołów, by aresztować *„podejrzanych o patriotyzm"*. W warszawskiej katedrze ujęto blisko 2 tys. takich „zbrodniarzy". W dowód protestu hierarchia katolicka ogłosiła zamknięcie kościołów stolicy. W geście poparcia i solidarności rabini warszawscy zamknęli synagogi. Bierny opór mieszkańców Królestwa rozjuszył zaborców. Szaleństwo władzy uległo wówczas nasileniu, które prowadziło do

absurdów: stopniowo odrębnymi rozporządzeniami zabraniano śpiewania pieśni religijnych, noszenia czarnej – żałobnej – garderoby oraz szycia i sprzedaży ubrań w kolorze amarantowym (polska barwa narodowa)... Mężczyznom groził areszt za posiadanie paska do spodni, a kobietom – za spinanie fryzury szpilkami (cóż za śmiercionośna broń!). Kolejni rosyjscy namiestnicy, generałowie Nikołaj Onufrijewicz Suchozanet, Karl Karłowicz Lambert i Aleksandr Nikołajewicz von Lüders, sprawiali wrażenie, że testują wytrzymałość polskiego społeczeństwa – jak mocno można „dokręcić śrubę", zanim w końcu coś pęknie? Nie trzeba było czekać na to zbyt długo, patriotyczne organizacje spiskowe nie mogły przyglądać się bezczynnie krwawemu karnawałowi azjatyckiej przemocy na ulicach Warszawy...

Przez Plac Saski czerkieskie sotnie pędzą, a przed zamkiem sto ognisk dzisiaj płonie. Jak pan robi to, Wasza Ekscelencjo, że po każdej nienawidzą Cię stronie? (Jerzy Czech, Margrabia Wielopolski)

Czołowy wówczas polityk „nurtu realistycznego", Aleksander hrabia Wielopolski herbu Starykoń, margrabia Gonzaga-Myszkowski, zwolennik ugody z Rosją i nieprzejednany wróg koncepcji powstańczych, był postacią, na której skupiała się niechęć i nieufność zarówno Polaków, jak i Rosjan. Za młodu poseł na sejm za czasów Powstania Listopadowego, był typowym przykładem opozycjonisty, który z wiekiem staje się gorliwym obrońcą zwalczanego niegdyś reżimu. Pełniąc funkcję dyrektora Komisji Wyznań i Oświecenia Publicznego w rządzie Królestwa Polskiego, Wielopolski przyczynił się do przelewu krwi na ulicach stolicy, gdyż to za jego sprawą wprowadzono „ustawę o zbiegowiskach" – przepisy ułatwiające użycie broni palnej przeciw demonstrantom. Zaborcy z kolei podejrzewali, że ich polski współpracownik nie jest dostatecznie lojalny, gdyż ośmielił się zastępować rosyjskich urzędników w Królestwie swoimi rodakami, zakładał polskie szkoły, a ponadto domagał się równouprawnienia Żydów i uwłaszczenia chłopów, traktowanych w Rosji jak niewolnicy. Sam Wielopolski nie dawał szans, by go lubić, przeciwnie, wydawał się czerpać niezdrową satysfakcję z bycia znienawidzonym. Do innych odnosił się arogancko i nieuprzejmie, dał się poznać jako zaciekły pieniacz sądowy. Wiele tłumaczą jego słynne wypowiedzi: *„Dla Polaków można zrobić wszystko, z Polakami nic"*, czy: *„Och, musiałem jakieś głupstwo zrobić, kiedy mnie tak ogół chwali"*. Jego syn, Zygmunt, pisał otwarcie: *„Opinia nie ma żadnego znaczenia ani dla mnie, ani dla ojca; owszem, mój ojciec jest tego usposobienia, że gotów umyślnie postępować inaczej aniżeli chce opinia"*. To upojenie przekonaniem o własnej doskonałości i lekceważenie „tępego motłochu", najgorsze z błędów jakie może popełnić polityk, okazały się zgubne. Zgubne nawet nie tyle dla samego Wielopolskiego, który zaskakującym zbiegiem okoliczności uniknął śmierci z rąk zamachowców, którzy w sierpniu 1862 r. dwukrotnie usiłowali go zgładzić. Niedoszli zabójcy arystokraty, Ludwik Ryll i Jan Rzońca, zostali powieszeni na stokach cytadeli. Wielopolski, pełniący wówczas funkcję premiera czyli oficjalnie Naczelnika Rządu Cywilnego Królestwa Polskiego, zapiekł się w nienawiści do rodaków tak krańcowo, że usiłując zapobiec powstaniu, sprowokował jego wybuch. Wiedząc o masowym napływie młodych patriotów do radykalnych organizacji spiskowych, skłonił swoich rosyjskich zwierzchników do ogłoszenia w styczniu 1863 roku nadzwyczajnego poboru do wojska. W przeciwieństwie do standardowych procedur przewidujących losowanie rekrutów, tym razem pobór miał być imienny, według list sporządzonych przez Zygmunta Wielopolskiego (syna Aleksandra) i szefa tajnej policji Siergieja Siergiejewicza Muchanowa. Branka, jak nazwano tę operację, niewątpliwie mogła dostarczyć Wielopolskiemu perwersyjnej uciechy – oto ci „mąciciele i zbrodniarze", którzy chcieli zaszkodzić JEGO planom wobec Polski nie tylko pójdą służyć Rosji, ale do tego będą musieli zwalczać im podobnych „złoczyńców" na Kaukazie i w Azji Środkowej... Tymczasem ci niedoszli janczarzy caratu wybrali walkę z zaborcami. Prawda, że beznadziejną, bo bez broni, wyszkolenia, dowództwa i przy miażdżącej przewadze wroga. Ale jeśli mieli zginąć na krańcach Imperium za *„Jewo Wieliczestwo Gosudara"* (cara), to czyż nie lepiej było oddać życie na ojczystej ziemi walcząc o jej wolność?

Współcześni krytycy tego aktu desperacji – wymuszonego przecież przez kolaboracyjny rząd „polski" – uważają, że to kolejny dowód na mityczną polską nienormalność. Zatem wypada przypomnieć słowa irlandzkiej pieśni „Foggy Dew" z czasów Powstania Wielkanocnego w 1916 roku: *„Dumnie wywiesili wojenną flagę na dublińskim zamku. Lepiej ginąć pod irlandzkim niebem, niż nad Suvlą czy Sud el Bar"* – poborowych z Irlandii wysłano do krwawej operacji desantowej w Dardanelach, gdzie w interesie swoich zaborców walczyli przeciw Turcji. Czy zatem Irlandczycy to kolejny nienormalny naród? A podobnych przykładów z wszystkich stron świata można by podać wiele...

Obrażony na niewdzięczne społeczeństwo i swoich rosyjskich protektorów margrabia Wielopolski, przegrawszy wszystko, co było do przegrania, opuścił Polskę i osiadł w Niemczech, gdzie wiódł dostatnie życie i zmarł kilkanaście lat później.

Obok Orła znak Pogoni, poszli nasi w bój bez broni. (Wincenty Pol „W krwawym polu")

W obliczu narastających represji, patriotyczne kręgi polskiego społeczeństwa stanęły wobec konieczności wyboru metod walki o poprawę sytuacji w kraju. Stronnictwo umiarkowane („biali") odrzucało walkę zbrojną, jasno widząc brak szans na zwycięstwo. Jednocześnie potępiało bezmyślną uległość, a nawet gorliwość w służbie Rosji „a la margrabia". Program tego nurtu obejmował odzyskanie stanu pierwotnego, za jaki uznano status Królestwa Polskiego z 1815 r., powiększonego o Kresy (Ziemie Zabrane) na drodze negocjacji i ugody z Petersburgiem dzięki interwencji dyplomatycznej mocarstw Europy Zachodniej. Rzecz jednak w tym, że do tanga trzeba dwojga – Aleksander II nie uważał za konieczne ustępować tam, gdzie nie musiał, a propolskie lobby w Paryżu i Londynie okazało się zbyt słabe, by skłonić tamtejsze rządy to bardziej zdecydowanych działań. Rozegrał się zatem odwieczny dramat zwolenników rozwiązań umiarkowanych. Zlekceważeni przez Rosjan, opuszczeni przez sojuszników i odrzuceni przez rodaków, utracili realne wpływy na przebieg wydarzeń. Radykalnie nastawieni spiskowcy ("czerwoni") wierzyli natomiast w wy-

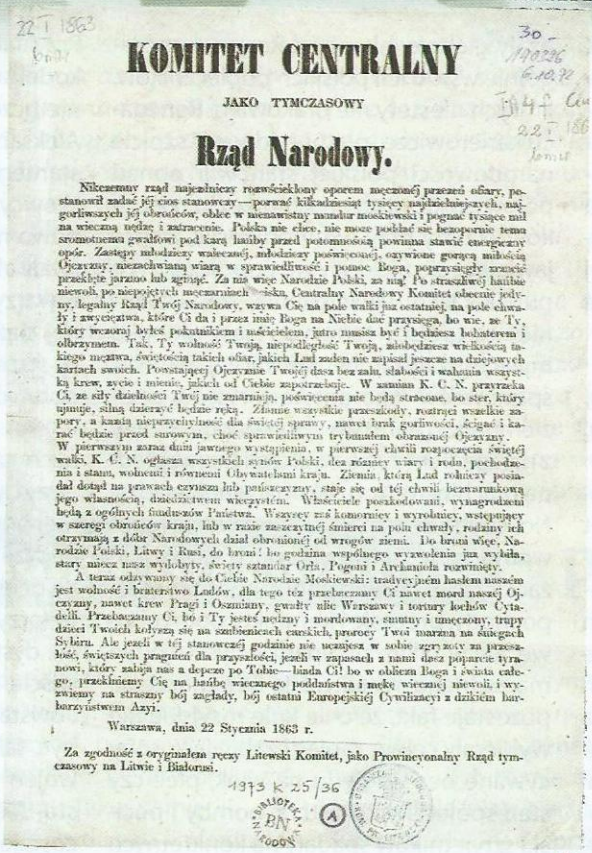

KOMITET CENTRALNY

JAKO TYMCZASOWY

Rząd Narodowy.

Nikczemny rząd najeźdźczy rozwścieczony oporem męczeńskiej prawie ofiary, postanowił zadać jej cios stanowczy — porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jej obrońców, oddać w nienawistny mundur moskiewski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatracenie. Polska nie chce, nie może poddać się bezoporne tema sromotnemu gwałtowi pod karą hańby przed potomnością powinna stawić energiczny opór. Zastępy młodzieży walczącej, młodzieży poświęconej, ożywione gorącą miłością Ojczyzny, niezachwianą wiarą w sprawiedliwość i pomoc Boga, poprzysięgłe zrzucić przeklęte jarzmo lub zginąć. Za nas więc Narodzie Polski, za nią! Po straszliwej hańbie niewoli, po niesłychanych męczarniach — Centralny Narodowy Komitet obecnie jedyny, legalny Rząd Twój Narodowy, wzywa Cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięstwa, które Ci da i przez którą Bóg da na Niebie dar przyszły, bo nie, że Ty, który wczoraj byłeś poddanikiem i nieścielem, jutro musisz być i bezbożnym bohaterem i olbrzymem. Tak, Ty wolność Twoją, niepodległość Twoją, ukochaniem wielkością takiego mężnia, świętością takich ofiar, jakich Lud żaden nie zapisał jeszcze na dziejowych kartach swoich. Powstającej Ojczyźnie Twojej dasz bez żalu, słabości i wahania wszystką krew, życie i mienie, jakich od Ciebie zaporządzenie. W imieniu K. C. N. przyrzeka Ci, że siły dzielności Twej nie zmarnują, poświęcenia nie będą stracone, bo ster, który ujmuje, silną dzierżyć będzie rękę. Złamie wszystkie przeszkody, rozrąci wszelkie zapory, a kamią nieprzyjaciołmość dla świętej sprawy, nawet brak gorliwości, ścigać i karać będzie przed surowym, choć sprawiedliwym trybunałem obrazicieli Ojczyzny.

W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia, w pierwszej chwili rozpoczęcia świętej walki, K. C. N. ogłasza wszystkich synów Polski, dla różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnemi i równemi Obywatelami kraju. Ziemia, którą Lud rolnicy posiadał dotąd na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wieczystem. Właściciele poskodowani, wynagrodzeni będą z ogólnych funduszów Państwa. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy, wstępujący w szeregi obrońców kraju, lub w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały, rodziny ich otrzymają z dóbr Narodowych dział obronionej od wrogów ziemi. Do broni więc, Narodzie Polski, Litwy i Rusi, do broni! bo godzina wspólnego wyzwolenia już wybiła, stary miecz nasz wyłobyty, święty sztandar Orła, Pogoni i Archanioła rozwinięty.

A teraz odzywamy się do Ciebie Narodzie Moskiewski: tradycyjnem hasłem naszem jest wolność i braterstwo Ludów, dla tego też przebaczamy Ci nawet mord naszej Ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów Cytadeli. Przebaczamy Ci, bo i Ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony, trupy dzieci Twoich kołyszą się na szubienicach carskich, proroctwy Twoi marzną na śniegach Sybiru. Ale jeżeli w tej stanowczej godzinie nie uczujesz w sobie zgryzoty za przeszłość, świętszych pragnień dla przyszłości, jeżeli w zapasach z nami dasz poparcie tyranowi, który zabija nas a depcze po tobie, biada Ci, bo w obliczu Boga i świata całego przeklniemy Cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli, i wyzwiemy na straszny bój zagłady, bój ostatni Europejskiej Cywilizacyi z dzikim barbarzyństwem Azyi.

Warszawa, dnia 22 Stycznia 1863 r.

Za zgodność z oryginałem ręczy Litewski Komitet, jako Prowincyonalny Rząd tymczasowy na Litwie i Białorusi.

1973 k 25/36

BIBLIOTEKA BN

Manifest powstańczego Rządu Narodowego z 22 stycznia 1863 roku.

stąpienie zbrojne, powiązane z natychmiastowym uwłaszczeniem chłopów, których masowy udział w walce miał zapewnić zwycięstwo powstania. Mimo utopijnego, romantyczno-naiwnego programu, to właśnie „czerwoni" dzierżyli wówczas rząd dusz, zdobywając oparcie szczególnie wśród młodzieży. Konspiracyjny Tymczasowy Rząd Narodowy, polityczna reprezentacja „czerwonych", wydał 22 I 1863 roku manifest wzywający do powstania przeciw Rosji narody Polski, Litwy i Rusi – a zatem wszystkich mieszkańców obszaru przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Dokument ten zawiera także znamienny apel do narodu rosyjskiego: *„A teraz odzywamy się do Ciebie, Narodzie Moskiewski: tradycyjnym hasłem naszym jest wolność i braterstwo narodów, dlatego przebaczamy Ci nawet mord naszej Ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów Cytadeli. Przebaczamy Ci, bo i ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony, trupy dzieci Twoich kołyszą się na szubienicach carskich, prorocy Twoi marzną na śniegach Sybiru. Ale jeżeli w tej stanowczej godzinie nie uczujesz w sobie zgryzoty za przeszłość, świętszych pragnień dla przyszłości, jeżeli w zapasach z nami dasz poparcie tyranowi, który zabija nas a depcze po tobie, biada Ci, bo w obliczu Boga i świata całego przeklniemy Cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli i wyzwiemy na straszny bój zagłady, bój ostatni Europejskiej Cywilizacji z dzikim barbarzyństwem Azji"*. Pewne stwierdzenia mają charakter ponadczasowy. Odległym echem powstańczego manifestu było *„Posłanie Pierwszego Zjazdu Delegatów NSZZ »Solidarność« do ludzi pracy Europy Wschodniej"* z 8 września 1981 roku. Wtedy, zimą 1863 roku, powstanie objęło nie tylko Królestwo, a więc tereny o zdecydowanej przewadze ludności polskiej. Zew podjęły Kresy, choć Polacy stanowili tam mniejszość. Mniejszość znaczącą – elitę społeczną. Polski charakter miały wówczas nie tylko Wilno, Kowno czy Grodno, ale także Kijów, w którego życiu naukowym, społecznym i towarzyskim wielką rolę odgrywały środowiska polskie. Szlachta kresowa stanęła wobec trudnego wyboru. Zrezygnować z korzyści tradycyjnego ustroju i uwłaszczyć ruskich czy litewskich chłopów by pozyskać ich poparcie dla powstania? A może zachować lojalność z nadzieją na utrzymanie odwiecznych przywilejów dworu? Jak to zwykle bywa, sytuacja przyniosła rozstrzygnięcie, które zaskoczyło wszystkich. Z początkiem lutego 1863 roku „czerwoni" proklamowali powołanie Komitetu Prowincjonalnego Litewskiego, który ogłosił uwłaszczenie chłopów bez obowiązku wykupu ziemi od dziedziców. Wkrótce do szlacheckich „partii powstańczych", jak nazywano oddziały partyzanckie, zaczęli dołączać włościanie, zainteresowani realizacją tak atrakcyjnego dla nich programu. Petersburskie kręgi władzy zareagowały w tej sytuacji, przyznać trzeba, optymalnie. Ogłoszono carski ukaz (dekret) znoszący powinności wsi wobec szlachty. W efekcie pojawiły się chłopskie oddziały, atakujące powstańców i wydające ujętych w ręce Rosjan. Ruch ten szczególnie silny był na Ukrainie, gdzie żywa była tradycja pogromów polskiej szlachty i żydowskiego mieszczaństwa za Chmielnickiego (XVII w.) i Gonty (XVIII w.). Walki partyzanckie trwały – szczególnie na lesistej Litwie – jeszcze przez wiele miesięcy, aż do schyłku 1864 roku. Rozszerzeniu się powstania zapobiegła brutalna akcja pacyfikacyjna, którą kierował niesławnej pamięci generał-gubernator wileński Michaił Nikołajewicz Murawjow, nazwany Wieszatielem. W młodości związany ze spiskiem Dekabrystów, podczas Powstania Styczniowego demonstrował swoją lojalność wobec cara zbrodniczą nadgorliwością. Podobno zapytany, czy Polacy mogą być dla Rosji pożyteczni, odparł: *„Tak, powieszeni"*. Słowa te zamieniał w czyn, nieraz osobiście asystując przy publicznych egzekucjach osób ujętych „za zdradę i bandytyzm". Hojne szafowanie wyrokami śmierci było powszechne nie tylko na Ziemiach Zabranych. Niewiele miłosierdzia okazywano powstańcom także w Królestwie. Powstańczy romantyzm zderzał się z okrutnymi, bezlitosnymi realiami wojny partyzanckiej. W trakcie ponad 1200 starć, potyczek i bitew poległo co najmniej 30 tys. powstańców. Nieznana, ale zapewne nie mniejsza była liczba zmarłych z ran i chorób. Ci, którzy zginęli w boju czy zmarli wśród swoich, mieli właściwie więcej szczęścia od towarzyszy broni, którzy wpadli w ręce wroga z bronią w ręku. Czekał ich sąd doraźny i stryczek lub salwa plutonu egzekucyjnego. Kilkadziesiąt tysięcy osób zesłano na Syberię, wiele rodzin szlacheckich utraciło majątki i dwory skonfiskowane przez rosyjski rząd. Trauma styczniowa odcisnęła się wyraźnym piętnem na życiu dwóch pokoleń Polaków, co doskonale odzwierciedlają dzieła literac-

Herb Rzeczypospolitej z okresu powstańczej konspiracji. Podział tarczy na trzy pola, zawierającej godła Korony, Litwy i Rusi (Archanioł) jest symbolem federacyjnego, ponadnarodowego, wspólnego państwa mieszkańców Królestwa Polskiego i Ziem Zabranych.

kie i plastyczne z drugiej połowy XIX wieku. Ale pamięć o krzywdach ojców wydała pokolenie mścicieli, którzy wywalczyli Polsce niepodległość. Do tej generacji należał także Józef Piłsudski, który już jako naczelny wódz odrodzonego Wojska Polskiego nie zapomniał o sędziwych weteranach powstania, w wolnej Ojczyźnie otoczonych opieką państwa i szacunkiem społeczeństwa.

Zemsta, zemsta, zemsta na wroga, z Bogiem – lub choćby mimo Boga. (Adam Mickiewicz, Dziady cz. III)

Niezwykle istotnym aspektem dziejów Powstania Styczniowego, a nawet okresu przed jego wybuchem, jest powołanie do życia struktur podziemnego państwa polskiego. W warunkach skrajnej asymetrii konfliktu (Rosjanie dysponowali przewagą na wszystkich płaszczyznach konfrontacji) środowiska patriotyczne zmuszone były do działania w konspiracji. W roku 1862 powstał tajny Komitet Centralny Narodowy, czyli podziemny rząd, który przygotowywał powstanie, a w tym celu nałożył na rodaków podatek, egzekwowany przez konspiracyjną policję narodową. Powołano także tajny oddział do zadań specjalnych, nazwany nieoficjalnie, ale trafnie sztyletnikami. Zadania Sekcji Żandarmerii, bo tak brzmiała oficjalna nazwa tej formacji, miały charakter zarówno defensywny (ochrona struktur i szefostwa konspiracji), jak i ofensywny (likwidacja szpiegów, zdrajców, kolaborantów oraz egzekucja wyroków konspiracyjnych sądów). Był to więc *de facto* podziemny kontrwywiad. Gdy po wybuchu powstania KCN zmienił nazwę na Rząd Narodowy, organizacja sztyletników przemianowana została na Straż Bezpieczeństwa. Szefem sztyletników został Ignacy Chmieleński. W latach 1862-1864 w wyniku ich akcji bojowych śmierć poniosło blisko 1000 osób. Egzekutorzy często korzystali z przebrania, zbliżając się do nie podejrzewających niczego skazańców w szatach kobiecych czy w mundurach rosyjskich. Ich zuchwałe wyczyny wzbudzały głęboki lęk wśród Rosjan, a szczególnie wśród ich polskich poplecników, których niestety nie brakowało. Renegaci, karierowicze, płatni i „ideowi" szpicle narodowości polskiej stanowili ponad połowę osób straconych przez sztyletników. Należy przy tym podkreślić, że pojawiające się niekiedy we współczesnych publikacjach stwierdzenia, że sztyletnicy to „polscy terroryści" jest głęboko mylące. Należałoby już raczej określić spiskowców jako antyterrorystów podziemnego państwa polskiego, którzy z narażeniem życia zwalczali bezwzględną machinę terroru okupacyjnej władzy. No, chyba że uznaje się „legalność i prawomocność" salw żołdackich i szarż kozackich na „nielegalne i buntownicze" pochody, procesje i kondukty pogrzebowe, ale w takim przypadku dyskusja nie ma żadnego sensu… Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że o ile kule rosyjskie nie wybierały celów, raniąc i zabijając osoby cywilne bez względu na wiek, płeć czy stan społeczny, to ostrza, bomby i pociski sztyletników spadały na konkretnych winowajców, a i tych czasami oszczędzano, by nie ucierpiały osoby niewinne.

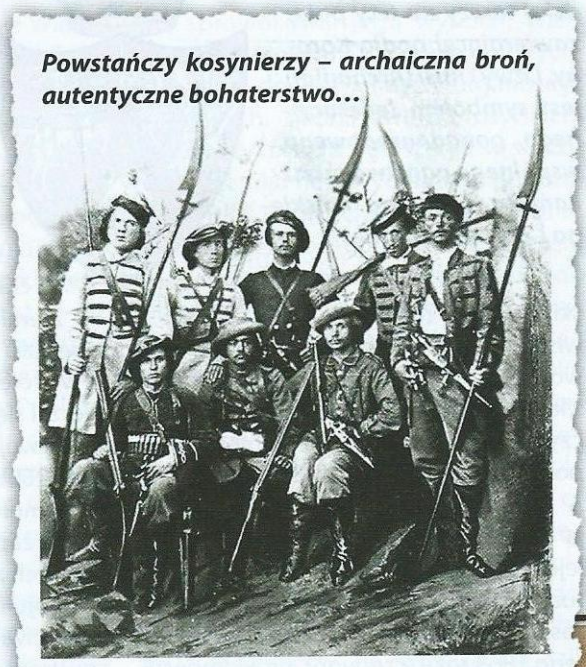

Powstańczy kosynierzy – archaiczna broń, autentyczne bohaterstwo…

Przykładem stosowania tradycyjnego kodeksu etycznego może być zachowanie uczestników zamachu na brata cara Aleksandra II, Wielkiego Księcia Konstantego Nikołajewicza Romanowa. Spiskowcy, którzy byli gotowi zaatakować nowo mianowanego namiestnika, przerwali akcję, gdyż ich niedoszłej ofierze towarzyszyła małżonka w zaawansowanej ciąży. Oficerowie rosyjscy nakazujący strzelać w cywilny tłum, nie mieli podobnych rozterek…

Po 150 latach od tamtych tragicznych czasów trudno oprzeć się pytaniu – czy było warto? Czy nie byłoby korzystniej powstrzymać się od „nierozsądnych decyzji" i wybrać inną, pokojową ścieżkę dziejów? Cóż, stawianie takich pytań to przywilej wynikający z upływu czasu, dystansu i chłodnej kalkulacji. Oczywiście, z racjonalnego punktu widzenia Powstania Styczniowego nie powinno być, tak jak nie powinno być rozbiorów, wojen światowych, Katynia i Holokaustu. Ale faktów zmienić nie można. Pozostaje nam prawo, by wyciągać wnioski z historii i czcić naszych bohaterów, bo to także dzięki ich krwi mówimy dziś po polsku i żyjemy w niepodległej Rzeczypospolitej…

Literatura:
1. R. Górski „Polscy zamachowcy", Kraków 2008
2. Z. Fras, W. Suleja „Poczet agentów polskich", Wrocław-Warszawa-Kraków 1995
3. S. Kieniewicz, A. Zahorski, Wł. Zajewski „Trzy powstania narodowe: kościuszkowskie, listopadowe i styczniowe", Warszawa 1994
4. „Powstanie styczniowe 1863-1865. Wrzenie, Bój. Europa. Wizje", Warszawa 1990

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy" i konsultant z dziedziny wojskowości. Kolekcjoner-falerysta.

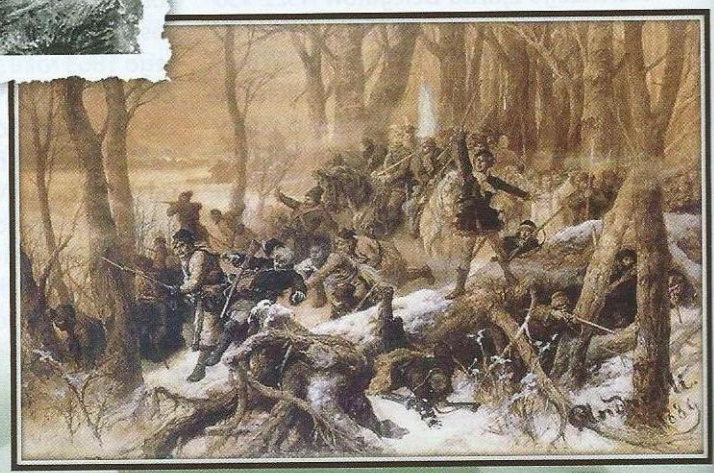

Walki trwały najdłużej w puszczach litewskich i kniejach Podlasia, ale w grudniu 1864 r. umilkły ostatnie powstańcze salwy.

Dariusz Kaszuba i Marek Sadzikowski, autorzy książki „Wojskowe znaki tożsamości w fotografii i źródłach z epoki", podjęli się ukazania dziejów „nieśmiertelników" bazując na własnych zbiorach oraz fotografiach z epoki pieczołowicie gromadzonych przez wiele lat. Książka zawiera bogaty materiał ikonograficzny obejmujący blisko 200 fotografii. Poczynając od armii pruskiej, która jako pierwsza wprowadziła znaki tożsamości dla swoich żołnierzy, autorzy opisują ich ewolucje, aż po czasy mam współczesne. Od lat ze szczególną starannością zbierają wszelkie wiadomości na temat historii polskich znaków tożsamości. Dlatego też wyjątkowe miejsce w książce zajmują „nieśmiertelniki" polskich żołnierzy z czasów I i II wojny światowej walczących w różnych armiach.

Do najciekawszych obiektów prezentowanych w pracy należy zaliczyć austriacką „kapalę", należącą do żołnierza Legionów Polskich z czasów I wojny światowej. Zamieszczone fotografie polskich żołnierzy z września 1939 r. z widocznymi znakami tożsamości, zaliczyć należy do „białych kruków" w historii polskiego nieśmiertelnika. Nie występującą poza US Navy ciekawostką jest znak tożsamości z okresu I wojny, zawierający oprócz danych osobowych, także trawiony w metalu odcisk linii papilarnych właściciela. Do niedawna najbardziej tajemniczym pozostawał znak węgierski, z niecodzienną metodą kodowania danych żołnierza.

PATRONAT MEDIALNY ODKRYWCA

Wojskowe znaki tożsamości – po raz drugi...

TEKST: DARIUSZ KASZUBA, MAREK SADZIKOWSKI

Poszukiwacze militariów napotykają na różne znaleziska minionych wydarzeń lat wojny. Często są to elementy uzbrojenia – np. magazynki, bagnety, elementy karabinów, lub wyposażenia żołnierskiego: klamry, orły z czapek, guziki, manierki, ładownice, hełmy. Takie pamiątki – niemi świadkowie dramatycznych często wydarzeń – nie dostarczają jednak wiadomości o swoich użytkownikach. Jedynym źródłem informacji personalnych są wówczas wojskowe znaki tożsamości, zwane popularnie nieśmiertelnikami.

Szerzej pojawiły się one w latach I wojny światowej, gdy w działaniach wojennych brały już udział nie tysiące, ale miliony żołnierzy, którym należało zapewnić możliwość identyfikacji w przypadku zranienia lub śmierci. Pierwszymi znakami identyfikacyjnymi były niewątpliwie zwykłe kartki papieru z umieszczonymi na nich danymi żołnierzy, noszone w kieszeniach mundurów. Nie były one trwałe i szybko ich treść ulegała zniekształceniu lub zniszczeniu. Pierwsze informacje o nieśmiertelnikach wojskowych pochodzą z roku 1862 – z okresu wojny domowej w Ameryce. Wtedy to właśnie dowództwo wojsk Stanów Północnych otrzymało propozycję wprowadzenia takich oznaczeń dla żołnierzy – spotkało się to jednak z małym zrozumieniem. W Prusach i innych państwach niemieckich zaczęto to wprowadzać znaki identyfikacji żołnierzy w połowie XIX wieku. Według legendy miał to być wynalazek berlińskiego kupca, zainspirowanego blaszkami – numerkami dla psów. Zapatrzony w ten prosty wzór identyfikacji, przygotował podobny dla swojego syna, wyruszającego na wojnę. I tak rozpoczęła się kariera wojskowego nieśmiertelnika...

Zupełnie inną genezę mają pierwsze historycznie znaki tożsamości – były to miedziane marki dla niewolników w Ameryce. Przeważnie miały kształt kwadratu, owalny lub półkolisty, i jeden lub dwa otwory do przewlekania sznurka. Oprócz imienia niewolnika lub numeru, miejsca i daty jego sprzedaży, na odwrocie zamieszczano typowo amerykańską reklamę typu: „Najlepsi męscy niewolnicy" lub „Mocni i zdrowi afrykańscy Murzyni".

Celem jaki postawili sobie Autorzy, drugiego w kraju opracowania, jest uzupełnienie dotychczasowych publikacji dotyczących wojskowych znaków tożsamości. Opublikowane dotychczas prace: J. Höidala o niemieckich, Paula F. Braddocka o amerykańskich, S. Fiedosiejewa o rosyjskich, czy traktujące o polskich i zagranicznych identyfikatorach: książka D. Kaszuby oraz artykuły E. Piwowarskiego i A. Rostockiego, mogą być wzbogacone cennym materiałem ikonograficznym i źródłowym, do którego dostęp wciąż ulega poszerzeniu. Niewątpliwie z punktu widzenia kolekcjonerskiego istotne będzie wzbogacenie dotychczasowej wiedzy o nieśmiertelnikach ciekawymi fotografiami, nigdzie dotąd nie publikowanymi. Żmudne poszukiwania na portalach aukcyjnych zaowocowały odnalezieniem interesujących fotografii – zwłaszcza z obozów jenieckich okresu Wiel-

Nieśmiertelnik Witolda Barbackiego żołnierza Legionów Polskich (I wojna światowa).

Austro-Węgry. Wzór oficerski z z tłoczonymi motywami inicjałów panującego i dwugłowym orłem.

Francuski nieśmiertelnik wz.1881 z nieregulaminowymi zdobieniami wokół nazwiska.

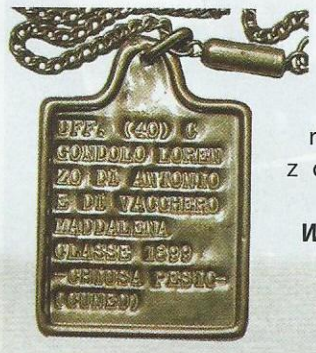

Włoski znak wz. 32.

Nieśmiertelnik polski wz.3.

Polski nieśmiertelnik wz.70.

Polski nieśmiertelnik wzorowany na rosyjskim „licznym znaku" (po II wojnie światowej).

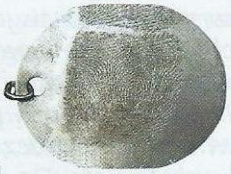

Identyfikator wz. 1917, wydawany marynarzom US z trawionym odciskiem palca.

kiej Wojny – lecz do najcenniejszych należą z pewnością fotografie żołnierzy Woj-Obronnej 1939 roku z ukazanymi znakami tożsamości wzór 31. Praca Kaszuby i Sadzikowskiego ma również na celu poszerzenie dotychczasowego stanu wiedzy kolekcjonerskiej o znakach tożsamości, jako jednego z elementów wyposażenia żołnierskiego będącego w użyciu od ponad 150 lat, tym bardziej, że konwencja genewska nakładała obowiązek posiadania przez żołnierzy znaków tożsamości. Jej 4. artykuł stanowił: *„Zbiorą oni* (strony walczące – przyp. aut.) *również i prześlą sobie wszystkie przedmioty, służące do osobistego użytku, znalezione na polu bitwy, lub przy zabitych* ***w szczególności połowę znaku tożsamości, pozostawiając drugą połowę na zwłokach"*** (podkreślenie aut.). W opracowaniu pokazano, że często nie stosowano się do tego zapisu, nie wprowadzając znaków dzielonych na połowy. Cennym materiałem historycznym są zachowane fotografie, na których zostały uwiecznione nie tylko same znaki tożsamości, ale także sposoby ich noszenia – regulaminowe bądź też nieformalne. Te ostatnie stosowane

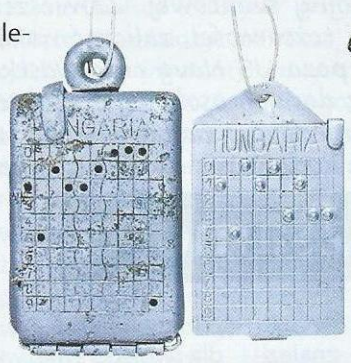

Nieśmiertelnik węgierski z charakterystycznym kodowaniem danych żołnierza.

były przez żołnierzy zapewne dla wygody, fantazji lub nawet chęci wyróżnienia się. Dotyczy to również wielu sposobów przyozdabiania regulaminowo wybitych żetonów. Stan wielu fotografii lub zdjęć pocztówkowych pozostających w zbiorach jest niestety nie najlepszy. Wielokrotnie upływ czasu, obieg pocztowy, warunki przechowywania, czy zwykła chęć wyeksponowania podobizny członka rodziny, np. na etażerce lub ścianie – mają wpływ na stan, w jakim dotrwały do dnia dzisiejszego. Również pospieszne wykonanie, złe oświetlenie lub ustawienie ostrości oraz wiedza fotograficzna obsługującego aparat mają zauważalny, bezpośredni wpływ na jakość fotografii.

Bardzo ważną rzeczą jest umiejscowienie w czasie i miejscu danej fotografii (zdjęcia pocztówkowego) – zwłaszcza z początku XX wieku. Niezwykle pomocne są tutaj dane (często zapiski odręczne) umieszczone na odwrotnej stronie karty wykonanej z gotowym nadrukiem, adresem lub reklamą danego zakładu. Wielokrotnie obieg pocztowy pomaga rozwikłać tajemnicę starego zdjęcia. Data i miejsce napisania kilku słów z linii frontu, pieczęć obozowa lub stempel pocztowy mówią nam, że dokładnie w tym czasie dany żołnierz posia-

REKLAMA

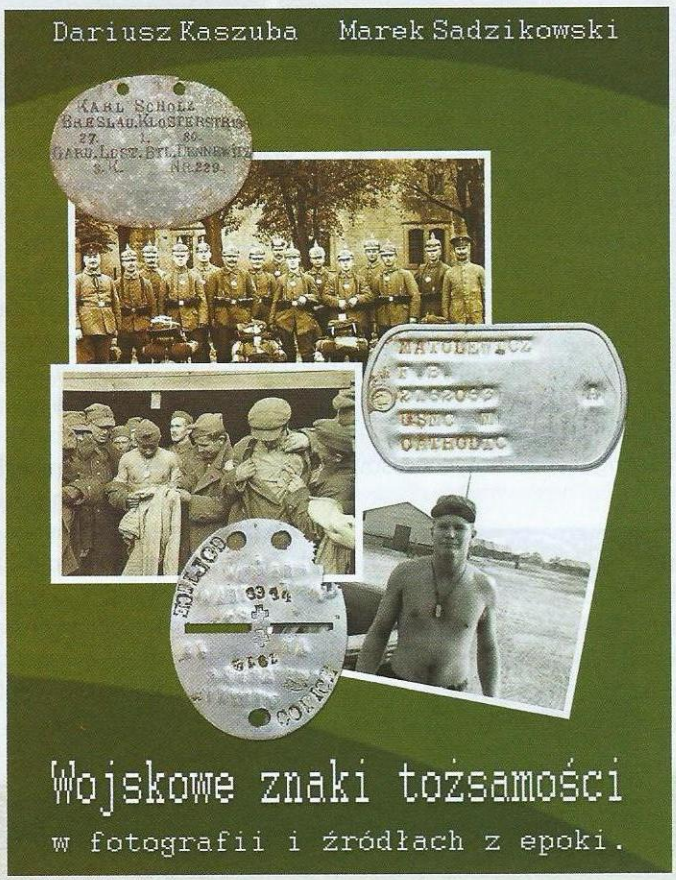
Dariusz Kaszuba Marek Sadzikowski
Wojskowe znaki tożsamości
w fotografii i źródłach z epoki.

Dariusz Kaszuba i Marek Sadzikowski podjęli się ukazania dziejów „nieśmiertelników". Bazując na własnych zbiorach oraz fotografiach z epoki, pieczołowicie gromadzonych przez wiele lat. Książka zawiera bogaty materiał ikonograficzny obejmujący blisko 200 fotografii. Poczynając od armii pruskiej, która jako pierwsza wprowadziła znaki tożsamości dla swoich żołnierzy, autorzy opisują ich ewolucje, aż po czasy mam współczesne. Ze szczególną pieczołowitością od lat zbierają wszelkie wiadomości na temat historii polskich znaków tożsamości. Dlatego też szczególne miejsce w książce zajmują „nieśmiertelniki" polskich żołnierzy z czasów I i II wojny światowej walczących w różnych armiach.

Do najciekawszych obiektów prezentowanych w pracy należy zaliczyć austriacką „kapalę", należącą do żołnierza Legionów Polskich z czasów I wojny światowej. Zamieszczone fotografie polskich żołnierzy z września 1939 r. z widocznymi znakami tożsamości, zaliczyć należy do „białych kruków" w historii polskiego nieśmiertelnika. Niewystępującą poza US Navy ciekawostką jest znak tożsamości z okresu I wojny, zawierający oprócz danych osobowych, także trawiony w metalu odcisk linii papilarnych właściciela. Do niedawna najbardziej tajemniczym pozostawał znak węgierski, z niecodzienną metodą kodowania danych żołnierza.

PolskaZbrojna dobroni.pl MILITARIA ODKRYWCA

dał taki a nie inny typ żetonu, choć regulamin – jeżeli taki był – mógł stanowić zupełnie coś innego. Często na fotografiach okresu Wielkiej Wojny, ukazujących jeńców z różnych armii, pieczęć obozowa lub datownik pocztowy są jedynymi wskazówkami pozwalającymi umiejscowić nasz obiekt. Posiadamy już wiedzę, że w danym obozie stosowano dany żeton lub naszywkę, niestety, nie zawsze odnajdujemy na odwrocie podpis właściciela z datą lub, nawet jeżeli istnieje, treść zapisu jest już nieczytelna. Jedyną wskazówką pozostaje wtedy tylko stempel z miejsca wysłania, co jednak pomaga umiejscowić chociażby dany obóz lub komando pracy.

Fragment jednej z historii nieśmiertelników, do której dopisano ciąg dalszy...

Późną jesienią 2011 roku przypadkowy spacerowicz poznający uroki lasów iłżeckich, zauważył obok wykrotu po wykarczowanym pniu kilka małych, okrągłych przedmiotów. Po bliższym obejrzeniu, okazały się one zdeformowanymi guzikami. Pośród kilku guzików pojawiła się dziwna blaszka, nosząca, tak jak guziki, ślady deformacji od wysokiej temperatury. Znalezisko na pograniczu lasu i pola uprawnego pochodziło niewątpliwie z okresu bitwy iłżeckiej 1939 roku, ale dopiero po oczyszczeniu blaszki okazało się, że jest to dolna połowa polskiego znaku tożsamości wz 31, która zachowała dane właściciela.

Po ostrożnym oczyszczeniu nieśmiertelnika, ukazały się dość wyraźne litery: *„WŁADYSŁAW DRELICHARZ KAT"*, zaś na odwrocie *„OF PIECH, 16 9 1913"*. Po sprawdzeniu w dostępnej literaturze, nie było wątpliwości – właścicielem znaku był podporucznik 51. pułku piechoty kresowej, pełniący w czasie Wojny Obronnej stanowisko oficera informacyjnego pułku (L. Zachuta) lub dowódcy 5. kompanii strzeleckiej (B. Zagórska). Jego życiorys jest pięknym przykładem służby Ojczyźnie. Urodzony w Tuchowie, ukończył gimnazjum w Tarnowie, należał do Związku Strzeleckiego, interesował się historią, lubił sport. Po zdaniu matury wybrał Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowie-Komorowie, którą ukończył w 1936 roku. Po skierowaniu do 51. pp kres. w Brzeżanach, poświęcił się pracy szkoleniowej. Po raz pierwszy został ranny w 1938 roku, dowodząc oddziałem na Rusi Zakarpackiej. Po wybuchu II wojny wyruszył na front z macierzystą jednostką, uczestnicząc w bitwie iłżeckiej. Po spaleniu munduru przedostał się za Wisłę, dołączając do 12. DP, uczestnicząc później w organizowaniu obrony Kowla. Po wkroczeniu Armii Czerwonej przekradał się w małej grupie ku granicy, ale po rozbrojeniu i drugim ukryciu munduru powrócił w okolice Brzeżan. Już 4 listopada podjął nieudaną próbę przekroczenia granicy, a następnego dnia został zatrzymany przez NKWD. Podjął szczęśliwie zakończoną próbę ucieczki, 7 grudnia przekraczając granicę węgierską. 21 maja 1940 przedostał się do Bejrutu i odbył przeszkolenie na transporterach typu Universal Carrier w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich. Od 11 listopada 1940 r., jako porucznik, dowodził plutonem „carriersów", a następnie wziął udział w obronie Tobruku – zdobywając miano „sławnego zagończyka" i pierwszy Krzyż Walecznych. Z czasem objął dowództwo dwóch szwadronów czołgów w 4. pułku pancernym „Skorpion". Po bitwie o Monte Cassino brał udział w kampanii adriatyckiej i w zdobyciu Ankony, otrzymując Krzyż Walecznych – po raz drugi. 21 listopada 1944 r. stoczył swoją ostatnią walkę – w natarciu na Monte Fortino. Po otrzymaniu trafienia z bliskiej odległości, cała pięcioosobowa załoga spłonęła w swojej maszynie. Postać dzielnego oficera w rodzinnym Tuchowie przypomina ulica jego imienia. Dziwnym zrządzeniem losu, odnaleziony po 72 latach spalony nieśmiertelnik spod Iłży wiąże się z tragicznie poległym w spalonym czołgu Sherman swoim właścicielem...

Kpt. Władysław Drelicharz w swoim Shermanie koło Toretto we Włoszech (źródło: internet).

Autorzy publikacji mają pełną świadomość o braku możliwości dostępu do niektórych materiałów ikonograficznych. Stopniowe otwieranie niektórych archiwów, jak również coraz bardziej masowy dostęp do internetu stwarzają szansę dotarcia do materiałów nikomu dotąd nieznanych. Z tego też powodu książka oparta jest na dotychczasowym stanie wiedzy i zgromadzonych, dzięki kolekcjonerskiej pasji, fotografiach dokumentujących użycie wojskowych znaków tożsamości w wybranych armiach. Ponadto, ze względu na polskie znaki tożsamości będące istotną częścią opracowania, szerzej przedstawione zostały niepublikowane dotąd wiadomości o francuskich i brytyjskich nieśmiertelnikach, używanych przez żołnierzy Wojska Polskiego w latach II wojny światowej. Dla rosnącej rzeszy kolekcjonerów wojskowego wyposażenia, jak również członków grup rekonstrukcyjnych, publikacja będzie pomocna w gromadzeniu cennych eksponatów i wiernym odtworzeniu szczegółów mundurów z różnych epok. Obszerna bibliografia z pewnością pomoże dotrzeć do wielu ciekawych informacji...

Rodzinne pamiątki

TEKST: MARCIN BRZEZIŃSKI
DOKUMENTY: ZBIORY AUTORA

Jest wśród rodzinnych pamiątek piękne w formie „pokwitowanie" Nr 09434, które otrzymał w Poznaniu z datą 1 sierpnia 1919 r. mój – z linii ojca – dziadek Ignacy. Skarb Państwa Polskiego Urząd Skarbowy przy NRL potwierdził, że dziadek Ignacy *„ofiarował w drodze wymiany na Skarb Polski w złocie marek 50,00 mp. pięćdziesiąt"*, oraz, że został wpisany do „Księgi Fundatorów Skarbu Polskiego". Dziadka znałem tylko z fotografii i portretu, a pamiątka przez dziesięciolecia, owszem, po prostu była, ale była niema. Zidentyfikujmy, co się za tym kryje, chodzi bowiem o czasy odzyskania niepodległości po zaborach.

NRL – to Naczelna Rada Ludowa, struktura polityczna organizujących się Polaków w zaborze pruskim, inaczej Wielkim Księstwie Poznańskim, jeszcze inaczej Provinz Posen. Powstała w 1916 roku, początkowo jako Komitet Międzypartyjny – Centralny Komitet Obywatelski. Komitet popierał ententę, współpracując potem z założonym w 1917 roku paryskim Komitetem Narodowym Polskim Romana Dmowskiego. W dniu podpisania przez Niemcy rozejmu w Compiègne, 11 listopada 1918 roku, Komitet, działający dotąd niejawnie, ujawnił się zmieniając nazwę na Rada Ludowa. Dzień później wyłoniono Tymczasowy Komitet, a trzy dni później ponownie zmieniono nazwę na Naczelna Rada Ludowa. W skład Tymczasowego Komitetu wchodzili: ks. Stanisław Adamski z Wielkopolski (1875-1967), działacz spółdzielczy, późniejszy działacz Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji oraz biskup śląski, Wojciech Korfanty ze Śląska (1873-1939), syn górnika, wybitny działacz niepodległościowy, późniejszy dyktator trzeciego powstania śląskiego (1921) oraz Adam Poszwiński z Kujaw (1881-1942?), publicysta, zginął walcząc w ruchu oporu w czasie II wojny światowej.

28 listopada 1918 roku abdykował cesarz Wilhelm II i był to kres panowania Hohenzollernów. Nieco wcześniej, bo 23 listopada „bawił" w Poznaniu niemiecki sekretarz stanu i łaskawie uznał język polski za równoprawny. A dzieje się to już po tym, jak 16 listopada Józef Piłsudski notyfikuje rządom państw europejskich powstanie niepodległego Państwa Polskiego. NRL została uznana za legalną władzę państwową przez polski Sejm Dzielnicowy obradujący 5 grudnia 1918 roku w Poznaniu, m.in. w sali kina „Apollo". Uchwalono, że NRL obejmuje władzę zwierzchnią nad ziemiami Wielkopolski, Śląska, Pomorza Gdańskiego oraz Warmii i Mazur. W dniu następnym wyłonił się kolejny organ wykonawczy, bo w miejsce Komitetu powołano Komisariat, poszerzając jego skład o następne osoby, w tym, o przedstawiciela Pomorza Gdańskiego. Wyrazem poszerzania obszaru wpływów było powołanie podkomisariatów w Bytomiu i Gdańsku. Wybuch powstania wielkopolskiego 27 grudnia 1918 roku wymusił przejęcie przez NRL kierownictwa politycznego nad powstaniem oraz kontroli cywilnej i wojskowej nad wyzwolonymi ziemiami. W grudniu 1918 r. na czele NRL staje Bolesław Krysiewicz (1862-1932), późniejszy pionier poznańskiej pediatrii. W pierwszej połowie 1919 r. z wielu rozproszonych oddziałów powstańczych powstają Polskie Siły Zbrojne w b. zaborze pruskim, zwane potocznie Armią Wielkopolską, której dowódcą zostaje gen. Józef Dowbor-Muśnicki. Na arenie krajowej w styczniu 1919 roku rząd Jędrzeja Moraczewskiego zostaje zastąpiony przez rząd Ignacego Paderewskiego, a na arenie europejskiej zaczyna się konferencja pokojowa w Paryżu, która zakończy się w czerwcu 1919 r. traktatem wersalskim przyznającym Polsce Wielkopolskę i Pomorze z dostępem do Bałtyku. Z ramienia Komisariatu NRL dwukrotnie w skład polskiej delegacji na konferencji wchodził Józef Rymer ze Śląska. Ciekawostką może być fakt, że w skład delegacji NRL, negocjującej z Niemcami w Berlinie w lutym 1919 r., wchodził ppłk Władysław Anders, pełniący funkcję szefa sztabu Armii Wielkopolskiej. W maju 1919 r. dowództwo nad siłami w powstaniu wielkopolskim zostało przekazane Józefowi Piłsudskiemu.

Po zakończeniu powstania nastąpiło stopniowe włączanie Wielkopolski w krwioobieg odrodzonego państwa. Znaleźliśmy się w momencie, w którym mój dziadek otrzymał piękny dyplom. Być może wpłaty dokonał wcześniej, bo NRL już w listopadzie 1918 r. wezwała do jednorazowego narodowego opodatkowania się. Żywię też nadzieję, że datek mojego czcigodnego antenata został wykorzystany zgodnie z intencjami ofiarodawcy. W sierpniu 1919 roku nastąpiło przyspieszenie biegu spraw dotyczących Wielkopolski. Zgodnie z postanowieniami Sejmu Ustawodawczego 12 sierpnia powołano Ministerstwo b. Dzielnicy Pruskiej, a na jego czele stanął Władysław Seyda, reprezentujący dotychczas Wielkopolskę w Komisariacie NRL. 19 sierpnia samorozwiązaniu uległa sama NRL,

chociaż jej struktury po tej dacie istniały jeszcze na Górnym Śląsku. 28 sierpnia 1919 r. Armia Wielkopolska na podstawie rozkazu dziennego weszła w skład Wojska Polskiego w liczbie 102 tysięcy żołnierzy. Takie były historyczne okoliczności obywatelskich postaw u progu II Rzeczypospolitej.

Skrót *„mp."* oznacza najpewniej markę polską. Uściślenie takie jest istotne, bo znajdujemy się jeszcze w okresie dokonywanej dopiero walutowej unifikacji na terenie kraju, w warunkach wyjątkowego, powojennego zamętu walutowego. Pod koniec okresu zaborów na ziemiach polskich zaboru austriackiego, w Galicji, panowała austro-węgierska korona, a w Kraju Przywiślańskim, tzn. na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego, obowiązującym środkiem płatniczym był oczywiście rubel. Od grudnia 1871 r. jednostką monetarną Rzeszy – emitowaną przez Reichsbank – była marka, dzieląca się na 100 fenigów. Nieoficjalnie w zaborze pruskim rachowano też w złotych, przy czym złoty odpowiadał połowie marki. W 1915 r. Niemcy po swej wojennej ofensywie, w Królestwie Polskim, na zajętych ziemiach polskich zaboru rosyjskiego, wprowadzili tzw. ostruble. Ich emitentem był Ostbank, mający siedzibę w Poznaniu, przeniesiony potem do Kowna, gdzie stał się zalążkiem litewskiego banku centralnego. Z kolei w grudniu 1916 r. na okupowanych ziemiach Królestwa Polskiego, nazwanych Generalnym Gubernatorstwem Warszawskim, Niemcy utworzyli Polską Krajową Kasę Pożyczkową (PKKP), emitującą marki polskie, równe markom niemieckim, dzielące się na 100 fenigów. W momencie uzyskania niepodległości marka polska była jedyną walutą, która mogła pełnić funkcje ogólnokrajowe, toteż dekretem Naczelnika Państwa z grudnia 1918 roku PKKP została uznana – z konieczności i tymczasowo – za polską instytucję emisyjną. W Wielkopolsce marka polska stała się drugą walutą w kwietniu 1919 roku, obok dotychczas funkcjonującej marki niemieckiej. Jedyną walutą w Wielkopolsce stała się w listopadzie 1919 roku. Zatem w sierpniu, a w każdym razie po kwietniu, dziadek Ignacy miał do wyboru dwie waluty.

Wprowadzanie marki polskiej było częścią procesu unifikacji waluty. Kolejnym etapem – począwszy od lutego 1919 roku – były projekty emisji rdzennie polskiej waluty, która początkowo miała się nazywać – ciekawostka! – lech. Jednak jeszcze w lutym 1919 r. Sejm Ustawodawczy zmienił nazwę na złotego. Złoty wprowadzony został do obiegu po reformie Władysława Grabskiego w 1924 r. i miłościwie nam panuje do chwili obecnej. Jaka była siła nabywcza marki polskiej? Problemem zasadniczym była inflacja, zrozumiała w warunkach wojennego i powojennego braku stabilizacji ekonomicznej. Kurs dolara skoczył w ciągu całego 1919 r. z 9 do 110 marek polskich. 1 kg chleba w 1918 r. kosztował 6, ale już w 1920 r. 20-36 marek polskich, 1 kg cukru w 1918 r. – 10, ale w 1920 r. w wolnym handlu – 140-150 marek polskich. Nawiasem mówiąc galopada, że hej!, nastąpiła jeszcze potem, bo hiperinflacja osiągnęła taki pułap, że w czasie reformy Grabskiego wymieniano 1,8 mln marek polskich za 1 złotego. Widać w każdym razie, że w 1919 r. datek mojego dziadka to nie był majątek, ale też dziadek Ignacy nie był krezusem. Przede wszystkim liczyło się poczucie obywatelskiej powinności.

Poświęćmy jeszcze chwilę Poznaniowi czasów historycznego przełomu. Manifestacją polskości i niezwykłym impulsem niepodległościowym było przybycie do Poznania 26 grudnia 1918 roku – czyli w przeddzień wielkopolskiego zrywu zbrojnego – Ignacego Jana Paderewskiego. Nawet złośliwe wyłączenie przez Niemców prądu na poznańskim dworcu nie zmieniło przebiegu triumfalnego powitania i pobytu. Miasto w 1910 roku liczyło 156,7 tys. mieszkańców, a spis powszechny w 1921 r. wykazał 169,4 tys. osób, czyli niewielki przyrost w ciągu dziesięciolecia. Postęp nastąpi dopiero w czasie II Rzeczypospolitej, podobnie jak rozwój gospodarczy, którego najbardziej widomym dowodem będzie dzieło Hipolita Cegielskiego, poznańska fabryka „lokomobili".

Tyle mówi nam pamiątka z końca drugiego dziesięciolecia XX wieku. Ale jest jeszcze inna pamiątka rodzinna, cegiełka Nr 800431 z 1946 r., po drugim z dziadków – Janie, która jakby klamrą spina polskie dzieje w pierwszym pięćdziesięcioleciu zeszłego wieku. Historia w czasie bliższa, więc niech cegiełka przemówi sama: *„DAR NA ODBUDOWĘ WARSZAWY OD OB. Bogaczyk Jan Leszno zł. 100 zł."*. Cegiełkę firmował Komitet Wykonawczy Naczelnej Rady Odbudowy m.st. Warszawy. Nie mogę nie nawiązać jeszcze do dat z początków odzyskania niepodległości. Jest bowiem element dopełniający tę rodzinną historię, iunctim między nią, a historią „podręcznikową". W okresie, kiedy dziadek Ignacy próbował skromnym datkiem wspierać młode państwo, dziadek Jan zebrał, opracował, po czym był wydawcą w 1920 r. *„Małego bukietu pieśni narodowych"*. Była to zapewne odpowiedź na zapotrzebowanie dziejowej chwili: *„O polska pieśni, o rodzinna nuto/ Bądźże nam spójnią jak ze stali kutą…"*.

Od lewej: Ignacy Brzeziński z synem Józefem Brzezińskim.

Korzystałem z opracowań w Kronice Miasta Poznania oraz autorstwa prof. Wojciecha Morawskiego ze Szkoły Głównej Handlowej, a także z archiwaliów rodzinnych.

Zoologia falerystyczna, cz. 2

„Łapy, łapy, cztery łapy…"

TEKST: PIOTR GALIK

Falerystyka związana z Polskimi Siłami Zbrojnymi na Zachodzie obficie korzystała z wizerunków zwierząt – tych realnych, ale także stworów mitycznych. Oprócz zaprezentowanych przed miesiącem drapieżników kotowatych, znaleźć można wizerunki szeregu innych gatunków fauny. Niektóre z nich wybrano ze względu na tradycyjnie przypisywane im cechy i zalety, inne pojawiły się w wyniku rzeczywistych wydarzeń, ubarwiających historię naszych formacji na obczyźnie.

„Koń jaki jest – każdy widzi"

Odwieczny towarzysz i przyjaciel polskiego wojownika, od legendarnych sarmackich początków do ery mechanizacji – wierzchowiec, rumak, dzianet… Właściwie należałoby zastanowić się, dlaczego tak rzadko wizerunek konia pojawiał się w militarnej symbolice PSZ. Pełna postać konia, wraz z rzędem i jeźdźcem, stanowi główny motyw odznaki pamiątkowej Dywizjonu Rozpoznawczego 10. Brygady Kawalerii, który z czasem, już w Wielkiej Brytanii, w składzie 1. DPanc., stał się batalionem piechoty zmechanizowanej pod nazwą 10. pułku dragonów. Aby było ciekawiej, kawalerzysta dosiadający wierzchowca to klasyczny husarz z kopią, tarczą i skrzydłami, a nie dragon. Jeźdźca z koniem, stojącym na schematycznie ukazanym podwoziu gąsienicowym z inicjałami *„D.R."* i datą *„1.VII.38"*, upamiętniającymi pierwotną nazwę jednostki i dzień jej powołania, otacza pozłacany wieniec laurowy, opatrzony inskrypcją *„10/BK"*, nawiązującą do macierzystej formacji oddziału. Odznaka o wymiarach około 40×33 mm wykonywana była z różnych materiałów i w różnych firmach. Poszczególne wykonania różniły się nieznacznie wymiarami, materiałem (srebro z pozłotą, tombak srebrzony i złocony, alpaka i tombak) oraz sposobem mocowania: przetyczką lub gwintowanym słupkiem z nakrętką.

Nieco podobnie prezentuje się zatwierdzona oficjalnie w październiku 1943 r. odznaka pamiątkowa 1. pułku artylerii przeciwpancernej, który swoimi korzeniami sięgał rzeszowskiego dywizjonu przeciwpancernego w składzie pancerno-motorowej 10. BK. Głównym motywem odznaki jest sylwetka świętego Jerzego, który konno pokonuje krokodylokształtnego smoka. Wizerunek otacza eliptyczna bordiura (48×38 mm) z inskrypcjami: *„BÓG HONOR OJCZYZNA / PIERWSZY PUŁK PRZECIWPANCERNY / 4.XI.1937"*. Pierwszym wytwórcą emblematu była londyńska firma Spink & Son. Odznaka wykonana była ze srebra, a na odwrocie umieszczono gwintowany bolec z nakrętką, umożliwiający zamocowanie odznaki w tradycyjnym miejscu – na lewej kieszeni kurtki mundurowej. Znany jest przypadek umieszczania odznaki na dopasowanej kształtem, czarnej, sukiennej podkładce, dzięki kontrastowi efektownie podkreślającej wysmakowany relief awersu.

Specyficznym „końskim znakiem" w PSZ stał się malowany na wieżach czołgów i burtach pojazdów mechanicznych symbol, wzbogacający standardowe brytyjskie oznakowanie taktyczne szwadronów w pancernym 1. Pułku Ułanów Krechowieckich. Oddział ten należał do 2. BPanc., początkowo pozostającej samodzielną jednostką II Korpusu Polskiego, a w roku 1945 włączonej do nowo powstałej 2. Warszawskiej DPanc. „Kobylarze", jak nieformalnie tytułowali swoich kolegów pancerniacy pozostałych pułków brygady, podkreślali swoje kawaleryjskie tradycje emblematem profilu końskiej

Odznaka pamiątkowa 10. pułku dragonów z nieco mylącym, ale za to nawiązującym do symboliki dywizyjnej, wizerunkiem husarza.

Odznaka dragonów jako emblemat na sztandarze współczesnej jednostki, dziedziczącej tradycje pułku.

głowy, malowanej na odpowiednim dla konkretnego szwadronu rombie, trójkącie, kole czy kwadracie. Na wielu fotografiach pojazdów „Krechowiaków" dostrzec można także towarzyszący końskiemu motywowi zarys podkowy, podkreślający ułańskie korzenie oddziału.

Smocze tropy

Właściwym symbolem polskiej broni pancernej był smok, którego postać pojawiła się na mundurach naszych czołgistów już na początku istnienia tego rodzaju wojsk. Sylweta mitycznej bestii, wyposażonej w kręty ogon z żądłem, groźne szpony, okazałe skrzydła i pysk z imponującym garniturem uzębienia oraz ognistym ozorem, stanowiła główny motyw naszywki naramiennej, naszywanej na lewym rękawie kurtki mundurowej. Podobne monstra, w różnych aranżacjach artystycznych, zdobiły odznaki pamiątkowe 1. pułku czołgów oraz 1. i 10. batalionów pancernych przedwojennej Armii Polskiej. Bezpośrednim nawiązaniem do tej tradycji stała się zatwierdzona rozkazem z czerwca 1941 roku naszywka – oznaka rozpoznawcza 1. pułku czołgów, powstałego w Wielkiej Brytanii. Wykonywana była techniką haftu maszynowego, nicią białą na eliptycznym tle (90×60 mm) z tkaniny mundurowej khaki: sukna (dla szeregowych i podoficerów) lub gabardyny (dla oficerów). Znane są egzemplarze odbiegające wymiarami od standardu, np. ok. 60×43 mm. Po kilku miesiącach od wprowadzenia naszywki, pułk uległ reorganizacji, przyjmując nazwę 16. Brygady Czołgów, pozostał jednak przy dawnym emblemacie. Dopiero włączenie oddziału do 1. DPanc. spowodowało (a i to nie od razu) rezygnację z dotychczasowej oznaki na rzecz naszywki dywizyjnej. W trakcie kolejnych zmian organizacyjnych jednostka przemianowana została na 16. BPanc., a w końcu, w roku 1943, wyłączona ze składu dywizji i rozformowana. Powstała wówczas odznaka pamiątkowa, wykonywana w edynburskim zakładzie Kirkwood & Son. Wzorowany na haftowanym monstrum z dawnej oznaki naramiennej smok, o wymiarach 46×25 mm, bity był z tombaku i srebrzony. Wkrótce ponownie utworzono 16. BPanc., jednak z powodu niedostatków kadrowych nie weszła ona do akcji bojowej, pozostając do końca wojny na Wyspach Brytyjskich. W kwietniu 1945 roku wprowadzona została brygadowa oznaka rozpoznawcza, noszona regulaminowo na rękawach mundurów pancerniaków z „szesnastki". Ponownie wykorzystano znany z wcześniejszych wcieleń znak smoka, tyle, że tym razem w wersji „de luxe": bestia haftowana czarną i białą nicią na pomarańczowym owalu o wymiarach 55×35 mm. Warto podkreślić, że kolory czarny i pomarańczowy to tradycyjne barwy polskiej broni pancernej, więc ich wybór nie był przypadkowy.

Znakomicie dobrana symbolika i dojrzały artystycznie projekt – św. Jerzy ze smokiem, jako odznaka 1. pułku artylerii przeciwpancernej.

Koński symbol na wieży czołgu 1. Pułku Ułanów Krechowieckich. Romb oznacza szwadron dowodzenia pułku.

Smoczy emblemat – naszywka naramienna 1. pułku czołgów w Wielkiej Brytanii.

Metalowy smok jako odznaka pamiątkowa 16. BPanc.

Smok, ale bez skrzydeł, i w barwie białej na czerwonej tarczy o wymiarach 37×30 mm, stanowił oznakę beretową Kwatery Głównej i kompanii wsparcia 16. Pomorskiej BP, należącej do 2. Warszawskiej DPanc. II Korpusu Polskiego we Włoszech. Smoczy motyw wykorzystany został także w projekcie odznak Szkoły Podchorążych Broni Pancernej, zorganizowanej w roku 1940 w Wielkiej Brytanii. Klasyczny smok pancerniaków polskich otoczony był wieńcem dębowym o średnicy 38 mm z monogramem *„WSP"* i datą *„1940"* u dołu. Wariant dla kadry instruktorskiej różnił się od wersji absolwenckiej tym, że wieniec pierwszej odmiany był złocony, a drugiej – srebrny, jak reszta odznaki.

W roku 1943 szkoła przemianowana została na Centrum Wyszkolenia Pancernego i Technicznego, a zmianie tej towarzyszyło powstanie nowej wersji odznaki pamiątkowej, wykonywanej ze srebrzonego tombaku, na wzór emblematu SPBP, lecz bez inicjałów i daty.

Byczo jest!

Zwierzęcym symbolem Kresów, zwłaszcza ziem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, jest największy z mieszkańców tamtejszych puszcz – żubr. Nie może zatem

Oznaka rozpoznawcza 16. BPanc. z 1945 roku.

Odznaka pamiątkowa Centrum Wyszkolenia Pancernego i Technicznego ściśle nawiązuje do symboliki poprzedniczki, wojennej Szkoły Podchorążych Broni Pancernej.

Odmiany oznak i odznak 5. KDP – żubr symbolizuje kresowe tradycje jednostki.

zaskakiwać, że sylweta tego okazałego, choć z natury spokojnego przeżuwacza wybrana została jako znak rozpoznawczy 5. Kresowej DP. Formacja ta powstała w ZSRR we wrześniu 1941 i gromadziła w swoich szeregach obywateli II RP, zesłanych i uwięzionych przez władze bolszewickie po rozbiorze Polski w 1939 roku. Po ewakuacji do Iraku i dostosowaniu organizacji do standardów brytyjskich, dywizja uzyskała ostateczną nazwę oraz oznakę rozpoznawczą, noszoną na rękawach mundurów przez wszystkich jej żołnierzy. W grudniu 1942 r. rozkazem Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie wprowadzono do użytku emblemat w postaci szykującego się do szarży żubra w barwie naturalnej (brązowej) na żółtej tarczy. W wersji podstawowej oznaka wykonywana była haftem maszynowym, nicią bawełnianą na płóciennej podkładce, jednak z czasem powstała duża ilość odmian oznaki, w tym wersje luksusowe, haftowane ręcznie z wykorzystaniem nici jedwabnych i metalicznych („bajorek"). Podobnie prezentował się także znak rozpoznawczy, malowany na pojazdach pozostających w dyspozycji dywizji, tyle że zgodnie z brytyjskim standardem żubr umieszczany był zwykle w polu kwadratowym, choć znane są także różne warianty zarysu tarczy rycerskiej. Zwierzęcy symbol jednostki sprawił, że żołnierzy dywizji potocznie nazywano żubrami lub bykami. Miniatura oznaki dywizyjnej wykorzystana została także jako centralny motyw odznaki pamiątkowej, wykonywanej pierwotnie przez firmę F.M. Lorioli Fratelli we Włoszech. Odznaka wytwarzana była ze srebra próby 800 i zasadniczy jej element stanowił krzyż wzorowany na emblemacie Orderu Virtuti Militari. Na ramionach krzyża umieszczone były inicjały dywizji „*5. KDP*" oraz „Tarcza Krzyżowców", czyli oznaka brytyjskiej 8. Armii, przyznana Polakom po bitwie o Monte Cassino jako znak honorowy. Pomiędzy ramionami odznaki widnieje ukośnie krzyż benedyktyński, upamiętniający walki o klasztor Cassino. W centrum znajduje się znak rozpoznawczy dywizji – żubr na żółto emaliowanej tarczy. W okresie późniejszym, zwłaszcza już po rozwiązaniu PSZ, powstały odmiany odznaki, wykonywane z tombaku srebrzonego lub alpaki w brytyjskich zakładach grawerskich. Upowszechniły się wówczas także miniatury odznaki, noszone zwykle przez weteranów w klapie cywilnej marynarki.

Odznaka 5. Kresowego Batalionu Saperów – forma zaskakująco podobna do odznak absolwenckich uczelni wojskowych okresu Układu Warszawskiego...

Miniatura oznaki dywizyjnej ozdobiła także powstałą już po wojnie odznakę 5. kresowego batalionu saperów. Znak ten wykonywano w kształcie pionowego rombu o wymiarach 40×20 mm, przy czym boki rombu pokrywano emalią w barwach polskich wojsk inżynieryjnych – szkarłatną i czarną. Żubr z brązu na żółto emaliowanej tarczy stanowił centralny motyw odznaki. Także łącznościowcy dywizyjni z 5. kresowego batalionu łączności umieścili na swoim emblemacie w kształcie stylizowanego skrzydła miniaturkę żubra.

„Proszę Państwa, oto miś..."

A ściślej ujmując *Ursus arctos syriacus*. Mały niedźwiadek brunatny, w kwietniu 1942 roku zakupiony za kilka konserw od młodego Persa w okolicach Hamadanu przez polskich żołnierzy. Wojtek, bo takie imię nadali mu nowi opiekunowie, oswoił się z ludźmi tak bardzo, że z czasem zagustował nawet w typowo ludzkich używkach – piwie i papierosach. Miś wprowadzony został oficjalnie na stan 22. Kompanii Zaopatrywania Artylerii, jednostki samochodowej, podlegającej 2. Grupie Artylerii. Jako pełnoprawny żołnierz przybył wraz z oddziałem do Włoch. Tam podczas bitwy o Monte Cassino – ku wielkiemu zaskoczeniu przypadkowych obserwatorów – naśladując swoich opiekunów w pewnej chwili chwycił w potężne łapy ciężką skrzynię z nabojami artyleryjskimi i przeniósł ją z samochodu na miejsce składowania, potem następną i kolejne... Pomagał tak w rozładunku aż do zakończenia walk. Ujęci zachowaniem zwierzęcia żołnierze wystarali się o zgodę na umieszczenie wizerunku Wojtka na swoich samochodach oraz na oznace rozpoznawczej kompanii. Postać misia kroczącego z pociskiem w łapach, nałożona na zarys kierownicy samochodowej stała się wyróżnikiem 22. kompanii. Oznaka wykonywana była w kompletach lewa/prawa, tak, aby postaci Wojtka, nakładane na kołnierzu munduru, zwrócone były zawsze ku sobie, a na berecie – ku przodowi. Znane są wersje znaku z tłem wypełnionym zieloną

emalią oraz ażurowe, te chętnie nakładano na proporczyki kołnierzowe i beretowe w barwach artylerii ciężkiej: czerwono-zielone. Pierwotnym wykonawcą tombakowej i srebrzonej oznaki o średnicy 31 mm była włoska firma Pagani Sp.A. z Mediolanu. Emblemat na pojazdach miał zwykle postać białego prostokąta z czarną sylwetą Wojtka, niosącego w łapach pocisk. Po przeniesieniu II Korpusu do Wielkiej Brytanii i rozwiązaniu macierzystej jednostki Wojtek przyjęty został do ZOO w Edynburgu, gdzie żył do roku 1963, pozostając ulubieńcem szkockich dzieci i polskich weteranów...

Wilczy znak 15. Batalionu Strzelców Wileńskich.

Wilczym szlakiem tradycji

Wilk, archetyp arcydrapieżnika półkuli północnej, towarzyszył żołnierzom polskim od zarania II RP. Wizerunek wilczej głowy zdobił odznakę pamiątkową lwowskiego ochotniczego szwadronu kawalerii, a gdy po wojnie 1920 roku „Lwowskie Wilki" włączono jako 1. szwadron do nowo tworzonego 5. pułku strzelców konnych, wilczy łeb pozostał emblematem tego pododdziału. Także 15. pułk piechoty ozdobił swoją odznakę wizerunkiem wilczych pysków.

W nawiązaniu do tej tradycji, znak wilczego łba z groźnie nastawionymi uszami i wyszczerzonymi zębami wybrany został jako emblemat oddziału przez żołnierzy 15. Wileńskiego Batalionu Strzelców z 5. Wileńskiej BP w składzie 5. KDP. Oznaka, zatwierdzona urzędowo we wrześniu 1945 roku, wykonywana była w firmie A. Milani z cienkiej srebrnej blachy. Znak nakładano na mocowaną do beretu tarczę (ok. 30×30 mm) w kolorach piechoty – niebieskim i żółtym. Znane są różne wersje podkładki – tekstylne i z tworzywa sztucznego. Weterani nosili niekiedy oznakę rozpoznawczą jako odznakę pamiątkową batalionu – na lewej kieszeni kurtki mundurowej.

Wilk, a właściwie Wilczyca – i to Kapitolińska – ozdobiła odznakę pamiątkową Polskiego Ośrodka Akademickiego w Rzymie. Polakom – absolwentom włoskich uczelni wyższych nadawała ją Bratnia Pomoc – studencka organizacja samopomocowa o XIX-wiecznych tradycjach. Odznaka w wersji pełnowymiarowej (132×42 mm) miała kształt medalionu z wizerunkiem znanej antycznej rzeźby – symbolu stolicy Włoch, zwieńczonego inicjałami „POA" i okazałym, pionowym pękiem promieni, opatrzonym stylizowanym orłem polskim. Znacznie popularniejsza była miniaturka (27×14 mm), którą można było nosić w klapie marynarki. Studia we Włoszech traktowano jako przysposobienie do życia cywilnego na emigracji, a wielu dowódców zachęcało swoich młodych podwładnych do skorzystania z tej możliwości.

W trzeciej części opracowania zaprezentowane zostaną kolejne przykłady wykorzystania wizerunków zwierząt w falerystyce polskiej okresu II wojny światowej.

Literatura i ilustracje:
1. B. Wojciechowski, Z. Sawicki „Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie 1939-1947", Gdynia-Warszawa 2009
2. J. Murgrabia „Symbole wojskowe Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie 1939-1946", Warszawa 1990
3. „Wojsko Polskie 1939-1945" [w:] „Barwa i broń", Warszawa 1990
4 J. Dembiniok, B. Szczech, A. Urbański „Oznaki i odznaki Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie", Katowice 1984

Wojtek jako główny motyw emblematów 22. kompanii zaopatrywania artylerii.

Moje spotkanie z Twierdzą Osowiec, czyli o Forcie I słów kilka

TEKST: KRZYSZTOF LEJA
ZDJĘCIA: AUTOR, IRENEUSZ JAKUTEK
RYSUNEK: JERZY SADOWSKI

Okolice nadbiebrzańskiej wsi Osowiec, to fascynujące miejsce dla miłośników fortyfikacji. Oprócz samej Twierdzy, liczącej cztery Forty i obszerny plac broni, znajdziemy tutaj polskie ciężkie i lekkie schrony bojowe z 1939 roku. Ciekawe fortyfikacje zobaczyć możemy także w najbliższej okolicy Twierdzy, np. pod Prostkami spotkamy niemieckie schrony tzw. Pozycji Granicznej. W rejonie wsi Ciemnoszyje, czy Lipsk, leżą punkty oporu radzieckiej Linii Mołotowa, a z Osowca blisko jest do interesujących schronów z poternami, które zbudowano pod Szczuczynem, między wioskami Niedzwiedno a Brzeźno. Również do osławionej Góry Strękowej pod Wizną jest stąd zaledwie 50 km. To suche fakty o Twierdzy i okolicach, z których wynika, iż tereny wokół Osowca są istnym skansenem fortyfikacji. Nie sposób więc tutaj opisać wszystkiego, dlatego też zajmę się jedynie Fortem I (Centralny) Twierdzy Osowiec. Co prawda znajduje się on na terenie wojskowym, mało dostępnym, jednak dzięki współpracy Osowieckiego Towarzystwa Fortyfikacyjnego z jednostką Wojska Polskiego w Osowcu powstało tam Muzeum Twierdzy, a zatem możliwe stało się jego zwiedzanie.

Moja przygoda z Fortem I rozpoczęła się w sierpniu. Ponieważ kiedyś odwiedziłem Twierdzę, to oczywiście zwiedzanie podstawowej, dwugodzinnej trasy miałem już „zaliczone". Tym razem postanowiłem poznać cały fort wraz z rawelinem, czym zainteresowani byli także moi towarzysze. Mieliśmy świadomość, iż decydując się na tak specjalne zwiedzanie Twierdzy, należy się odpowiednio wcześniej umówić. Co też uczyniliśmy. Zależało nam przy tym, aby oprowadzała nas konkretna osoba, przewodnik uznawany za największego znawcę tego terenu – pan Mirosław Worona. Przywitał nas miło i sympatycznie, umówiliśmy się z nim na piątek na godzinę 10 rano, uprzednio wszystko uzgodnione zostało również z panią kustosz Muzeum Twierdzy Osowiec. Gdy w uzgodnionym terminie zjawiliśmy się w Forcie, natrafiliśmy na problem, który w efekcie obrócił się na naszą korzyść. Okazało się, że nasz przewodnik, p. Worona, zabrał już na wycieczkę inne osoby, natomiast nas postanowił dołączyć do grupy zwiedzającej standardową, dwugodzinną trasę. Dopiero później mieliśmy jedynie dodatkowo podejść na wyspę-rawelin… lecz już z kimś innym. Po krótkiej rozmowie z przewodnikiem, napotkanym przed bramą główną Twierdzy, udało się skontaktować z panią kustosz. Przedstawiliśmy sytuację i przypomnieliśmy fakt, iż byliśmy wcześniej umówie-

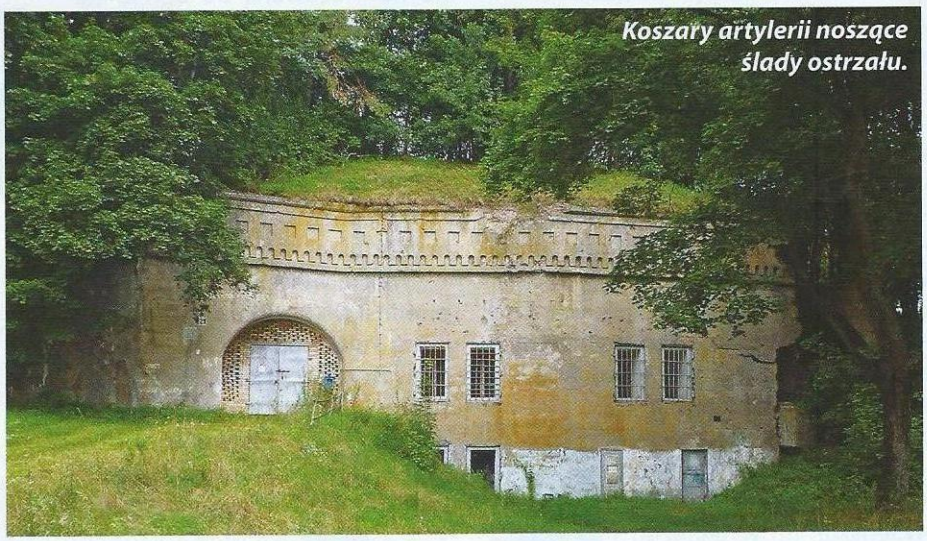

Koszary artylerii noszące ślady ostrzału.

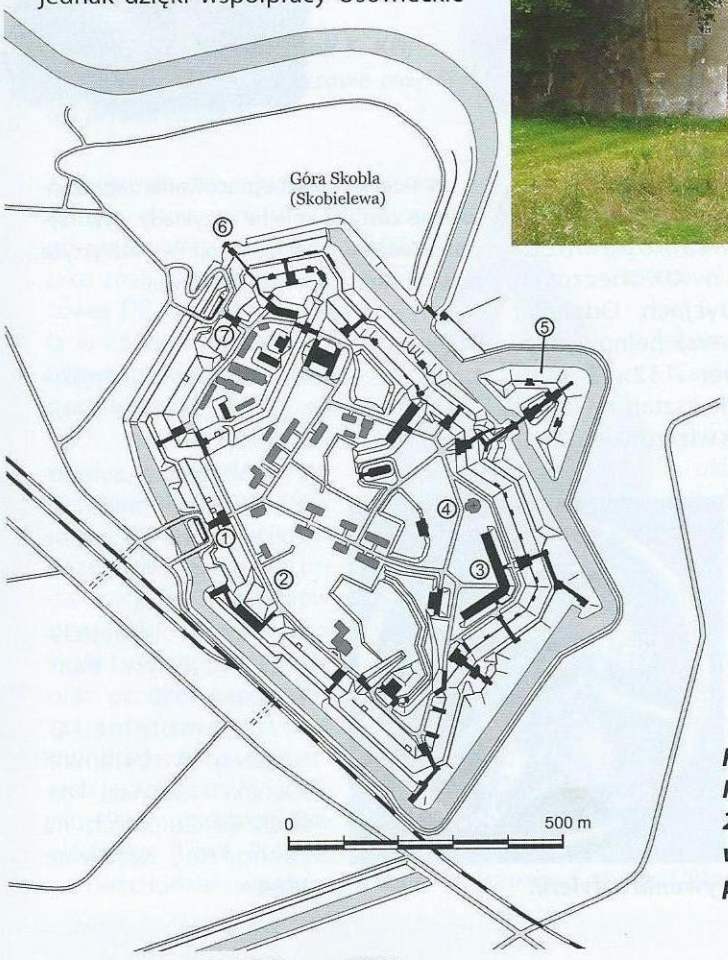

Plan Fortu I Twierdzy Osowiec, stan w roku 1915 (drogi poza Fortem pokazują stan współczesny). 1 – brama zachodnia, 2 – Muzeum Twierdzy, 3 – koszary główne, 4 – cerkiew, 5 – rawelin, 6 – kaponiera fosy suchej, 7 – brama północna. Rys. na podstawie opracowań B. Perzyka i A. Wapa

Koszary główne na dziedzińcu Fortu I.

Z placu głównego skierowaliśmy się prosto na wielki nietypowy rawelin, wysunięty przed wschodni front Fortu. Rawelin otacza mokra fosa, która tworzy z niego wyspę. Prowadzi do niego poterna pod fosą, którą w razie wdarcia się wroga na rawelin można było wysadzić i zalać. W poternie ciekawostkę stanowi specjalna posadzka antypoślizgowa. I tu znów ukłon w stronę naszego przewodnika, gdyż łatwo można ją pomylić z bruzdami pozostałymi po odkuciu płytek. Po

Przelotnia, stanowiąca przejście na dziedziniec prochowni, ze strzelnicami dla ckm Maxim.

ni i problem został rozwiązany. Rozpoczęliśmy zwiedzanie Fortu na wydłużonej trasie z panem Krzysztofem Szepielem, który wcześniej skontaktował nas z panią kustosz. Już na samym początku naszego zwiedzania osoba ta zrobiła na mnie pozytywne wrażenie, przepraszając za incydent i wyrażając nadzieję, że dalsza wędrówka minie już spokojnie i w miłej atmosferze. Tych przeprosin nie usłyszeliśmy od przewodnika, który umawiał się z nami wcześniej, mimo iż miał ku temu okazję, mijając nas na trasie.

Zwiedzanie Fortu I Centralnego Twierdzy Osowiec rozpoczęliśmy od koszar szyjowych Fortu, w których znajduje się Muzeum Twierdzy. Przedstawia ono w skrócie historię Twierdzy, począwszy od jej budowy pod panowaniem Rosji Carskiej, przez Centralną Szkołę Podoficerską Korpusu Ochrony Pogranicza, do roli, jaką spełniała pod patronatem Ludowego Wojska Polskiego. Po zwiedzeniu Muzeum, udaliśmy się wzdłuż fosy mokrej i południowo-wschodniej części wału do jego styku z częścią północno-wschodnią. Na styku tych dwóch odcinków, jako że jest on newralgicznym punktem Twierdzy stanowiącym połączenie sektorów obrony Fortu I i międzypola do Fortu III, znaleźć można betonowe ławy strzeleckie piechoty wraz z przelotnią, stanowiącą, poza swoją główną rolą, przejście na dziedziniec prochowni, a także wyposażoną w strzelnice dla czterech ckm Maxim, broniących drogi manewrowej. Przez przelotnię wyszliśmy na dziedziniec prochowni. Bardzo dobrze widoczna jest tutaj różnica między wałem niskim, położonym tuż nad fosą i przeznaczonym do bezpośredniej jej obrony przez piechotę, oraz wałem wysokim, przeznaczonym głównie dla artylerii, jako druga linia obrony. W wale wysokim można łatwo zauważyć sporą liczbę garaży dla armat, wraz z podręcznymi magazynami amunicji. Z dziedzińca prochowni wyszliśmy na główny dziedziniec Twierdzy, na którym znajdują się główne koszary Fortu I. Idąc wzdłuż budynku koszarowego na północ, znaleźliśmy się w miejscu niegdysiejszej cerkwi garnizonowej, później zaadaptowanej na kościół. Co ciekawe, można tu znaleźć kamień pamiątkowy, wraz z krzyżem, upamiętniające kościół garnizonowy, choć o tym, że początkowo była to cerkiew, autor najwyraźniej zapomniał. W miejscu samego budynku nie zostało już praktycznie nic, i gdyby nie obeznany w temacie przewodnik pewnie nigdy nie dowiedzielibyśmy się, gdzie tak naprawdę znajdował się ten budynek, i że początkowo był on cerkwią a nie kościołem.

Strzelnice stanowisk obrony fosy na rawelinie.

Betonowa ława ze stanowiskami ogniowymi dla ckm Maxim i piechoty.

Sucha fosa i kaponiera z grodzą wyposażoną w zadziory (stan w roku 2002).

przejściu na rawelin weszliśmy do kaponiery. Dysponuje ona skierowanymi na obie strony trzema stanowiskami armat fortecznych oraz po jednym stanowisku reflektora, wspomagającego obrońców podczas walk nocnych. Natomiast sam rawelin i prowadzące do niego dojście, to istny labirynt korytarzy, strzelnic i innych elementów fortyfikacji stworzonych tylko w jednym celu – dla obrony uporczywej, mającej maksymalnie utrudnić działanie szturmującej piechocie.

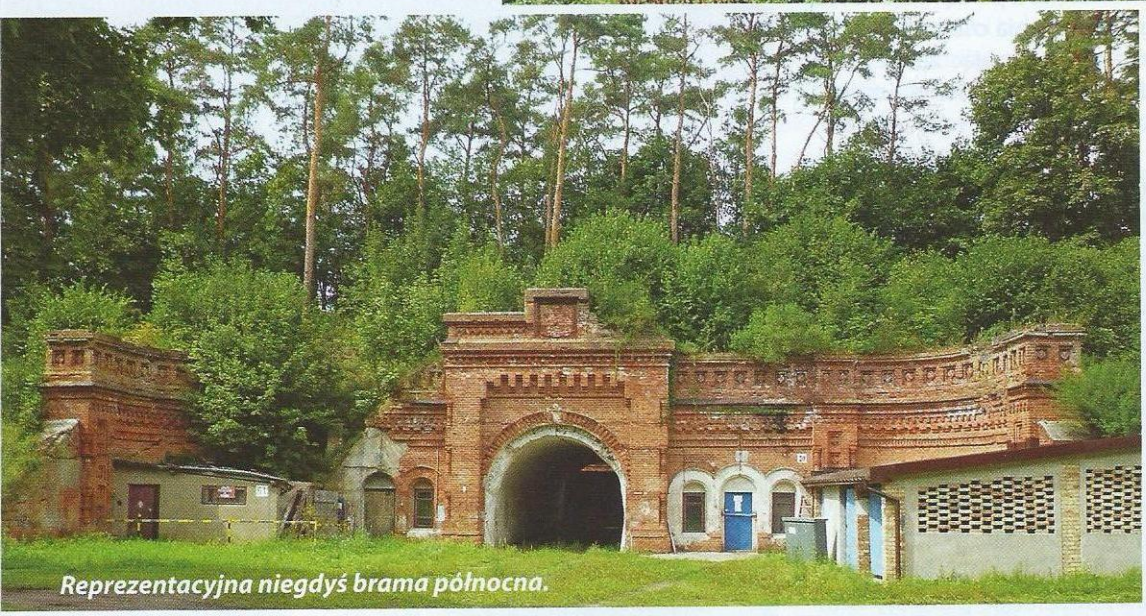

Reprezentacyjna niegdyś brama północna.

Wychodząc z rawelinu, poruszaliśmy się znów drogą manewrową, tym razem jednak na północny-zachód w kierunku fosy suchej. To najwyżej położona część Fortu, zajmująca szczyt rozległego wzniesienia nazywanego Górą Skobielewa. Po drodze mieliśmy okazję zobaczyć dwie ławy strzeleckie karabinów maszynowych Maxim, wraz ze znajdującymi się pod nimi schronami dla załogi. Obiekty te są niezwykle ciekawe, w Twierdzy Osowiec znajdują się bowiem jedyne na świecie egzemplarze tego typu budowli. Nie bez znaczenia znalazły się też na północnym skraju Fortu – jest to z pozoru najsłabszy element jego obrony – połączenie fosy mokrej z fosą suchą. Jednak w momencie wybudowania tu dwóch ław, każda wyposażona w kilka ckm Maxim, staje się on istnym polem śmierci. Dalej, przemieszczając się na zachód drogą manewrową, doszliśmy do kaponiery fosy suchej, na której znajduje się platforma widokowa. Doskonale widać tu przejście do kaponiery przeciwskarpowej, które pełni jednocześnie rolę grodzy w fosie suchej. Strop grodzy wyposażono w stalowe pręty z zadziorami, co praktycznie uniemożliwia przedostanie się do drugiej części fosy suchej, a tym samym wydostanie ze strefy ognia. Sama kaponiera dzieli się na dwie części: przeciwskarpową, po zewnętrznej stronie fosy, i skarpową, od strony wnętrza Fortu. Po wyjściu z kazamaty podążaliśmy już nie drogą, a ścieżką, wzdłuż fosy suchej w kierunku południowo-zachodnim. Po pewnym czasie dotarliśmy do bramy północnej, pełniącej w Twierdzy rolę reprezentacyjną. Brama jest pięknie zdobiona, niestety, częściowo rozbił ją pocisk artyleryjski podczas I wojny światowej oraz oszpeciły PRL-owskie dobudówki, które nijak się mają do kunsztownej roboty carskich murarzy. Na dziedzińcu przed bramą północną znajduje się też żółtawy budynek koszar artyleryjskich nr 46. Mimo że jest on w dużej części wysadzony, ciekawie odznacza się wśród czerwonej cegły innych fortyfikacji. Na placu mogliśmy również zobaczyć budynki warsztatów artyleryjskich. Stąd powędrowaliśmy już na południowy-zachód, w stronę bramy szyjowej, będącej początkiem trasy. Po drodze minęliśmy jeszcze wartownie i inne mniejsze budynki oraz przelotnię wewnątrz, oddzielającą wnętrze Fortu. I znów, gdyby nie nasz przewodnik, nie zwrócilibyśmy uwagi na fakt, iż przelotnia ta jest nieco szersza i wyższa od pozostałych, a wybudowano ją już po wojnie na miejscu oryginalnej wysadzonej. Praca została wykonana tak dobrze, że praktycznie tej przelotni nie da się odróżnić od oryginalnych.

Przed opuszczeniem Twierdzy czekała nas jeszcze krótka wizyta przy tablicy z reprodukcjami starych fotografii Twierdzy oraz przy pomniku poświęconemu pracownikom i adeptom centralnej szkoły podoficerskiej KOP. Tutaj też skończyła się nasza wycieczka po Forcie I Twierdzy Osowiec.

Literatura:
1. Perzyk. B. „Twierdza Osowiec 1882-1915", Warszawa 2004
2. Wap A. „Twierdza Osowiec, zarys dziejów", Białystok 1994

Krzysztof Leja
Student, pasjonat historii wojskowości, techniki wojskowej i fortyfikacji.

ARCHIWUM „ODKRYWCY” – TAK TANIO JESZCZE NIE BYŁO!

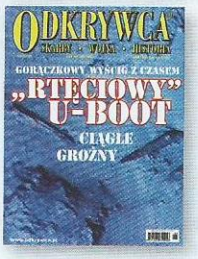

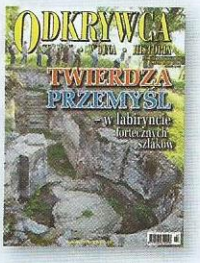

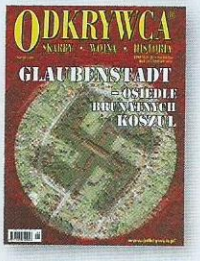

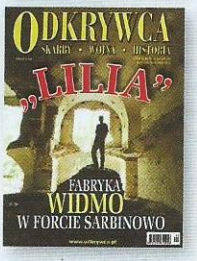

Dla naszych Czytelników przygotowaliśmy specjalną ofertę zakupu egzemplarzy archiwalnych. Przez okres od **1 XII 2012** roku do **31 III 2013** roku (liczy się termin złożenia zamówienia) proponujemy Wam zakup archiwalnych numerów „Odkrywcy” **po rewelacyjnie niskiej cenie 5 zł za egzemplarz.** Oferta dotyczy wszystkich dostępnych numerów, a szczególnie numerów z lat 2006-2011 (od nr 1/84 do 12/155), których regularna cena to 8 lub 9 złotych oraz numerów z pierwszego półrocza 2012 roku (od nr 1/156 do 6/161), których regularna cena to 11,55 zł.

Dodatkowe warunki promocji dotyczące numerów od 1/84 do 6/161 opłaconych przed odbiorem:

- przy zamówieniu minimum 10 dowolnych numerów, Zamawiający nie ponosi żadnych dodatkowych kosztów
- przy zamówieniu od 5 do 9 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 6,30 zł
- przy zamówieniu od 3 do 4 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 4,80 zł
- przy zamówieniu 2 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 2,70 zł
- przy zamówieniu 1 numeru, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 1,90 zł

Wpłaty należy kierować na nasze konto – numer:
98 2490 0005 0000 4520 6153 2533
dla IBHiK sp. z o.o., ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin.

Prosimy pamiętać o podaniu swoich danych **(imię, nazwisko i adres)** niezbędnych do realizacji zamówienia. W tytule przelewu prosimy o wpisanie jakich numerów dotyczy zamówienie.

Przykłady:

1. Zamawiam rocznik (12 numerów) z 2008 roku – cena stara 96 zł – **cena nowa 60 zł**
2. Zamawiam 10 numerów z lat 2006-2011 – cena stara od 80 do 90 zł – **cena nowa 50 zł**
3. Zamawiam 5 numerów z roku 2012 – cena stara 57,75 zł – **cena nowa 50 zł***

Przy zamówieniach opłaconych przy odbiorze, czyli „za pobraniem”, do wartości zamówienia, poza ewentualnym kosztem przesyłki, doliczamy dodatkowo 3 zł za usługę pobrania.

Dodatkowe informacje możecie Państwo uzyskać pod numerem telefonu 71 329 71 71 lub e-mailem prenumerata@odkrywca.pl

Zapraszamy do uzupełnienia swojego archiwum po wyjątkowo preferencyjnych cenach!

Przypominamy, że numery z lat 2001-2005 są do nabycie zawsze w cenie 5 zł/egz., natomiast numery od 7/162 do aktualnego są do nabycia w obniżonej cenie wydawniczej 11,55 zł/egz. razem z wysyłką.

Najprościej dokonując wpłaty

*) przykład graficzny

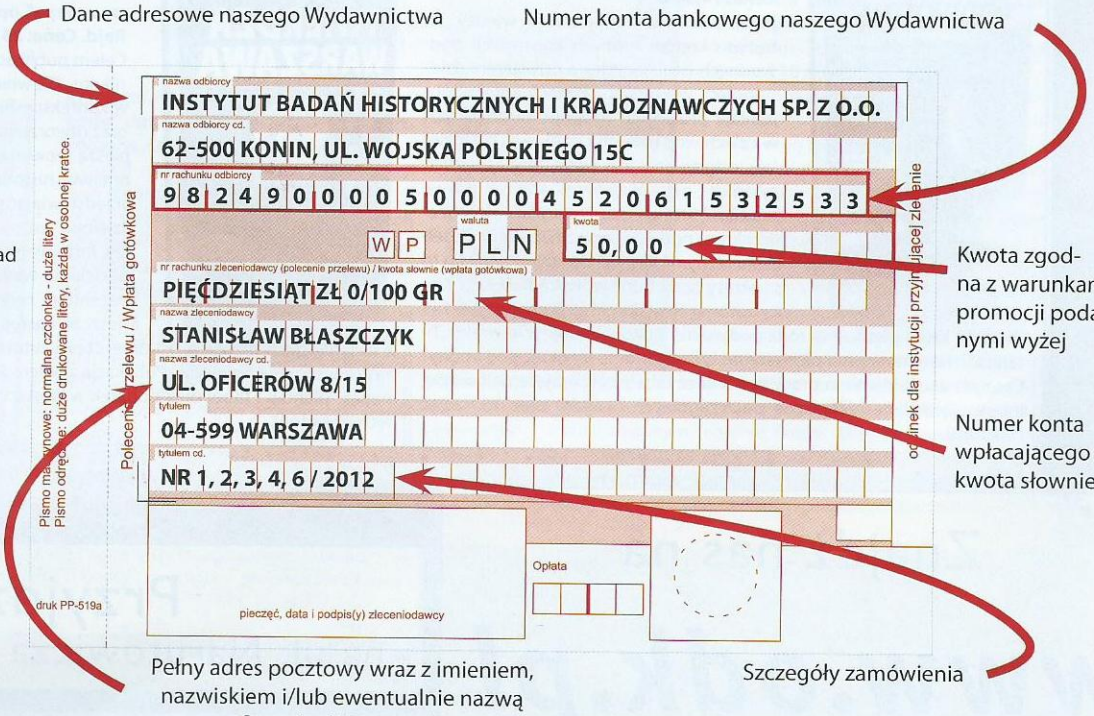

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Andrzej Perepeczko „Konie trojańskie III Rzeszy", opr. miękka, str. 296, wyd. Almapress. Cena: 32,30 zł

W publikacji przedstawiono mało znane w naszym kraju dzieje niemieckich krążowników pomocniczych w II wojnie światowej. Były to odpowiednio przebudowane i uzbrojone statki handlowe, samotnie operujące na morzach i oceanach świata. Ich uzbrojenie było świetnie ukryte i niewidoczne z innych okrętów czy samolotów do momentu otwarcia ognia. Krążowniki zmieniały specjalnie swój wygląd, podnosiły fałszywe bandery, upodobniając się do statków państw alianckich lub neutralnych – dlatego też nazywano je końmi trojańskimi.

„Mapa Twierdzy Modlin i okolic" skala 1: 25 000, opr. miękka, wyd. Rajd. Cena: 6,30 zł

Twierdza Modlin jest jedną z największych autonomicznych twierdz na świecie. Wymyślona przez Napoleona Bonaparte, była oczkiem w głowie czterech Carów Rosji. Niniejsza mapa okolic Twierdzy Modlin (w skali 1: 25 000) i plan cytadeli z listą najciekawszych miejsc pozwala bezbłędnie zlokalizować każdy z zabytków tego obiektu. Mapa zawiera wiele praktycznych informacji, np. wskazówki dojazdu do lotniska.

„Wspomnienia z twierdzy Świnoujście t.2" , red. Piotr Laskowski, opr. miękka, str. 92, wyd. Rajd. Cena: 14,70 zł

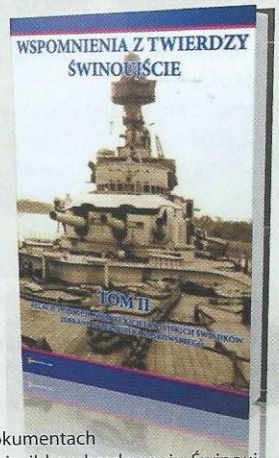

Cześć druga „Wspomnień z Twierdzy Świnoujście" zawiera zbiór relacji kolejnych świadków, których los związał z tym miejscem. W porównaniu z I częścią, praca zawiera również opowieści Rosjan (w I części jedynie Polaków i Niemców). We wspomnieniach poruszane są m.in. tematy Świnoujskiej Szkoły Artylerii, bazy radzieckiej marynarki wojennej w Świnoujściu, zdobycia miasta 5 V 1945 roku, czy też działań 17. BAS na Białej Górze. Osobny rozdział, oparty na literaturze oraz dokumentach niemieckich i rosyjskich, autor poświęcił bombardowaniu Świnoujścia w marcu 1945 roku.

Krzysztof Klimaszewski „Eskadry nad Poniatowem", opr. miękka, str. 168, wyd. Stratus. Cena: 44,10 zł

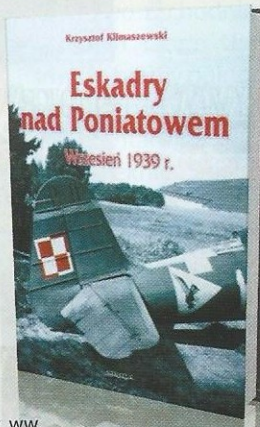

Tuż przed wybuchem II wojny światowej, jak również w pierwszych dniach jej trwania funkcjonowało w majątku hrabiego Zdzisława Grocholskiego w Poniatowie lotnisko polowe, w miejscu zwanym przez miejscowych mieszkańców „Pyrzowy Kiesz". Stąd startowały w obronie polskiego nieba samoloty myśliwskie PZL trzech eskadr: 113., 114. i 123., należących do Brygady Pościgowej, a po ich odejściu lotnictwo Armii Modlin. Opracowanie tego istniejącego zaledwie kilka dni lotniska, oparte jest głównie na wspomnieniach pilotów ww. eskadr. Książka ilustrowana dużą ilością zdjęć, w tym wielomа publikowanymi po raz pierwszy.

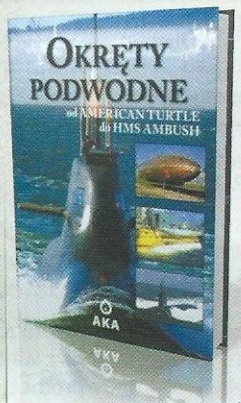

„Okręty podwodne. Od American Turtle do HMS Ambush" praca zbiorowa, opr. miękka, str. 176, wyd. AKA. Cena: 14,50 zł

Praca stanowi kompendium wiedzy na temat okrętów i innych konstrukcji podwodnych istniejących na przestrzeni dziesięcioleci. W krótkich tekstach autorzy objaśniają proces ich rozwoju, budowanych w celach wojskowych i naukowych. Udzielają odpowiedzi na wiele interesujących pytań: Ile było okrętów noszących nazwę Nautilus? Kto był konstruktorem pierwszego okrętu podwodnego z napędem diesel-elektrycznym? Kim był Gunther Prien? Co to są okręty podwodne jednokadłubowe? Kiedy zatonął rosyjski okręt podwodny K-141 „Kursk"? Która głębinowa łódź podwodna dokonała odkrycia wraku „Titanica"? Jaką nazwę ma pierwszy na świecie atomowy okręt podwodny? Cennym uzupełnieniem pracy są również tabele zawierające najbardziej interesujące dane techniczne poszczególnych okrętów oraz 160 zdjęć i ilustracji.

Piotr Oleńczak, Teodor Tuszko „Twierdza Warszawa. Przewodnik historyczny z mapą", opr. miękka, str. 192, wyd. Rajd. Cena: 25 zł

Celem publikacji jest przybliżenie czytelnikom XIX-wiecznych fortyfikacji stolicy w kontekście historycznym i kulturowym oraz otworzenie tych miejsc na turystykę pieszą i rowerową. Pierwsza część książki omawia historię twierdzy. Część druga, przedstawiająca fortyfikacje twierdzy, podzielona jest na trzy części – rdzeń twierdzy, forty pierścienia zewnętrznego i forty pierścienia wewnętrznego. Kolejna część prezentuje cerkwie Twierdzy Warszawa, a jeszcze następna opisuje carskie wizyty w fortyfikacjach stolicy. W ostatniej części autorzy proponują przykładowe trasy zwiedzania obiektów. Publikacja zawiera wiele czarno-białych zdjęć, mapek, planów i tabel oraz dodatek w postaci kolorowej mapy omawianych obiektów.

Znajdź nas na

www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Tomasz J. Kopański „24 Eskadra Rozpoznawcza 1939", opr. twarda, str. 144, wyd. Stratus. Cena: 66 zł

Jest to szczegółowa historia jednej z najlepszych polskich eskadr walczących w kampanii wrześniowej 1939 r. Wyposażona w maszyny typu PZL.23 Karaś, podstawowy samolot rozpoznawczy i bombowy polskiego lotnictwa w wojnie 1939 r., jednostka walczyła na południowym odcinku frontu polsko-niemieckiego. Eskadra ta, jako jedna z nielicznych, używała też operacyjnie najnowszego samolotu rozpoznawczego polskiego lotnictwa typu LWS-3 Mewa. Książka zawiera kolorowe plansze z samolotami 24 Eskadry, w tym po raz pierwszy pokazane Karasie uzbrojone w karabiny maszynowe typu Szczeniak, a także Mewę, której wojenne malowanie zostało po raz pierwszy zrekonstruowane na podstawie fotografii z września 1939 r. Jej mocną stroną jest też wyjątkowo ciekawy zestaw archiwalnych fotografii, z których większość nie była jeszcze publikowana (łącznie praca zawiera 135 zdjęć cz.b. i 17 kolorowych profili). Część zdjęć została wykonana w czasie działań wojennych przez polskich lotników (wyjątkowa rzadkość!) co samo w sobie mówi o wartości tego opracowania.

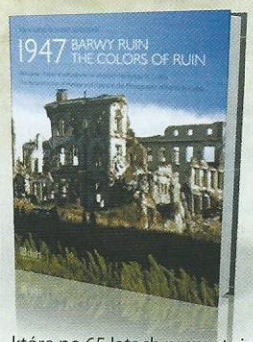

Maria Sołtys, Krzysztof Jaszczyński „1947 Barwy Ruin", opr. miękka, str. 152, wyd. Dom Spotkań z Historią. Cena: 55 zł

Album ze zdjęciami Henry'ego N. Cobba prezentuje po raz pierwszy w Polsce kolorowe fotografie zrujnowanej Warszawy, Szczecina, Wrocławia i innych miast Polski. Cobb w 1947 roku wraz z grupą amerykańskich architektów odwiedził m.in. Anglię, Czechosłowację i Polskę, by obejrzeć postępy w odbudowie tych krajów ze zniszczeń wojennych. Zrobił ponad 100 fotografii (z czego ok. 40 z Warszawy), które po 65 latach prezentuje w albumie Dom Spotkań z Historią. Autorzy albumu zestawili fotografie zniszczonych obiektów z projektami architektonicznymi, które w tych miejscach miały być realizowane. Rok 1947, w którym wykonano zdjęcia, był ostatnim, w którym architekci i urbaniści cieszyli się względną wolnością w projektowaniu. Książka w języku polskim i angielskim.

Artiom Drabkin „Przeżył jeden ze stu", opr. miękka, str. 368, wyd. Maszoperia Literacka. Cena: 46,80 zł

W pracy Artioma Drabkina poznajemy relacje dziesięciorga radzieckich zwiadowców, którzy brali udział w II wojnie światowej. Zaletą tych wspomnień jest brak propagandowego filtra, który nie raz wygładzał brutalną wojenną rzeczywistość. Weterani bez patosu snują swoje opowiadania o działaniach zwiadu w walkach z nazistowską armią: pod Leningradem, Kurskiem, w Karelii, Mołdawii, na Węgrzech i w Polsce. Mówią również o krwawych bojach nad Narwą, na przyczółku szerpieńskim, o forsowaniu Niemna, Dońca, rzeki Gron na Słowacji, Wisły i Odry, o okrążeniu w Poznaniu 60-cio tysięcznego ugrupowania niemieckiego i oczywiście o zdobyciu Berlina. Uzupełnieniem relacji byłych zwiadowców są dwa opracowania dotyczące wojskowego rozpoznania Armii Czerwonej i Wehrmachtu na froncie wschodnim w czasie II wojny światowej.

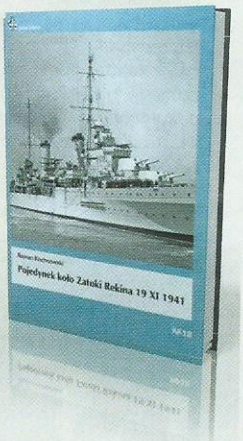

Roman Kochnowski „Pojedynek koło Zatoki Rekina 19 XI 1941", opr. miękka, str. 96, wyd. Inforteditions. Cena: 24 zł

Kolejna książeczka w serii „Pola bitew", tym razem opisuje morski pojedynek niemieckiego krążownika pomocniczego Kormoran z australijskim krążownikiem lekkim Sydney. Autor dokonuje przeglądu dotychczasowych ustaleń na temat tego starcia i stara się przedstawić najbardziej prawdopodobny przebieg walki obu okrętów.

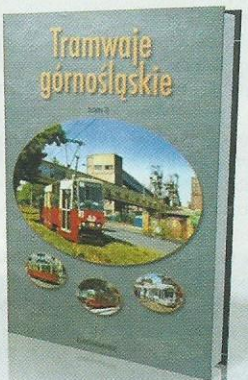

Krzysztof Soida, Zbigniew Danyluk, Przemysław Nadolski „Tramwaje górnośląskie. Tom 2", opr. twarda, str. 408. Cena: 110 zł

Drugi tom tramwajów aglomeracji katowickiej opisuje dzieje tego systemu transportowego po 1945 roku. Jest podobnie, jak tom pierwszy, opasły i niezwykle bogato ilustrowany – ponad 670 ilustracji. Liczne dane statystyczne i wykazy zaprezentowano w formie 46 tablic.

Ukoronowaniem i niezbędnym uzupełnieniem zasadniczego tekstu są załączniki, m.in. wykaz linii, łącznic, pętli torowych i zajezdni uruchomionych po 1945 r., czy kalendarium linii tramwajowych po 1945 r. Zaletą monografii jest zebranie w całość i przedstawienie, często nieznanych, faktów z historii komunikacji tramwajowej w najbardziej zindustrializowanym i zurbanizowanym regionie Polski. Autorzy, czerpiąc wiedzę z podstawowych dokumentów archiwalnych i prasy codziennej, zamiast opracowań już przetworzonych, prostują wiele nieprawdziwych, powtarzanych przez lata błędów dotyczących dat i przebiegu zdarzeń.

Krzysztof Kubiak „Epizody wojny o pogodę", opr. miękka, str. 122, wyd. Inforteditions. Cena: 24 zł

Z uwagi na znaczenie obszarów arktycznych dla kształtowania pogody w całej Europie i na przyległych akwenach morskich podczas II wojny światowej toczyła się więc na północy nie tylko śmiertelna konfrontacja między u-bootami i aliancką żeglugą, ale również bezpardonowa rywalizacja o dane meteo. Niniejsze opracowanie poświęcone jest właśnie jednemu z obszarów „wojny o pogodę", a mianowicie podejmowanym przez Niemców próbom zakładania załogowych stacji meteorologicznych oraz alianckim wysiłkom zmierzającym do uniemożliwienia ich działań. Autor w celowy sposób zrezygnował przy tym z eksploracji innych wątków, takich jak geneza i organizacja służb meteorologicznych niemieckiej marynarki i lotnictwa, sygnalnie tylko traktując trawlery meteorologiczne, prowadzenie obserwacji pogodowych przez u-booty czy obloty – prognozy realizowane przez samoloty.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

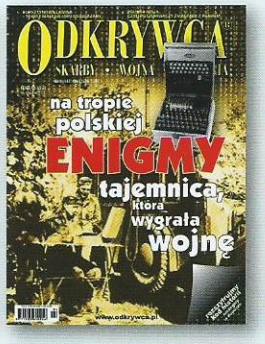

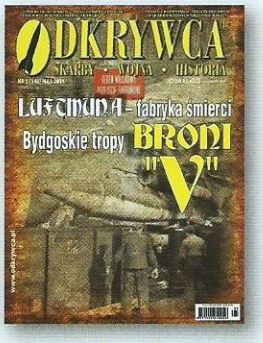

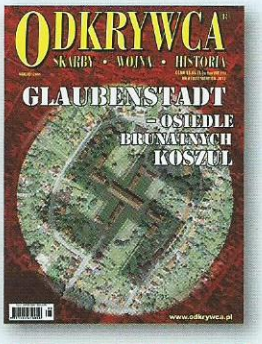

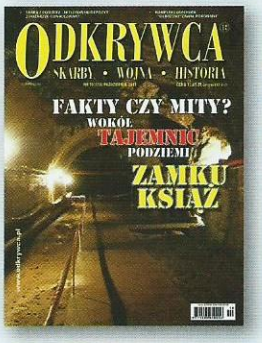

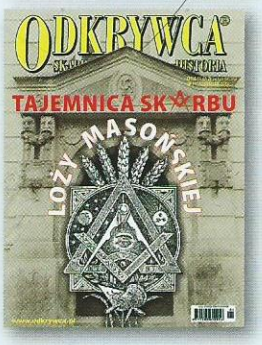

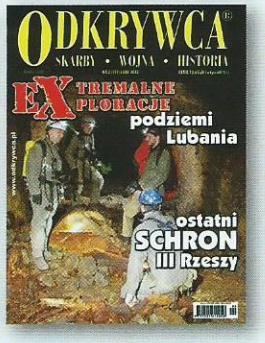

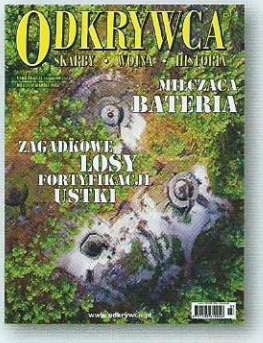

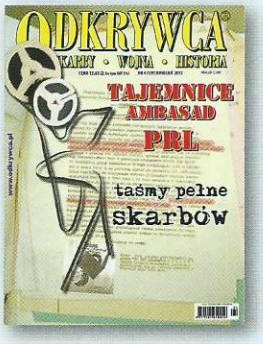

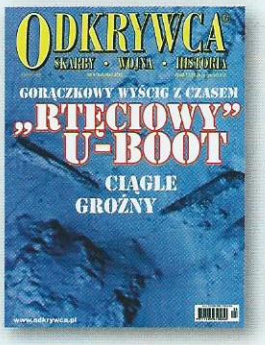

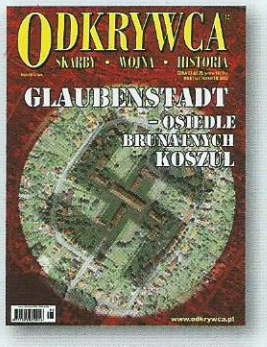

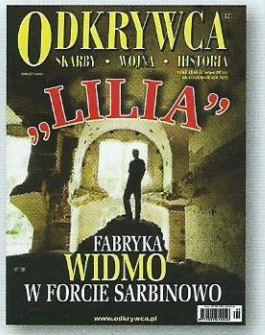

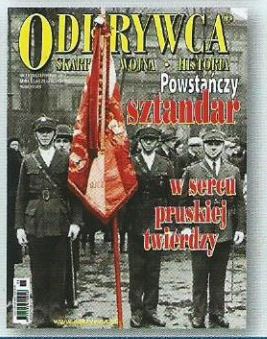

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancja: ► stałej, niższej ceny ► szybkiej dostawy pod wskazany adres ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl

Możecie także skorzystać z usług firm współpracujących:

- Poczta Polska
- Ruch

lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane adresowe oraz informację, od którego numeru ma się ona rozpocząć. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:
► krajowa roczna – 136,50 zł; półroczna – 68,25 zł
► zagraniczna półroczna: 102,25 – list zwykły, 132,25 zł – list priorytetowy. Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:
listownie na adres: Redakcja „Odkrywcy", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty.
telefonicznie: 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga! Do nabycia numery archiwalne:

- rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
- rok 2001 nr od 3/27 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
- roczniki 2002 do 2005 – cena 60 zł
- roczniki 2006 do 2009 – cena 96 zł
- roczniki 2010 do 2011 – cena 108 zł
- Cena razem z kosztami wysyłki.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

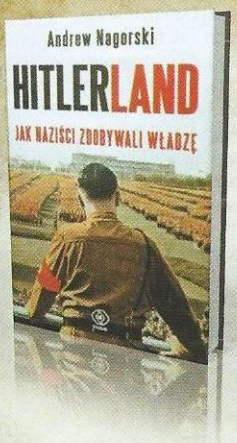

Andrew Nagorski „Hitlerland", opr. twarda, str. 424, wyd. Rebis. Cena: 48,90 zł
Autor przedstawia czytelnikom fascynujący obraz Niemiec widziany oczami Amerykanów, którzy żyli i pracowali w Berlinie, w czasach, gdy Hitler dochodził do władzy i kiedy zaczęła się rozkręcać zabójcza machina nazizmu. Wśród Amerykanów mieszkających w Berlinie byli dziennikarze i dyplomaci, a także tak znane postacie, jak słynny sportowiec Jesse Owens czy lotnik Charles Lindbergh. Relacje tych osób, które mogły z bliska śledzić każdy ruch Hitlera, pomagały Amerykanom zrozumieć naturę zbrodniczej ideologii oraz drogę, jaką przeszły Niemcy od wojującej demokracji do totalitarnej dyktatury.

Andrzej Zasieczny „Broń pancerna III Rzeszy tom 2", opr. twarda, str. 176, wyd. Almapress. Cena: 49 zł
Publikacja zawiera opisy 23 typów i kilkunastu wersji najważniejszych samobieżnych dział przeciwpancernych i samobieżnych dział przeciwlotniczych III Rzeszy wykorzystywanych w czasie II wojny światowej. Zaprezentowano tutaj historię rozwoju pojazdów, wszystkie ich wersje i odmiany, a także zastosowanie bojowe. Obszernie omówiono budowę wozów, akcentując nowatorskie rozwiązania techniczne. Opisowi każdego pojazdu towarzyszą kolorowe ilustracje jego sylwetki bocznej, rysunki w czterech rzutach oraz zdjęcia. Wstęp do publikacji autor poświęcił na wyjaśnienie, czym różniły się niszczyciele czołgów i samobieżne działa przeciwpancerne.

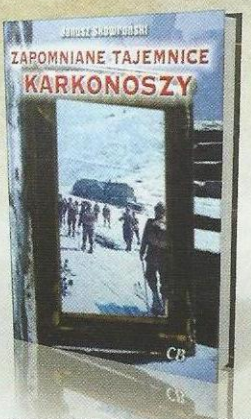

Janusz Skowroński „Zapomniane tajemnice Karkonoszy", opr. miękka, str. 374, wyd. Agencja Wydawnicza CB. Cena: 44 zł
Autor przybliża czytelnikom nieznane szerzej wydarzenia, które rozgrywały się w Karkonoszach w ostatnich latach II wojny światowej i pierwszych latach pokoju. Dzięki dotarciu do wielu świadków i nieznanych dotąd dokumentów, autorowi udało się odkryć największe tajemnice, jakie kryją się w tym paśmie górskim. Opisuje m.in. ucieczki Hansa Franka i Karla Hankego, odnalezienie dzieł Jana Matejki we wsi Hain, tajemniczą postać płk. Sokołowa, chorobę, śmierć i dziwne okoliczności pochówku pisarza Gerharta Hauptmanna, czy poszukiwania Ericha Fuchsa. Bohaterami innych opisanych historii są tak różnorodne osoby, jak np. Hanna Reitsch, Johannes Becher, Gieorgij Żukow, Konstantin Rokossowski, Wojciech Tabaka, Stanisław Lorentz, Henryk Świątkowski, Leopold Staff, czy Jan Olszewski. Wszystkie te postacie, z pozoru nie mają ze sobą wiele wspólnego, ale ich losy splotły się w Karkonoszach. Do książki dołączono płytę z filmem „Tajemnice Łąkowego Kamienia".

Adam Michał Janicki, Michał Maurycy Janicki „Góry Sowie Riese. Wstęp do najbardziej skrywanej tajemnicy SS", opr. miękka, str. 320, wyd. Janicki. Cena: 35 zł Praca stanowi nową, uzupełnioną o liczne ciekawostki wersję książki „Góry Sowie. Świat tajemnicy III Rzeszy". Podobnie jak w tamtej publikacji, zamieszczono w niej informacje poparte dokumentami, wywiadami oraz zilustrowane aktualnymi zdjęciami opisywanych terenów i obiektów. Autorzy na podstawie własnych doświadczeń oraz wnikliwych badań na temat wojennych wydarzeń w Górach Sowich, próbują udowodnić istnienie niemieckich latających dysków.

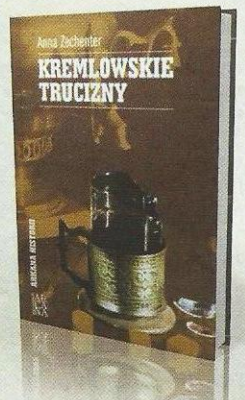

Anna Zechenter „Kremlowskie trucizny", opr. twarda, str. 464, wyd. Arcana. Cena: 42 zł
Autorka zebrała w niniejszej książce szereg swoich tekstów, część z nich była publikowana na łamach różnych gazet i periodyków np. w „Biuletynie Informacyjnym IPN". Tematyka artykułów związana jest z działalnością służb specjalnych w ostatnich latach istnienia ZSRR oraz we współczesnej Rosji. Anna Zechenter przybliża historie osób, które z racji swoich politycznych poglądów, niezgodnych z oficjalną linią Kremla, zostały otrute lub zamordowane w inny sposób. Do dziennikarzy strzela się w biały dzień, natomiast politycznym wrogom prezydenta Putina podaje się trucizny. Uszkadzają one na stałe ich zdrowie – jak ukraińskiemu politykowi Wiktorowi Juszczence, zatrutemu dioksyną w 2004 r. – albo powodują ich śmierć, jak Aleksandra Litwinienki, zmarłego po napromieniowaniu polonem w 2006 roku.

Łukasz Pabich „Zenta 11 IX 1697", opr. miękka, str. 96, wyd. Inforteditions. Cena: 23,50 zł
Opisywana w niniejszej publikacji bitwa pod Zentą była największym starciem wojny austriacko-tureckiej z lat 1683-1699. Pod wodzą księcia Eugeniusza Sabaudzkiego mniej liczne wojska austriackie pokonały armię sułtana Mustafy II. W książce opisano nie tylko przebieg bitwy, ale również okoliczności w jakich do niej doszło. W pierwszym rozdziale przedstawiono okres w polityce europejskiej od odsieczy wiedeńskiej do starcia pod Zentą. Rozdział drugi poświęcony jest kampanii roku 1697 roku. W kolejnych rozdziałach omówiono skład, liczebność obu armii, postaci ich dowódców, samo starcie, a także jego konsekwencje dla walczących stron. Praca zawiera również mapki i liczne ilustracje.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

kolekcja ODKRYWCY

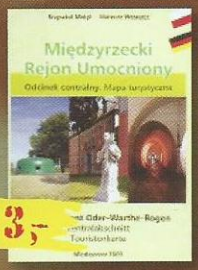

MAPA „MIĘDZYRZECKI REJON UMOCNIONY. ODCINEK CENTRALNY”
Wydanie zawiera, poza dokładną mapą topograficzną rejonu od Lubrzy do Chyciny, dwujęzyczny (polski i niemiecki) opis stałych budowli obronnych centralnego odcinka FF OWB a także opis wartych obejrzenia pobliskich miejscowości.

13,-

NOWOŚĆ!

36,-

NOWOŚĆ!

METALOWY KUBEK
termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

20,-

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

50,-

NOWOŚĆ!

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY”
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

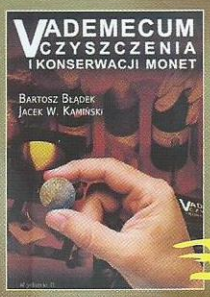

35,50

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET”
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

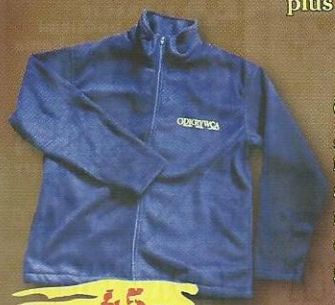

45,-

ORYGINALNA BLUZA „ODKRYWCY”
rozpinana na suwak, ze stójką, boczne kieszenie, napis haftowany. UWAGA: dostępne jedynie w kolorze granatowym i rozmiarze L.

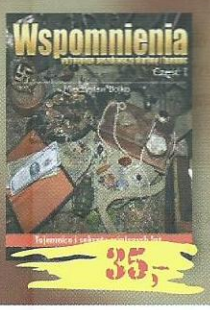

35,-

WSPOMNIENIA WYTRAWNEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW I TAJEMNIC.
Książka opowiada o niezwykle ciekawych wątkach historii, o skrywanych przez wiele lat opowieściach i tajemnicach, a także o mitycznych skarbach.

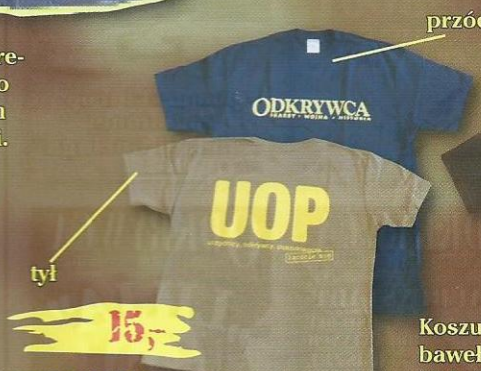

15,-

T-SHIRT DAMSKI
kolor khaki w rozmiarach S, M i L
kolor granat w rozmiarach S, M, L i XL

20,-

Koszulki „Odkrywcy” z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny w rozmiarach: M, L, XL, XXL. Kolor oliwkowy w rozmiarach: M, L, XL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca” z przodu i z tyłu.

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 1/168

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko .....

kod pocztowy ..... miejscowość .....

ulica ..... nr domu .....

telefon .....

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy” zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego .....

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

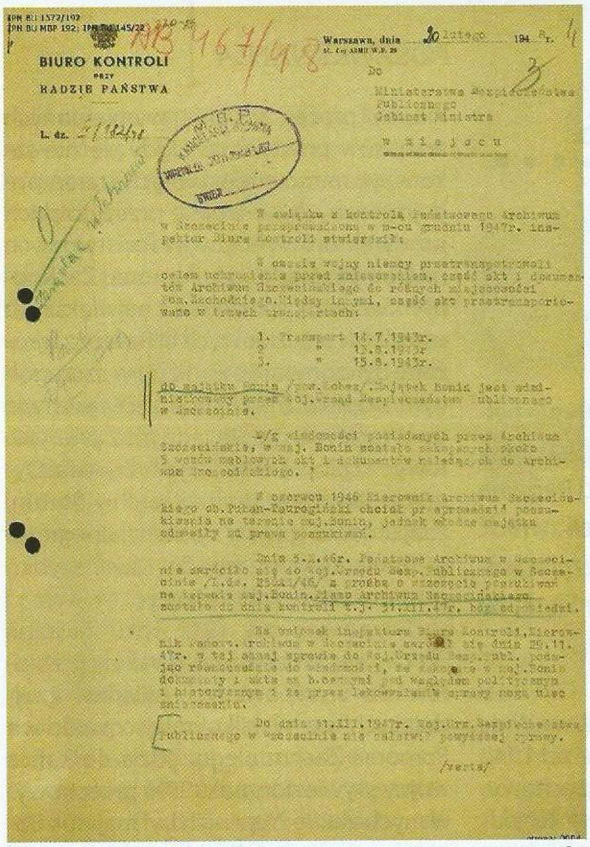
IPN BU 1572/192
IPN BU MBP 192; IPN [illegible] 145/22

BIURO KONTROLI
PRZY
RADZIE PAŃSTWA

L. dz. [illegible]

Warszawa, dnia 20 lutego 194 8 r.

Do
Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego
Gabinet Ministra
w miejscu

1. Transport 14.7.1943r.
2. " 13.8.1943r.
3. " 15.8.1943r.

/Szczot/

Pismo w sprawie ukrytych w majątku Bonin akt Staatsarchiv Stettin.

1943 roku ze Staatsarchiv Stettin wyjechało łącznie *„5 wozów meblowych cennych akt o wielkim znaczeniu historycznym i politycznym”*. Ich celem był oddalony o 90 km na północny wschód majątek Bonin, gdzie archiwalia miały zostać ukryte w bliżej nieokreślonym miejscu – najprawdopodobniej zakopane w ziemi na terenie zespołu dworsko-parkowego należącego niegdyś do Viktora Poraka. Bolesław Tuhan-Taurogiński, nie namyślając się długo, wysłał zaopatrzonego we wszelkie możliwe pełnomocnictwa, opatrzone jak największą ilością urzędowych pieczątek, delegata Archiwum Państwowego w Szczecinie w celu podjęcia tropu ukrytych archiwaliów. Gdy ten ostatecznie odnalazł właściwe miejsce okazało się, że teren, na którym miały zostać złożone szczecińskie archiwalia administrowany jest przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego z pobliskiego miasta Łobez. Przedstawiciel archiwum musiał więc przełamać wewnętrzny opór i przekroczyć progi, których wówczas unikano jak ognia. Gdy już się przemógł, wszechwładni ubecy nie przejawili jakiejkolwiek woli współpracy, zwyczajnie każąc mu się wynosić. Gdy w sierpniu 1946 roku delegat zjawił się tam ponownie, również odmówiono mu możliwości, nie tyle przeprowadzenia jakichkolwiek poszukiwań, ale również wstępnego rekonesansu. Żaden protest nie miał sensu. Ze względu na zaistniały impas dyrektor szczecińskiego AP Bolesław Tuhan-Taurogiński doszedł do wniosku, że jedyną możliwością jego przełamania będzie zaangażowanie w poszukiwania… samych ubeków. Oczywiście chcąc zrealizować taki scenariusz, musiał sprawę załatwić na dużo wyższym szczeblu, niż powiatowy. Archiwista zwrócił się w październiku 1946 roku z oficjalną prośbą o możliwość przeprowadzenia poszukiwań na terenie majątku Bonin do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Szczecinie. Mijały jednak kolejne miesiące, a odpowiedź nie nadchodziła. Pismo pozostało bez odpowiedzi przez kolejny rok. Być może sprawa ta zostałaby całkowicie odłożona *ad acta*, gdyby nie kontrola w szczecińskim Archiwum, jaką przeprowadził w listopadzie 1947 roku Inspektor Biura Kontroli przy Radzie Państwa dr Szczot. Przeglądając wyrywkowo sporządzaną przez archiwistów dokumentację i korespondencję, urzędnik zwrócił uwagę na jedno z pism, które mimo upływu kilkunastu miesięcy nie doczekało się jakiejkolwiek odpowiedzi. Sytuacja wydała się inspektorowi niedopuszczalna, wobec czego postanowił sprawę odgórnie wesprzeć, wykorzystując autorytet swojej instytucji. Tym samym dyrektor Archiwum Państwowego zyskał dla swej sprawy nieocenionego sojusznika, dzięki któremu mógł użyć ostrzejszej retoryki wobec szefa WUBP: *„Bez względu na to kto ponosi winę w omawianej sprawie, o czym sąd nie do nas należy, stwierdzamy, że o wyniku poszukiwań przez Woj. Urz. Bezp. Publ. w Szczecinie Archiwum Państwowe dotychczas nie zostało powiadomione, że zbiory archiwalne niezmiernie cenne pod względem historycznym i politycznym, w przeciągu 12 miesięcy nie zostały odnalezione przez zlekceważenie sprawy, której wagę w naszej korespondencji podkreślaliśmy”* – pisał w kolejnym piśmie do WUBP Bolesław Tuhan-Taurogiński – prosząc uprzejmie, acz stanowczo o wyjaśnienia. Tym razem odpowiedź przyszła znacznie szybciej, bo zaledwie po miesiącu. Szef WUBP w Szczecinie płk J. Mrożek, co zaskakujące, poinformował dyrektora o szeregu czynności, jakie podjęto w jego sprawie. Okazało się, że funkcjonariusze dotarli nawet do miejscowego autochtona, który potwierdził przyjazd do majątku Bonin transportu z aktami w 1943 roku. W ten sposób ustalono, że konwoje przybywały do wsi w godzinach wieczornych, pozostawały na miejscu przez całą noc, lecz kolejnego ranka pojazdy znikały równie niespodziewanie, jak się pojawiły odjeżdżając w nieznanym kierunku. Niestety świadek poza zarejestrowaniem samego faktu przyjazdu ciężarówek, nie był w stanie powiedzieć czy wozy były wyładowywane, czy też konwój zatrzymał się tylko na nocleg. Co więcej, szef WUBP w Szczecinie sugerował również, że siłami miejscowego PUBP przeprowadzono w sprawie liczne działania: *„W 1946 roku poszukiwano akt w całym zabudowaniu maj. Bonin, w piwnicach, w lesie, wokół budynków, na cmentarzu ogólnym i małym znajdującym się na drodze prowadzącej do Królewca, oraz kościele ewangelickim i podziemiach”*. Niestety bez efektu. Czy kiedykolwiek później udało się w maj. Bonin odnaleźć poszukiwane archiwalia? Tego nie udało się ustalić, jeżeli ktokolwiek ma wiedzę na ten temat, prosimy się nią podzielić.

Lista klisz i przeźroczy odnalezionych na terenie Ambasady RP w Paryżu.

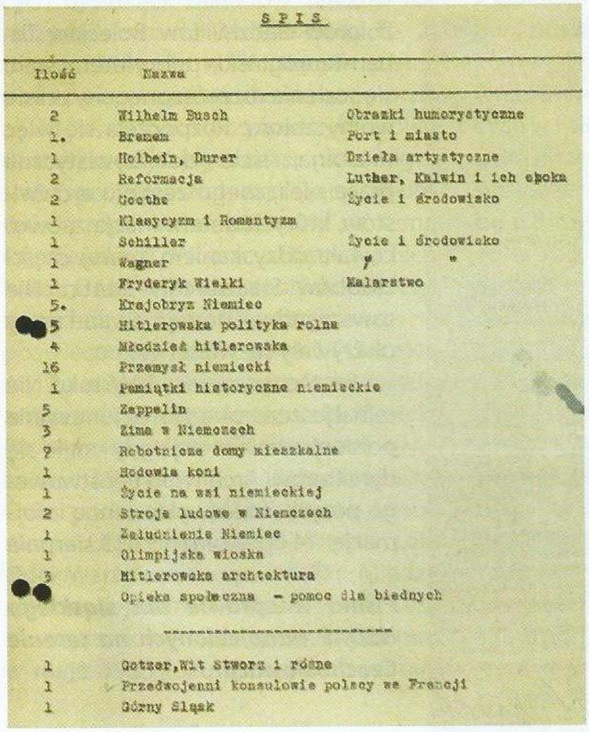
SPIS

Ilość	Nazwa	
2	Wilhelm Busch	Obrazki humorystyczne
1.	Bremen	Port i miasto
1	Holbein, Durer	Dzieła artystyczne
2	Reformacja	Luther, Kalwin i ich epoka
2	Goethe	Życie i środowisko
1	Klasycyzm i Romantyzm	
1	Schiller	Życie i środowisko
1	Wagner	" "
1	Fryderyk Wielki	Malarstwo
5.	Krajobrys Niemiec	
5	Hitlerowska polityka rolna	
4	Młodzież hitlerowska	
16	Przemysł niemiecki	
1	Pamiątki historyczne niemieckie	
5	Zeppelin	
3	Zima w Niemczech	
7	Robotnicze domy mieszkalne	
1	Hodowla koni	
1	Życie na wsi niemieckiej	
2	Stroje ludowe w Niemczech	
1	Zaludnienie Niemiec	
1	Olimpijska wioska	
3	Hitlerowska archtektura	
[illegible]	Opieka społeczna - pomoc dla biednych	
1	Gotzer, Wit Stwosz i różne	
1	Przedwojenni konsulowie polscy we Francji	
1	Górny Śląsk	

Francuski łącznik...

Paryż, maj 1950 roku. Podczas prac porządkowych w jednym z pomieszczeń gmachu Ambasady RP w stolicy Francji przy Rue Saint-Dominique 57, natrafiono na nieruszane od czasów wojny dwie skrzynie. Gdy je otworzono, okazało się, że wypełnione są po brzegi licznymi kliszami i przeźroczami. Po ich pobieżnym przejrzeniu stwierdzono, że zawierają poniemieckie materiały z czasów okupacji, gdy budynek zajmowany był przez niemiecki dom kultury. Pracownikom placówki dyplomatycznej trudno było ocenić wartość znaleziska, dlatego też zwrócili się z prośbą do Ministerstwa Spraw Zagranicznych o dalsze wytyczne. MSZ skierował z kolei zapytanie do MBP, wraz ze szczegółową listą zagadnień jakie utrwalone zostały na poszczególnych kliszach i przeźroczach. Z dzisiejszej perspektywy całość, licząca ponad 50 pozycji obejmujących liczne tematy z zakresu niemieckiej kultury, sztuki, życia społecznego, handlu i przemysłu, wydaje się być nadzwyczaj ciekawa, jednak na początku lat 50. bezpieka zainteresowała się zaledwie kilkoma materiałami, które trafiły ostatecznie do archiwów MBP:

„1/ Historia powstania i rozwoju ruchu hitlerowskiego /przeźrocza/.
2/ Życie partii hitlerowskiej /przeźrocza/.
3/ Życie Hitlera i partii /przeźrocza/.
4/ Przedwojenni konsulowie we Francji /przeźrocza/.
5/ Marszałek Piłsudski i Rydz-Śmigły /klisze/".

Przyczyna przejęcia zaledwie niewielkiej części odnalezionego zbioru była dwojaka. Po pierwsze najwyraźniej w owym czasie MBP dysponowało podobnymi, wcześniej pozyskanymi materiałami, które *de facto* nie przedstawiały wartości operacyjnej. Po drugie, jak się za chwilę okaże, resort miał poważne problemy lokalowe związane z miejscem przechowywania pozyskiwanych od początku swojego funkcjonowania archiwaliów.

Czechosłowacki trop śląskiego NSDAP

Pod koniec października 1950 roku Delegat Rządu Rzeczpospolitej Polskiej dla Spraw Rewindykacji w Czechosłowacji, za pośrednictwem Ambasady RP w Pradze, powiadomił Biuro Rewindykacji Ministerstwa Handlu Zagranicznego, że: *„strona czechosłowacka stwierdziła istnienie na tutejszym terytorium pewnej ilości dokumentów NSDAP pochodzących z Górnego Śląska"*. Sprawa nie była nowa, gdyż informacja ta pokrywała się z podobną sprzed trzech lat. Wówczas to udało się pozyskać sporą ilość interesujących stronę polską nazistowskich archiwaliów partyjnych, uznano więc, że tym razem pojawiła się szansa na zdobycie kolejnych. Czechosłowacki partner zdawał się jednak działać na zwłokę, unikając precyzyjnych odpowiedzi, jakimi materiałami dysponuje. Po kilku tygodniach intensywnych negocjacji okazało się, że na początku października 1950 roku w miejscowości Děčin odnaleziono 16 skrzyń z dokumentami, które przewiezione zostały niedługo potem do Pragi. *„Wg opinii strony czechosłowackiej wspomniane wyżej akta są przeważnie charakteru politycznego i zawierają materiał obciążający niektóre osoby, przebywające może jeszcze dzisiaj w Polsce. Delegatura zwraca na powyższe uwagę i prosi o decyzję w sprawie adresu wysyłkowego"*. Za naturalnego odbiorcę dokumentów NSDAP z Czechosłowacji dyrektor Biura Rewindykacji Ministerstwa Handlu Zagranicznego Winiarski uznał... Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Sprowadzeniem skrzyń do Polski i dostarczeniem jej pod wskazany adres miała się zająć słynna firma spedycyjna C. Hartwig, wówczas podporządkowana MHZ. W tym momencie rozpoczęły się dość nietypowe komplikacje. Dyrektor Departamentu II MBP zdecydował bowiem, że skrzynie mają trafić do warszawskiego Biura Rewindykacji, gdzie powinny zostać zabezpieczone i przechowywane w odpowiednim pomieszczeniu do dyspozycji resortu. Okazało się to jednak niemożliwe, gdyż, jak pisał w piśmie z 18 XII 1950 dyrektor Winiarski, Biuro Rewindykacji: *„(...) żadnych magazynów własnych nie posiada, wyrewindykowane dobra gospodarcze kieruje do odpowiednich instytucji branżowych, a dobra niegospodarcze, albo do instytucji kulturalnych, albo do Rejonowych Urzędów Likwidacyjnych (...)"*. Na to jednak, zważywszy na wartość operacyjną archiwaliów, nie można było sobie pozwolić. Pojawił się więc problem, gdyż archiwum resortu bezpieczeństwa było... przepełnione, zaś kierownik tejże jednostki sugerował, aby akta z Czechosłowacji sprowadzić i *„umieścić czasowo w jakiejkolwiek jednostce naszej, która rozporządza wolnym miejscem /np. Dep. Więziennictwa, czy nowy gmach U.B.P. na m. st. W-wę/"*. Ostatecznie, zgodnie z powyższą sugestią, wybór Dyrektora Gabinetu Ministra MBP okazał się z dzisiejszego punktu widzenia zaskakujący. Jedyną jednostką ministerstwa dysponującą miejscem okazał się paradoksalnie... departament więziennictwa MBP przy okrytej złą sławą ulicy Rakowieckiej 35. Wydaje się to dziwne o tyle, że w tym samym czasie miało miejsce apogeum terroru komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, generujące tysiące akt prześladowanych i przetrzymywanych w ubeckich katowniach więźniów politycznych. Powodem takiego stanu rzeczy mógł być jednak fakt, że na okres ten przypadł proces ściągania do centralnego archiwum MBP poniemieckich materiałów, dotychczas przechowywanych w Powiatowych Urzędach Bezpieczeństwa Publicznego...

REKLAMA